



antipolis

TOMASZ FIJAŁKOWSKI



antipolis

Tomasz Fijałkowski



Copyright © Tomasz Fijałkowski, 2015
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Projekt okładki: Ewelina Kamińska
Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta: Karolina Szafczyk
Opracowanie grafik: Izabella Gajewska
Redaktor prowadzący: Dominika Kuczyńska
Edycja: Lech Jeż

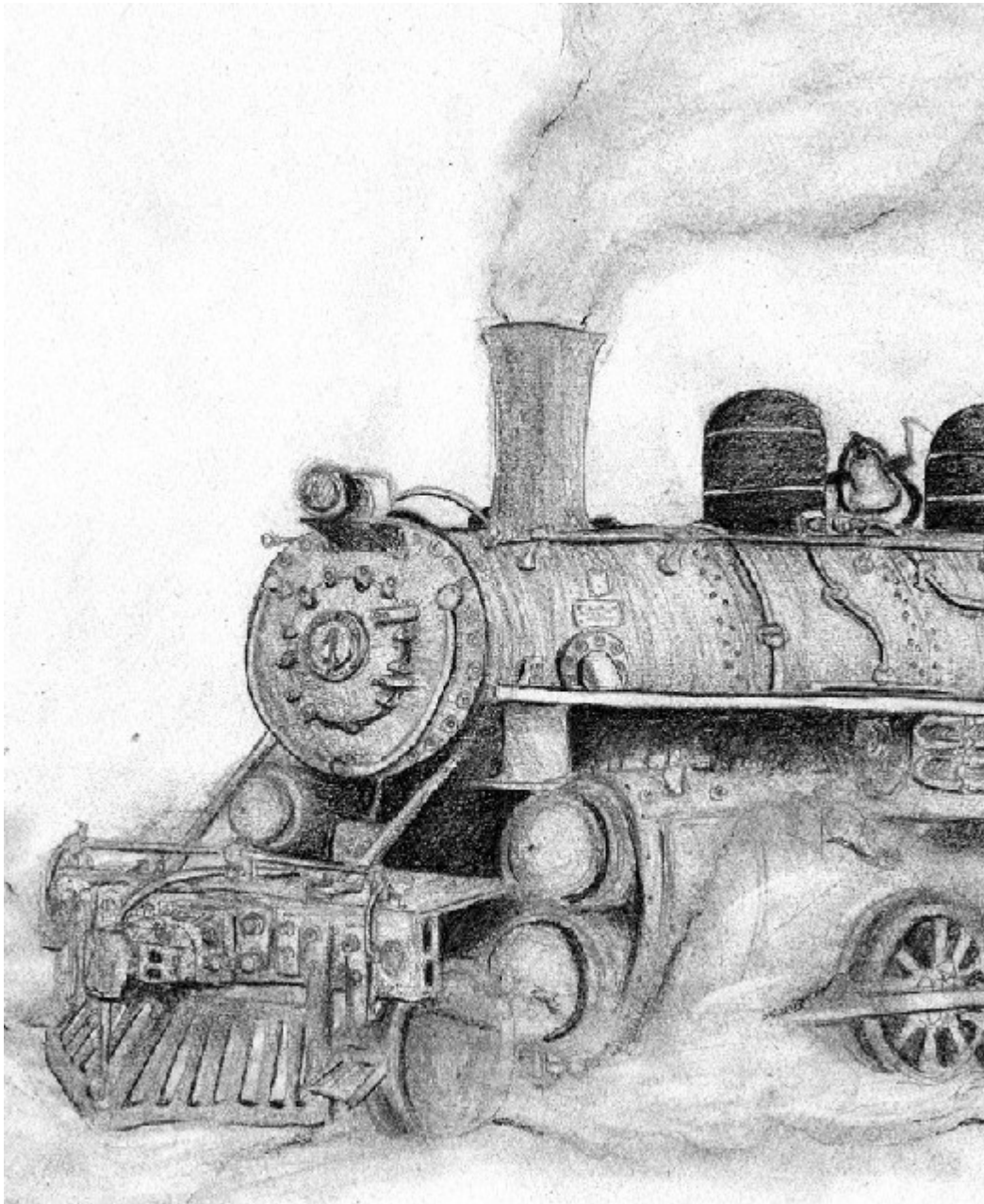
Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-257-6

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

*Przez pince–nez widać w błękanie żonglowanie
z rzadka piłka upada na tenisowy kort
ręce ciągle zajęte planet podbijaniem
w pikowej bluzce córka komunisty
w jedwabnej koszuli lord
dysonansowy dystych
Józef Czechowicz*

CZĘŚĆ PIERWSZA



ROZDZIAŁ PIERWSZY



Lipiec, 1936 rok

Nagły wstrząs – być może pociąg właśnie zmieniał tor – wyrwał mnie ze snu. Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, ile czasu spałem i czy na pewno nie minąłem stacji docelowej. Jednak widząc siedzącego obok mnie starszego mężczyznę, który również miał wysiąść w Antipolis, uspokoiłem się. Wyciągnąłem z kieszeni zegarek i dotarło do mnie, że moja podróż potrwa jeszcze najwyżej pół godziny. Było za wcześnie, by zająć się bagażami, a za późno, by na powrót zapaść w sen. Postanowiłem przycisnąć czoło do szyby i obserwować przesuwające się za oknami spokojne łąki, majaczące gdzieś w oddali miasteczka i wioski – przedpola Antipolis.

Mój sen był irytującym doświadczeniem. Zepsuł mi humor na dobrych kilka minut. Dlaczego śniłem, że Antipolis było miejscem udręki, skoro spędziłem tam najpiękniejsze lata młodości i żyją tam moi starzy przyjaciele z okresu studiów? Dlaczego we śnie miałem w rękach dyplom lekarza medycyny, skoro do niedawna wykładałem filozofię, a w czasie wojny moim zadaniem było raczej zabijać niż leczyć? Dlaczego marzyłem o wyjeździe do Warszawy, skoro nienawidzę tego miasta, a każda przechadzka po jego zniszczonych niemieckimi bombami ulicach kończyła się potężną melancholią? A co najgorsze – moja kuzynka Róża, która we śnie była martwa, miała czekać na mnie na dworcu i spodziewałem się znaleźć ją tam żywą.

Nieświadomie dotknąłem nogi poniżej kolana, postrzelonej osiemnaście lat temu, gdy czołgałem się w okopach obleganego Drezna, gdzie dogorywała załoga twierdzy obsadzonej Austriakami. Gdyby tę kulę wystrzelono kilka miesięcy później, najprawdopodobniej byłby to strzał na wiwat, znak radości, która miała zalać całą Europę na wieść o podpisaniu traktatów pokojowych. Leżałem potem w szpitalu polowym z paprzącą się raną, mając nadzieję, że nie podzielę losu kolegów, którzy krzyczeli, czując fantomowe bóle w amputowanych kończynach. Ponad naszymi głowami dzielono Europę. Przywódcy zwycięskich państw zszywali z poszarpanych krajów nowy, mający nigdy się nie rozpaść, kontynent. Znow próbowano zapalić latarnie, by rozproszyć kłębiące się przez cztery lata ciemności.

Tak. Wojna, podobnie jak odłamek w nodze, wciąż tkwiła w każdym weteranie. Niby spalony dom pośrodku kurortu nie pozwalała o sobie zapomnieć. Przecież wygraliśmy. Umocniliśmy granicę Korony, nie wykrwawiliśmy się jak Niemcy czy Austriacy, zawiązaliśmy korzystne traktaty z Królestwem Brytanii. I to podobno było najważniejsze...

Pociąg zwolnił i zaczął wjeżdżać na główny dworzec Antipolis. To miasto chyba najbardziej skorzystało na powojennej erupcji gospodarki. Metropolia, znajdując się jakimś cudem zawsze poza głównym teatrem działań wojennych, skupiła wszystkie żywotne siły państwa. Zniszczonej przez półtonowe bomby Warszawie odebrano honor reprezentowania państwa, wyrwano jej ambasady i przeniesiono tutaj, do Antipolis – miasta mającego być wizytówką zwycięskiego państwa. Zbudowano nowe mosty i przedłużono linie metra. Fabryki otoczyły miasto dymiącym szłańcem, dzielnice mieszkaniowe zaludniono tysiącami robotników.

Sięgnąłem po walizki i precyzyjnie przesuwałem się z nimi do najbliższego wyjścia. Pociąg zatrzymał się z nieprzyjemnym piskiem hamulców i stojący na peronie bagażowy otworzył drzwi. Podróżni sprawnie opuszczali wagony. Byłem jednym z pierwszych, więc miałem szansę rozejrzeć się po wypełniającym się peronie. W gęstniejącym tłumie wypatrzyłem Różę. Nie widziała mnie, a ja nie chciałem krzyczeć. Mój głos i tak zginąłby w gwarze i łoskocie maszyn. Chwyciłem walizki i ruszyłem w jej stronę.

– Witaj – pozdrowiłem ją, gdy najmniej się tego spodziewała. Dziewczyna drgnęła przestraszona.

– Tomasz! Jesteś niegodziwy! – krzyknęła i rzuciła mi się na szyję.

Nie widzieliśmy się ponad dwa lata, więc jej wybuch radości nie był dla mnie zaskoczeniem. Objąłem ją delikatnie.

– Ty zawsze musisz mnie straszyć?! Weź walizki i idziemy – zaszczębiotała. – Mamy sporo do załatwienia.

Dźwignąłem bagaże i ruszyłem jej śladem. Jej lekka plisowana sukienka, czarna szarfa podkreślająca talię i okrągły kapelusik były pewnie ostatnim krzykiem mody na ulicach Antipolis. Nie pasowała mi tylko okrągła mosiężna plakietka, którą zauważyłem na klapie jej beżowego żakietu.

– Ktoś na nas czeka czy pojedziemy taksówką? – zapytałem, gdy stanęliśmy przed dworcem w oślepiającym słońcu wczesnego lipca.

Róża zachichotała.

– Niespodzianka! To mój samochód, nim pojedziemy – wskazała srebrnego phantoma o opływowym kształcie ze zdejmowanym dachem. Wypatrywała w moich oczach zachwytu nad jej najnowszą zabawką. Znalazła tam jednak tylko bezdenne zdumienie.

– Rodzice kupili ci samochód?

– Kupili – potwierdziła ochoczo. – Pakuj walizki do bagażnika. Miejmy nadzieję, że się zmieszczą.

– Śniłaś mi się – zagadnąłem, gdy włączyła się do ruchu, kierując się w stronę głównych arterii miasta. Ruch o tej porze dnia był spory, więc jechaliśmy wolno.

– I co robiłam w tym śnie? – spojrzała na mnie kątem oka.

– Nic. Byłaś martwa, bo paliłaś za dużo papierosów.

– To coś nowego – zagwizdała. – Wielu moich znajomych pali, ale żaden jeszcze nie umarł. Ciekawe, co Freud powiedziałby o twoim śnie. Jak myślisz?

Nie odpowiedziałem. Róża prowadziła dość agresywnie i równie często jak klaksonu używała mało wyszukanych przekleństw. W końcu przedarliśmy się przez wiecznie zatłoczone śródmieście i jechaliśmy teraz ulicami dzielnic mieszkaniowych, gdzie maszyna rozwinęła pełną prędkość. Ściany czynszowych kamienic zlały się w jedną czerwonorubną płaszczyznę, z której wyłowiłem zarys kilku

chrześcijańskich kapliczek. „Więc i tutaj zawędrowały ich gminy”, pomyślałem, ale ostry zakręt, w jaki weszliśmy, szybko oderwał mnie od rozważań na temat rozprzestrzeniania się nowych związków wyznaniowych.

– Nie bój się – zaśmiała się głośno Róża. – Doskonale prowadzę! A musimy się spieszyć, bo czeka na nas obiad, a po obiedzie chcę cię zabrać do centrum. Pokażę ci nowe mieszkanie. Dziś jestem twoją przewodniczką! Cieszysz się?

– Bardzo.

* * *

Opony zazgrzytały na żwirowym podejździe. Róża zatrzymała samochód przed domem i posłała mi tryumfujące spojrzenie, z którego miałem wyczytać: „A nie mówiłam, że dowiozę nas w jednym kawałku?”. Wysiadłem i rozejrzałem się po posiadłości jej rodziców. Niewiele się zmieniło od czasu, gdy byłem tu ostatni raz. Park otaczający duży dwupiętrowy dom sprawiał wrażenie, jakby umysłów tutejszych ogrodników nie skalała żadna myśl. Rozłożyste dęby i strzeliste topole rosły według kompletnie niezrozumiałego klucza, natomiast żywopłoty, mające kiedyś tworzyć malowniczy labirynt w stylu angielskim, teraz postrzępione i zaniedbane, dopełniały tylko dziwaczny koloryt tego miejsca. Jeszcze wyraźniej widać to wszystko było z łazienki na pierwszym piętrze, gdzie przygotowano mi kąpiel.

Stojąc w oknie i wycierając parujące gorącą wodą ciało, zdałem sobie sprawę z kilku kwestii. Po pierwsze, posiadłość mojej ciotki i jej męża była naprawdę imponująca, a zapuszczony park maskował jej rzeczywiste rozmiary. Po drugie, to lato zaczęło się przedziwnie – najpierw na skutek wielu nieporozumień straciłem pracę w katedrze filozofii krzemienieckiego uniwersytetu, a kilka dni później otrzymałem od ciotki list z ciekawą propozycją finansową. Po trzecie, wczoraj uprawomocniły się listy rozwodowe, które pół roku temu wręczyliśmy sobie z Gabrielą. Od dziś byłem wolny.

Zbiegłem do jadalni mieszczącej się na parterze i oficjalnie przywitałem się z rodziną. Wuj Aleksander wstał od zastawionego już stołu i serdecznie uściśnął mi rękę. Pomimo moich czterdziestu paru lat i prawie dwóch metrów wciąż wyglądałem i czułem się przy

nim jak dziecko. Był mojego wzrostu, ale dumnie wyprostowana postawa oraz potężne ramiona i barki (był najlepszym bokserem w historii swojej uczelni) sprawiały, że tylko przy niewielu nie wyglądał na olbrzyma.

– Tomaszu, wszyscy baliśmy się, że ta wariatka – zaczął, wskazując na córkę – rozbije się gdzieś na najbliższym zakręcie. A jednak udało jej się przywieźć cię tutaj całego i zdrowego.

– Tato! – zaprotestowała Róża i zwróciła się do matki: – Mamo, powiedz coś ojcu!

Ciotka Elżbieta, siostra mojego ojca, zaśmiała się i uspokoiła córkę spojrzeniem. Ta, udając obrażoną, nerwowym ruchem odwróciła głowę w stronę okna. Podszedłem do ciotki i pocałowałem ją w policzek, a ona potargała mi włosy swoją smukłą dłonią. Była wcieleniem powściągliwości. To, czego inni nie potrafili osiągnąć potokiem słów, ona uzyskiwała za pomocą całego wachlarza gestów i spojrzeń.

Usiadłem naprzeciwko Róży. Gorące potrawy przypomniały mi, że od skromnego śniadania w sandomierskim hoteliku niczego jeszcze dziś nie jadłem. Wuj, tradycyjnie ignorując zupę, nałożył sobie solidną porcję pieczonych skrzydełek i tym samym dał znak, że obiad został rozpoczęty.

– Wtajemniczono cię w charakter twojej przyszłej pracy? – zapytał, obgryzając kość kurczaka.

Przełknąłem łyżkę zupy i odpowiedziałem:

– Wiem tylko, że mam udzielać korepetycji pewnej młodej osobie, której rodzice nie chcieli, by wchłonął ją nasz system edukacji. Zadanie interesujące, ale jednej rzeczy wciąż nie rozumiem.

Wuj podniósł wzrok i spojrzał pytająco.

– Otóż całą drogę zastanawiałem się, jakim cudem będę mógł utrzymać się w Antipolis, pracując tylko dziesięć godzin tygodniowo. Bo przecież o tylu godzinach była mowa w liście. Musiałbym być najdroższym korepetytorem w całym Królestwie, by móc sobie pozwolić na wynajem mieszkania w centrum miasta. Czy ten mój uczeń ma zostać studentem Oxfordu czy Sorbony?

Wuj wytarł usta serwetką.

– Winni ci jesteśmy kilka wyjaśnień – rozpoczął. – Twoim uczniem, a właściwie uczennicą, będzie młoda dama. Blanka

Wieriesiołowa.

– Rosjanka? Jakim cudem? – moje zaskoczenie na chwilę zagłuszyło głód. – Przecież tam trwa rebelia!

– Jej rodzina zawsze była lojalna wobec Korony. Teraz, gdy nasze garnizony znowu mają pełne ręce roboty w Rosji, tacy ludzie, poddani próbie wierności, nie zawsze wytrzymują i przechodzą na stronę nacjonalistów. Rodzina Blanki wybrała ucieczkę. Jej ojciec, Eugeniusz Wieriesiołow, prowadził tu większość interesów, więc gdy tylko sytuacja w Rosji zaogniła się, sprowadził rodzinę. Ot i cała historia. Wybrał Polskę.

– A czy ta dziewczyna zna chociaż język polski? Mój rosyjski jest dość toporny.

– Przekonasz się jeszcze dziś – wtrąciła się Róża. – Zawiozę cię do niej.

– Racja – potwierdził jej ojciec. – Po obiedzie pojedziecie do twojego nowego mieszkania. Od kilku miesięcy stoi puste, bo mój kuzyn wyjechał za granicę, a czynsz jest opłacony za rok z góry. Tam już będą czekały na ciebie odpowiedzi na wszystkie pytania. Mam nadzieję, że nie rozbijecie się gdzieś po drodze...

Róża nie zdążyła zareagować na tę prowokację, gdyż do jadalni wszedł jej młodszy brat Filip. Przeprosił za spóźnienie i usiadł za stołem. Skinąłem mu na powitanie, natomiast ojciec surowo spojrzał na syna i pogroził mu palcem.

– A oto i nasz mały buntownik – odezwał się. – Wybacz mu jego kanciaste maniery. Przeżywa właśnie dość ciężki okres w życiu...

– Kurczak? – zapiszczał Filip przechodzącym mutacją głosem. – Nie ma nic innego? Ja w piątek nie jem mięsa! Nie mogę!

– Widzisz – zwrócił się do mnie wuj – nie ma nic gorszego niż dojrzewające dzieci. Filip przeżywa nawrócenie religijne – koledzy wciągnęli go do gminy chrześcijańskiej – a on wyjątkowo poważnie traktuje te ich wszystkie przykazania.

Filip, wyraźnie niezadowolony z faktu, że jest bohaterem rozmowy, sięgnął do patery z owocami i głośno wgrzyzł się w soczyste czerwone jabłko.

– A ta młoda dama – ojciec wskazał nudzącą się przy stole Różę – dostąpiła już pierwszego wtajemniczenia w kult Kybele. Chodzi z tą swoją miedzianą plakietką dumna jak paw.

– To nie jest żadna plakietka, tylko medalion pierwszego wtajemniczenia – obruszyła się dziewczyna. – Tyle razy ci to tłumaczyłam.

– Róża, a biegaliście już na golasa wokół figury Kybele? – zapytał zjadliwie Filip.

– Tato, powiedz mu coś!

– Ale nie–dziewice też przyjmują?

Ciotka Elżbieta upuściła nóż na pusty już talerz.

– Filipie – ojciec podniósł głos – robisz z siebie niepotrzebne widowisko i denerwujesz siostrę! Wstań od stołu, przeproś Różę i weź matkę na taras. Myślę, że znowu potrzebujesz dłuższego wykładu na temat zachowania przy stole.

Chłopak zamaszyście wstał od stołu, stanął za plecami matki i chwycił za oparcie wózka, na którym siedziała. Płynnie wytoczył go na środek jadalni. Znow przyłapałem się na tym, że zapomniałem o wypadku ciotki. Cztery lata temu jej samochód wpadł w poślizg na oblodzonym fragmencie drogi i uderzył bokiem w drzewo. Uszkodzony kręgosłup, sparaliżowana połowa ciała, wózek inwalidzki...

– Mogę iść sprawdzić samochód? – zapytała Róża. – Będę chyba musiała uzupełnić wodę w chłodnicy, bo kontrolka już zaczęła świecić na żółto. Przecież za chwilę mamy jechać, prawda?

Jej ojciec kiwnął głową. Dziewczyna szybko opuściła jadalnię, w której zostałem sam z Aleksandrem. Ten wyraźnie popadł w bardzo melancholijny nastrój. Nalał nam białego wytrawnego wina i westchnął.

– Widzisz, jaka to wariacka rodzina? – skrzywił się, przetykając zbyt cierpkie wino. – Sparaliżowana milcząca żona, mały chrześcijanin i mała poganka. Wszyscy pod jednym dachem. Czasem zazdroszczę ci twojego wyboru. Nie jesteś za nikogo odpowiedzialny. To bardzo komfortowa sytuacja. Czasem tak mi się wydaje...

Nie odpowiedziałem. Podziękowałem za obiad i wstałem od stołu. Wuj przechylał drugi kieliszek wina.

* * *

Warkocze. To była pierwsza rzecz, która zwróciła moją uwagę. Blanka Wieriesiołowa zaplotła swoje czarne włosy w niecodzienną wariację warkocza francuskiego, przez co tworzyły konstrukcję przypominającą diadem. Jej ojciec, Eugeniusz Wieriesiołow, wysoki i postawny, chociaż garbiący się mężczyzna, starał się w jak najdrobniejszych szczegółach przedstawić mi historię swojej rodziny. Historia ta była zagmatwana i jak każda opowieść sięgająca kilka pokoleń wstecz niesamowicie nudna. Mój gość jednak zdawał się coraz bardziej rozpląwać w piętrowych dygresjach, zawieszał jedną historię, by powrócić do niej po kilku minutach. Zasypywał mnie gradem nazwisk i zalewał potopem dat. Musiałem jednak cierpliwie to wszystko znosić, gdyż od prawie godziny był moim pracodawcą.

– Rebelia pokrzyżowała moje plany związane z rozbudową portów żeglugi rzecznej. – Eugeniusz Wieriesiołow szczęśliwie dotarł w swojej opowieści do dzisiejszych czasów. – Moja spółka musiała czasowo zawiesić działalność. Mam jednak nadzieję, że nasze regimenty zaprowadzą w końcu spokój i ludzie wrócą do pracy. Dość już krwi przelano w imię „wolnej Rusi”. Ja widziałem tę ich „wolną Ruś”! Na szczęście tylko z pokładu sterowca, którym uciekliśmy. Widziałem płonące wsie. Zatopione pola, bo rebelianci wysadzali w powietrze tamy i groble. Widziałem takie rzeczy, o jakich nie chciałbym mówić przy mojej córce.

Blanka, która do tej pory siedziała w absolutnym bezruchu, nagle drgnęła, przeczuwając, że za chwilę rozmowa zacznie dotyczyć jej osoby.

– Blanka jest bardzo zdolna – rozpoczął ojciec. – Skończyła z wyróżnieniem gimnazjum. Myśleliśmy z matką nad dalszą drogą jej kształcenia. Dziewczyna ma talent do języków i chciałaby studiować na tutejszym uniwersytecie. Wiemy obaj bardzo dobrze, że na Wschodzie uczelnie nie reprezentują wysokiego poziomu, dlatego Blanka uparła się, że skoro już tutaj jesteśmy, chce studiować w Antipolis. A ja bym chciał, by pan przygotował ją do egzaminów wstępnych, uporządkował jej wiedzę pod ich kątem.

Spojrzałem na dziewczynę. Jej okrągła twarz, z wyraźnie rysującymi się kośćmi policzkowymi i ostro wyciętym zarysem ust, bardziej emanowała dziwną bezradnością niż uporem. Jej oczy, zbyt często wpatrzone w falisty wzór na dywanie, potwierdzały moje

obserwacje. Podejrzewałem, że to jej ojcu bardziej zależy na tych studiach. Wyższe wykształcenie dziewcząt nadal było czymś rzadkim na wschodnich rubieżach, więc widocznie pan Wieriesiołow postanowił zadbać o dyplom Blanki osobiście.

– Zostawię teraz pana z córką – oznajmił nagle Wieriesiołow. – Sprawy spółki zmuszają mnie do częstych spotkań. Kochanie – zwrócił się do dziewczyny – wiesz, o co masz pytać. W pokoju obok jest Anna, gdybyście czegoś potrzebowali. A na pana na dole czeka samochód, który odwiezie pana do domu, gdy tylko wszystko ustalicie. Żegnam!

Wstał i podał mi rękę. Silny uścisk przypomniał mi wuja Aleksandra. Przed wyjściem założył kapelusz i zasalutował mi laską, której rękojeść wyobrażała głowę niedźwiedzia. Po chwili jego kroki zadudniły na schodach.

Zaległa krępująca cisza. Czekałem na pytania, które dziewczyna podobno miała mi zadać. Jednak do moich uszu docierał tylko narastający hałas wypełniających się wieczorem ulic śródmieścia. Jakiś akordeon, potem nad wyraz czysty śpiew, nieustający szum jadących samochodów. Klaksony. Podszedłem do okna. Blanka wciąż milczała, chociaż uważnie śledziła moje poczynania.

– Co chciałabyś studiować? – spytałem. Musiałem przerwać tę ciszę. Pytanie wydawało mi się dość proste. Blanka zatrzepotała długimi rękami, ale odpowiedziała dopiero po chwili.

Rozmowa z nią przypominała przesłuchanie podejrzanego o najcięższe zbrodnie. Odpowiadała w najlepszym razie pojedynczymi zdaniami, z których wynikało, że nie ma sprecyzowanych planów co do dalszego etapu edukacji. Mogłaby równie dobrze studiować filologię, filozofię lub historię sztuki. Dla mnie nie miało to znaczenia, ale drugi nabór na pierwszy rok miał się zacząć za mniej więcej trzy miesiące, nie mieliśmy więc zbyt wiele czasu.

Próbowałem jej to uświadomić, ale ona, wciąż wpatrzona w dywan, jedynie kiwała głową. Tylko raz z jej ust wyrwało się dziwne wyznanie – wspomniała coś o warsztatach aktorskich prowadzonych przez niejakiego Ostervę. Te słowa wzbudziły moją szczególną wesołość, którą musiałem szybko ukryć, by nie urazić dziewczyny. Prędzej spodziewałbym się zobaczyć ją na Księżycu niż na deskach jakiegokolwiek teatru.

Nasz dialog się rwał. Wiedziałem, że dziś już niczego z niej nie wyciągnę, postanowiłem więc umówić się z nią na następny wtorek. Miała zdecydować o kierunku studiów i przynieść umowę, której podpisanie oficjalnie potwierdzałoby nawiązanie współpracy między mną, Blanką i jej ojcem.

* * *

Zrezygnowałem z kierowcy Wieriesiołowa i postanowiłem wrócić do domu pieszo. Nie zajęło mi to więcej niż pół godziny, a na dodatek zaopatrzyłem się w coś do czytania. „Trybuna Antipolis”. Duży lokalny dziennik, który miał ambicję, by objąć swoim zasięgiem całą Koronę. Nawet w moim rodzinnym Krzemieńcu można było codziennie usłyszeć nawoływania chłopców sprzedających tę gazetę. Musiałem przyznać, że dystrybucja była silną stroną „Trybuny Antipolis”, i mogłem się domyślać, że wkrótce stanie się ona najpoważniejszym dziennikiem w kraju.

Przysunąłem krzeselko w pobliże okna, tak bym zdążył złowić jeszcze odrobinę słonecznego światła. Do mojego pokoju wlewał się miejski gwar pełnący trzy piętra pode mną. Szybko jednak zapomniałem o tym dość jednostajnym szumie w tle i zacząłem czytać.

Na pierwszej stronie wytłuszczonym drukiem krzychał tytuł:

KOLEKCJONER SPRZEDAJE „ZĄB BOGA”!

Pragnąca zachować anonimowość persona wystawia na aukcji najbardziej niezwykły klejnot Królestwa! Czy „ząb boga” znów osiągnie wyższą wartość?

Zainteresowało mnie to. „Ząb boga” krążył od dziesięcioleci między najzamożniejszymi ludźmi w Królestwie, ale nikomu jeszcze nie udało się posiadać tego artefaktu dłużej niż dziesięć lat. „Ząb” zwano potocznie klejnotem, choć tak naprawdę nikt nie był w stanie określić jego budowy. Nie był to kryształ, nie był to metal. Była to pozostałość po epifanii sprzed ponad 130 lat, która miała miejsce w niewielkim miasteczku na wybrzeżu, gdzie składano ofiarę mającą zapewnić pomyślne ukończenie budowy portu. W czasie rytualnego okadzania narzędzi stolarskich, łodzi i sieci wśród przerażonych

robotników i rybaków pojawiły się nagle dwie Nadistoty. W skupieniu obejrzały poziomice, wiertła i miary, po czym równie niespodziewanie zniknęły wraz z mało skomplikowaną wagą i kompletem odważników. Gdy kapłan obejrzał miejsce objawienia, by opisać dokładnie zajście i wysłać swoją relację przełożonym, znalazł niewielki biały przedmiot przypominający kształtem kieł. Zamknięty był w przezroczystym sześcianie, którego nikomu nie udało się nawet zarysować – nie mówiąc o wyrwaniu z niego białego kła, który, jak zaobserwowano, zmieniał swoją konsystencję. Według nieokreślonego rytmu stawał się półpłynny i przezroczysty, by po pewnym czasie wrócić do mlecznobiałej barwy. „Ząb boga” przechodził nieustannie z rąk do rąk, a jako artefakt znaleziony przed wprowadzeniem ustawy nakazującej świątyniom katalogować i gromadzić przedmioty pozostawione przez bóstwa mógł spokojnie krążyć z aukcji na aukcję i wzbudzać niemałą sensację.

Artykuł opatrzonego był fachowym komentarzem profesora archeologii, niejakiego Pióry, który oprócz streszczenia losów „zęba boga” z dającym się wyczuć żalem stwierdził, że liczba zbiorowych epifanii zmalała w ciągu ostatniego stulecia o ponad połowę. Prawdziwą plagą stają się za to prywatne objawienia, których on jako naukowiec nie może komentować i w które nawet nie może wierzyć.

Światło zza okna powoli przestawało wystarczać moim oczom, poszedłem więc po lampę, zapaliłem ją i w jej ostrym świetle pobieżnie zapoznałem się z doniesieniami o rebelii na wschodnich rubieżach. Z niewielu konkretnych informacji, jakie dało się wyłowić z pompatycznej całości, wywnioskowałem, że Rosjanie umocnili się na swoich pozycjach wzdłuż Wołgi, a nasze garnizony chcą zmusić ich do kapitulacji przed upływem trzech miesięcy. Posiłki, w tym regiment złożony z nowych piechurów, oraz dwupłatowce, dla których w końcu przystosowano tamtejsze lotniska, miały rozstrzygnąć tę konfrontację. Natomiast rządy Zjednoczonego Królestwa Brytanii oraz Francja i Niderlandy wysyłają noty dyplomatyczne świadczące o poparciu dla naszych władz. Rosjanie i ich emigracyjny rząd rezydujący w Rzymie nie zdołali w znaczącym stopniu zmienić linii swojej polityki zagranicznej polegającej na forsowaniu tezy, jakoby Polacy byli agresorami i że należałoby

uruchomić międzynarodowe procedury tak zwanej wojny sprawiedliwej.

Przewertowałem resztę gazety i zatrzymałem się na kronice towarzyskiej, która zajmowała dwie ostatnie strony. Wśród plotek jedna zwróciła moją uwagę.

Skandal w czasie prób w Teatrze Reduta! Młody, przystojny aktor, Julian Osterva, salwował się ucieczką z budynku, gdy do teatru wtargnął wysoko postawiony oficer policji. Okazało się, że Osterva romansował z jego żoną! Młody aktor uciekł, gdy zdradzany mąż wyzwiał go na honorowy pojedynek. Pod pretekstem konieczności zażycia środków uspokajających Osterva wydostał się z Reduty tylnym wyjściem.

Osterva. Czy to nie jego nazwisko wymieniła Blanka? Być może urok amanta oczarował również ją i to sprawiło, że dziewczyna postanowiła szukać szczęścia w szkole aktorskiej? To było bardziej niż prawdopodobne, jednak dla mnie bez znaczenia. Chciałem uczciwie zarobić pieniądze Wieriesiołowa i przygotować Blankę do egzaminów.

Zanim złożyłem gazetę, by wrzucić ją do kosza, wzrok złowił jeszcze jedną informację. „Kronikę towarzyską redaguje Huncwot”. Hmm. Może to czysty przypadek, chociaż... Tylko jeden człowiek, którego znałem, podpisywał się w ten sposób. I nie widziałem go od czasu studiów. Huncwot. No proszę...

ROZDZIAŁ DRUGI



Antipolis otwierało oczy. Krzątając się rano, jeszcze zaspany, odkryłem dobrze zaopatrzoną spiżarnię, gdzie w ręce wpadła mi puszka kolumbijskiej kawy. Tego właśnie potrzebowałem. Siedząc w szlafroku, z gorącym kubkiem w dłoni, planowałem, jak spędzę tych kilka dni dzielących mnie od następnego spotkania z Blanką Wieriesiołową. Kofeina powoli przywracała jasność myśli. Najpierw musiałem udać się na uniwersytet, gdzie spodziewałem się uzyskać informacje o egzaminach wstępnych na kierunki, którymi interesowała się Blanka. Niemal klasnąłem z radości, gdy uzmysłowiłem sobie, że to jedyny obowiązek, z którego muszę się wywiązać. Jutro.

Miałem więc przed sobą kilka dni, które postanowiłem wykorzystać na smakowanie uroków miasta. Uśmiechnąłem się na wspomnienie ostatniej strony przeglądanej wczoraj gazety, gdzie skąpo ubrane młode tancerki reklamowały rewię wystawianą na deskach jednego z teatrów muzycznych. Poczułem radosne podniecenie. Nocne życie miasta – tego właśnie brakowało mi w przemądrzałym, nudnym Krzemieńcu. Rozbawiony pomyślałem, że tak właśnie czuli się moi studenci po zdaniu ostatniego przed wakacjami egzaminu. A było to wspaniałe uczucie...

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że nie opuściło mnie przyzwyczajenie do wczesnego wstawania. Teraz, mając przed sobą

cały poranek, ubrany w lekką sztruksową marynarkę wyszedłem szukać jakiejś miłej kawiarni, w której mógłbym zjeść śniadanie.

Ulice w mojej dzielnicy powoli zaczynały zdradzać pierwsze oznaki gorączkowego tempa. Ciężarówki toczyły się, szukając magazynów, w których mogłyby rozładować towar. Taksówki trąbiły na przebiegających przez jezdnie przechodniów. Pierwsi uliczni straganiarze, głównie sprzedawcy kwiatów i owoców, rozstawiali kramy. Ludzie, których mijalem, pędzili do swoich obowiązków, nie zwracając na nikogo uwagi.

Jakiś uczeń w atramentowej marynarce i za dużym kaszkiecie powtarzał na głos lekcję łaciny. Kobieta w kraciastej bluzce z dzieckiem na ręku wchodziła do sklepu, którego ogromna pasiasta markiza zacięniała cały chodnik. Murarz, niosąc na ramieniu deskę, przechodził na drugą stronę ulicy, gdzie śniady młodzieniec z brylantyną we włosach szarpał się z młodszą od siebie dziewczyną. Ubrana na czarno kobieta, dziecko bawiące się piłką w rynsztoku. Kucharz w olbrzymiej białej czapce stojący w zamyśleniu na rogu ulicy. Wszystko pogrążone w zorganizowanym istnieniu. A ja miałem wrażenie, że idę bez celu, z rękami w kieszeniach, gwiżdżąc improwizowaną melodię.

Po przemaszerowaniu kilku przecznic znalazłem malutką, ukrytą w bocznej uliczce kawiarenkę. Młoda, zgrabna kelnerka dopiero podnosiła metalowe żaluzje w oknach, a jej pomocnik, tłuściutki chłopak, ustawiał przed wejściem stoliki i krzesła. Poczekalem kilka minut, aż kawiarnia w końcu będzie gotowa do obsłużenia pierwszych klientów, i wszedłem do ciemnego jeszcze wnętrza.

Usiadłem tuż przy oknie, by widzieć choć fragment ruchliwej ulicy, która tak mnie uskrzydliła podczas porannego spaceru. Uprzejma kelnerka przyjęła zamówienie i podała mi dzisiejszą „Trybunę Antipolis”. Po paru minutach wylądowała przede mną również kawa (druga tego dnia, tym razem z mlekiem), jajecznica z szynką i cztery grube kawałki chleba.

Nagle do cichej, nierozbudzonej jeszcze kawiarni, wtargnęło dwóch dziwnych ludzi. Obaj w eleganckich garniturach, śnieżnobiałych koszulach, z czarnymi krawatami. Bez słowa usiedli i młodszy z nich ruchem ręki odprawił kelnerkę. Ta cofnęła się za kontuar i wróciła do ich stolika, niosąc gruby zeszyt w okładce w

szkocką kratę. Młodszy mężczyzna podziękował i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro.

– Możesz zaczynać – powiedział do starszego, który siedział tyłem do mnie. Ten złapał się za głowę, potrząsnął nią i nagle zaczął wyrzucać z siebie potok słów:

– ...deszcz motyli potrafi zabić spojrzeniem woda dla ducha jest tym czym kurz dla człowieka noże i kolacje jak uciec z tego płonącego domu skoro jego ruiny zostaną użyte jako strzykawki a kapelusze i pociągi uwielbiają się nawzajem to bracia pochod kobiet jeśli chcesz podbiec przekartkuj katalogi sklepów z obuwem zaczęto splanować kwiaty w dół rzeki w stronę morza gdzie sprzedawcy węgorzy podliczają swoje straty pamiętasz gdzie byłeś gdy usłyszałeś o mojej śmierci...

Siedziałem osłupiały. Słowa, które do mnie docierały przez następne minuty, tworzyły prawdziwą kaskadę niedorzeczności i cudowności. Nie byłem do końca pewny, czy przysłuchuję się wynurzeniom pacjenta kliniki psychiatrycznej, czy też obcuję z nowym, nieznanym mi rodzajem groteskowej poezji. Głos falował, raz przyspieszał, raz zwalniał...

Notujący to wszystko mężczyzna wytarł rękawem spocone czoło i odłożył pióro.

– Dzisiaj to naprawdę było coś! – powiedział, uśmiechając się tryumfująco. – Czuję, że potrzebujemy porządnie się napić. Do twojego mieszkania nie ma co wracać, póki nie rozliczysz się z właścicielką. Zresztą i tak by cię nie wpuściła nawet do kamienicy. Zatem trzeba się napić, a potem poszukamy pieniędzy. Chodź! Pamiętałem też o drabinie, wszystko już jest gotowe. Idziemy!

Obaj podnieśli się i powoli, jakby przedzierali się przez gęstą ciemność, wyszli z kawiarni. Zeszyt w szkocką kratę wylądował na kontuarze, skąd zabrała go kelnerka i zaniósła na zaplecze.

Moja kawa była już zimna, jajecznicą także. Byłem pod wrażeniem tej osobliwej pary rodem ze snu. Kelnerka podeszła do mnie z nieśmiałym uśmiechem.

– Czy coś jeszcze panu podać? – zapytała.

To konkretne pytanie przywróciło mnie do rzeczywistości.

– Dziękuję – odpowiedziałem i sam zapytałem: – Kim byli ci ludzie? Pani podała im jakiś zeszyt...

Zaskoczona zaczerwieniła się, ale dość szybko odzyskała rezon, bo zabawnie zatrzepotała rzęsami, rozejrzała się wkoło i usiadła naprzeciwko mnie.

– To był Banach i jego sekretarz Steinhaus. On mieszka dosłownie kilkadziesiąt metrów stąd, w eleganckiej kamienicy, i nie płaci od kilku miesięcy właścicielce za wynajem. Ta nie chce go już wpuścić do domu i zabrała wszystkie jego rzeczy. Nie odda, póki on nie da pieniędzy – znowu rozejrzała się uważnie. – A Steinhaus to malarz. Raz nawet chciał, bym mu pozowała. Mam jeden jego szkic, pokażę panu. Nie miał pieniędzy, a kawę już wypił, więc... rozumie pan. Przekonał mnie, że kiedyś ten bohomas będzie sporo wart.

Pobiegła na zaplecze. Ta młoda, łatwowierna dziewczyna rozmawiała ze mną tak, jakbym był jej bardzo dobrym znajomym. Wróciła po minucie, trzymając pod pachą tekturową teczkę, z której wyciągnęła kartkę pokrytą płataniną kresek, zawijasów i przeplatających się ze sobą spiral. Trudno było uchwycić w tym jakikolwiek sens. Na dodatek całość zalano chyba kawą.

– To dzieło Banacha – wyjaśniła i dodała, wyciągając kolejną kartkę: – A to ja. Rycina przedstawiała niewątpliwie kobiecy akt i wiernie oddawała każdy detal bujnego ciała. Precyzja mogła budzić podziw, jednak całości daleko było do realizmu. Piersi kobiety pokrywały ślimaki pełznące w stronę szyi, natomiast włosy spletały się w grubą okrętową linię, na której końcu lśniła kotwica wbita tuż poniżej kreski imitującej odległy horyzont. Odważny skrót perspektywiczny sugerował, że rysunek jest ilustracją snu lub owocem rozpalonej wyobraźni artysty.

Kelnerka pozwoliła mi napatrzeć się na ten przedziwny akt, by w końcu wyrwać mi kartkę i wsunąć z powrotem do teczki.

– To wielcy artyści. Mam nadzieję... – dokończyła nadzwyczaj trzeźwo. Wróciła za kontuar, kołyszając biodrami, a do kawiarni weszli następni klienci. Antipolis na dobre otworzyło oczy, a ja wiedziałem, że chcąc widzieć rzeczywistość oczami miasta, wkrótce przestanę się czemukolwiek dziwić.

* * *

Redakcja „Trybuny Antipolis” mieściła się przy jednej z najruchliwszych ulic, w najwyższym w mieście budynku. Jednak

wchodząc do środka biurowca, który górował nad otaczającymi go przysadzistymi kamienicami, miałem wrażenie, że wciąż jestem na ulicy.

Arkady ciągnące się wewnątrz przez kilka kondygnacji wspierały się na filarach, które były jednocześnie przezroczystymi windami. Przeszklona kopuła wieńcząca całość wpuszczała do środka snop słonecznego światła. Pod szklaną podłogą krążyły ławice drobnych rybek. W olbrzymim owalnym holu słychać było gwar tłoczących się ludzi, trzask zamykanych lub otwieranych drzwi.

„Gdy inżynierowie sprawili, że chodzisz po wodzie”, pomyślałem, „każdy cud jest możliwy. Nawet ten budynek w kształcie klepsydry sprawia, że zapomina się o ograniczeniach cywilizacji i nauk przyrodniczych”. Nie potrafiłbym go składnie opisać. Całość zaparła mi dech w piersiach i poczułem się prowincjuszem, który przekracza próg świątyni nowoczesności, dzieckiem, które nagle zamknięto wewnątrz olbrzymiego zegara. Zawstydziłem się tego oszołomienia...

Z tablicy informacyjnej, którą znalazłem tuż obok jednej z wind, dowiedziałem się, że redakcja gazety mieści się na drugim poziomie i zajmuje cztery pomieszczenia. Wsiadłem do windy i poczułem się jak drobna krwinka w krwiobiegu tego budynku.

„Trybuna Antipolis”, taki napis zdobił ciężkie drzwi, po otwarciu których znalazłem się w niewielkim, skromnie umeblowanym sekretariacie. Za prostym, masywnym biurkiem siedziała gustownie ubrana kobieta w średnim wieku. Nie przerywając leniwego stukania na maszynie, podniosła na mnie wzrok.

– Słucham pana – zaczęła uprzejmie.

Podszedłem i zapytałem:

– Czy mogłaby pani udzielić mi pewnej informacji?

Kobieta przerwała zagłuszające rozmowę stukanie na maszynie.

– Czy w redakcji pracuje ktoś o nazwisku Bruno Szulc?

Sekretarka zacisnęła usta, co odczytałem jako wyraz zakłopotania. Sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła z niej opasły zeszyt. Przekartkowała kilka ostatnich stronic.

– Niestety, nikt taki u nas nie pracuje – odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. Nie uwierzyłem jej.

– A człowiek redagujący kronikę towarzyską? Podpisuje się jako Huncwot. Czy mogłaby mi pani zdradzić, jak nazywa się ten człowiek?

Mówiąc te słowa, nachyliłem się nad biurkiem i zajrzałem jej głęboko w oczy. Jednak przeliczyłem się, myśląc, że osiągnę coś dzięki swojemu lekko zakurzonemu urokowi osobistemu. Kobieta dzielnie się broniła.

– Jeżeli nasi pracownicy używają pseudonimów, to muszą mieć jakieś powody. Na pewno nie spodobałoby się panu, gdybym zdradziła pańskie personalia, a pan by sobie tego nie życzył, prawda?

– To chociaż imię – naciskałem.

– Nie mogę.

Po chwili zastanowienia zmieniłem taktykę.

– A jeżeli ta osoba jest w redakcji, to mogłaby pani zadzwonić?

Sekretarka najwidoczniej traciła cierpliwość.

– Proszę pana – zaczęła, siląc się na spokojny ton – nie jest moim obowiązkiem dzwonić po kogokolwiek. I nawet jeśli poszukiwany przez pana człowiek byłby w redakcji, nie życzyłby sobie widzieć się z kimś, kto wcześniej nie był z nim umówiony.

– To znaczy, że go nie ma?

– Nie wiem – przyznała i zabrzmiało to szczerze. – Pracownicy mają osobne wejście. Tędy wchodzi do redakcji tylko interesanci.

– Mam w takim razie ostatnią prośbę. Niech pani do niego zadzwoni i powie, że przyszedł... – chwyciłem jedną z czystych kartek leżących obok maszyny i napisałem kilka słów. Kobieta przeczytała cicho tekst i spojrzała na mnie wymownie. Wiedziałem, że się zgodzi, choćby dlatego, że mogła w ten sposób pozbyć się mnie z sekretariatu. Bez słowa chwyciła za słuchawkę i wykręciła krótki wewnętrzny numer.

– Halo! Tutaj sekretariat. Mam dla pana wiadomość. Przyszedł niejaki... „przeor klasztoru zwolenników minimalnego wysiłku”. Czy mam go do pana wpuścić?

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko ciche trzaski, a potem nagle rozległ się przeraźliwy krzyk:

– Nie!!!

* * *

– Nie!!! To niemożliwe!!! – głos, który natychmiast rozpoznałem, świadczył o tym, że jego właściciel usłyszał coś przeczącego logice i zdrowemu rozsądkowi, ale nie można było z niego odczytać ani radości, ani przerażenia. – Proszę zatrzymać tego człowieka! Już biegnę!

W słuchawce coś trzasnęło, a po chwili rozległ się urywany sygnał. Posłałem sekretarce pełen tryumfu uśmiech.

Drzwi naprzeciwko jej biurka otworzyły się z hukiem. Stanął w nich niski czarnowłosa mężczyzna, którego szczerą pociągłą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Rozłożył ręce w geście powitania.

– Tomasz! – krzyknął rozentuzjzmowany. – Co ty tu robisz?!

Podbiegł do mnie i mocno objął. Nie chciałem zbyt wylewnie okazywać uczuć, ale radość na widok starego przyjaciela była silniejsza niż wewnętrzne opory. Poklepałem go po plecach.

– Jak tylko przeczytałem w gazecie, kto zbiera plotki z całego miasta, od razu wiedziałem, że to o ciebie chodzi. Nic się nie zmieniłeś, Bruno!

Ten zaśmiał się głośno, klepiąc się po brzuchu.

No, jestem o kilka kilogramów starszy. Ale ty świetnie wyglądasz! Chyba jeszcze bardziej urosłeś, co? – nagle spojrzał na zegarek i spoważniał. – Cholera. Chodźmy do mojego biura. Mam dziś niewiele czasu na siedzenie w jednym miejscu. Za pół godziny muszę być w domu aukcyjnym. Wiesz, sprzedają „zab boga”. Czytałeś pewnie, co? Jeśli chcesz, pojedź ze mną. Pogadamy po drodze. Wszystko mi opowiesz. Co ty na to? Masz czas?

* * *

Droga do domu aukcyjnego mieszczącego się w najstarszej dzielnicy upłynęła mi na wsłuchiwanie się w opowieść Bruna, który postanowił wtajemniczyć mnie w egzotyczny świat elity towarzyskiej miasta. Dowiedziałem się, kto chce za wszelką cenę zachować anonimowość, a kto pragnie błyszczeć na bankietach i rautach. Kto kogo zdradza, a kto komu pozostaje wierny pomimo sugestii brukowców. Zasypał mnie lawiną anegdot, plotek i domysłów na temat życia mieszkańców Antipolis. Sam dość nieuważnie słuchał tego, co miałem do powiedzenia.

Jego opowieść była tak długa i skomplikowana, że co chwila traciłem wątek i pozwalałem swoim myślom błądzić. Jak długo się nie widzieliśmy? Zbyt długo. Prawie całą dekadę. Gdy wybuchła wojna, byliśmy świeżo po filozofii. Wcieleni siłą do wojska, gniliśmy w okopach na dwóch różnych frontach. Po wojnie widzieliśmy się tylko raz, gdy odwiedziłem go w jego rodzinnym domu pod Lublinem. Miał wtedy kłopoty z lewą ręką, w której utkwiał odłamek szrapnela. Teraz, widząc, jak prowadzi samochód, wiedziałem, że pozbył się dokuczliwego bólu łokcia i może do końca wyprostować rękę. Zaokrąglił się na twarzy i zmarszczki przeorały jego wysokie czoło, ale wzrok, badawczy i przesywający, wciąż zdradzał błyskotliwy intelekt.

– Jesteśmy prawie na miejscu – zakomunikował. – Mam nadzieję, że nie zamęczyłem cię tymi bzdurami. To jedyna rzecz, na jakiej się znam. Nic już nie pamiętam z tego, czego uczono nas w Krzemieńcu. Nawet łacinę zapomniałem...

– Może to i dobrze. Ja pamiętam prawie wszystko i do niczego mi to nie jest potrzebne.

– Przecież byłeś doktorantem. Zaraz po wojnie cię przyjęli i nie masz jeszcze tytułu? Sądziłem, że myślisz teraz o profesurze.

– Daj spokój. Rzuciłem to. Nie miałem siły babrać się w tych wszystkich książkach, dokumentach. Mój promotor zaczynał się niecierpliwic, studenci zbyt łatwo zaliczali mój przedmiot. Dałem sobie spokój parę tygodni temu...

– Więc to świeża sprawa. Stary, jesteś teraz bezrobotny? – zapytał z troską w głosie.

– Nie. Przecież mam robotę u tego Wieresiłowa – zaprotestowałem. – Tłumaczyłem ci zresztą, po co przyjechałem do miasta. Przez jakieś trzy miesiące mam co robić, bo jego córka do bystrych raczej się nie zalicza, a ojcu zależy na jej wykształceniu.

– A co potem? Przecież to tylko parę miesięcy?

– Coś znajdę. Może w szkole? Nie jestem głupi. Kupię twoją gazetę, poczytam ogłoszenia o pracę i gotowe. Jest jeszcze moja rodzina.

– Optymista z ciebie – podsumował Bruno, skrecając gwałtownie w jedną z ciasnych bocznych uliczek. – Jesteśmy!

Dom aukcyjny nie wyróżniał się niczym spośród otaczających go starych, zabytkowych kamienic, chociaż jako jedyny miał drzwi wzmocnione stalowymi szynami i zakratowane okna. Bruno po dłuższych poszukiwaniach znalazł w końcu miejsce do parkowania. Wyszliśmy.

– Przyjechało mnóstwo ludzi – oznajmił z radością w głosie. – Patrz na te samochody! Przecież tam będą wszyscy, o których ci opowiadałem. Nie przypuszczałem, że ta aukcja będzie aż tak ciekawa. Chodź! Wszyscy są już w środku. I weź to, przyda ci się!

Wcisnął mi do ręki okazałych rozmiarów aparat i ruszyliśmy w stronę wejścia. Stojący w drzwiach dwaj potężni mężczyźni uważnie sprawdzali na liście nazwiska zainteresowanych aukcją. Bruno bezczelnie pomachał legitymacją prasową, a mnie przedstawił jako swojego fotografa.

Minęliśmy ich bez słowa i znaleźliśmy się w ogromnym holu, którego ściany zdobiły ciężkie, wyblakłe gobeliny przedstawiające sceny z jakiejś egzotycznej mitologii. W niektórych miejscach marmurowa podłoga była porysowana i wyżłobiona. Z sufitu pokrytego pękającymi freskami zwisały masywne żyrandole. Uświadomiłem sobie nagle, że jesteśmy w jednym z najstarszych budynków miasta, w tak zwanej Niebieskiej Kamienicy, średniowiecznej siedzibie cechu farbiarzy. Poczuję respekt przed tym majestatycznym ponadsześćsetletnim wnętrzem.

Kelnerzy dyskretnie krążyli z tacami pełnymi dzwoniących kieliszków szampana; dym cygar i opary mocniejszych alkoholi serwowanych w barze tworzyły gęstą zawiesinę, w której unosili się najbogatsi mieszkańcy miasta. Bruno szybko zostawił mnie samemu sobie. Był teraz w swoim żywiole: wtopił się w tłum, by złowić najnowsze informacje do kroniki towarzyskiej. A ja dłuższą chwilę stałem na środku sali, nie bardzo wiedząc, co zrobić z pustym kieliszkiem po szampanie.

Nie znałem nikogo, nie miałem też zamiaru nikogo poznawać. Powoli zaczynałem żałować, że dałem się namówić ten wyjazd i że w ogóle odwiedziłem Bruna. Zapomniałem, że miał on dość denerwujący zwyczaj ignorowania nawet najbliższych przyjaciół, jeżeli w jego polu widzenia znalazło się coś, czym się interesował. Teraz było podobnie. Na dodatek na mojej szyi wisiał potężnych

rozmiarów aparat fotograficzny, który niepotrzebnie zwracał na mnie uwagę.

Nagle hol wypełnił potężny, niski dźwięk dzwonu, który zapraszał na rozpoczynającą się aukcję. Zainteresowani ruszyli w stronę otwierających się drzwi do wysokiej kolumnowej sali. Tłum znacznie się przerzedził. Jak spod ziemi wyrósł przede mną Bruno.

– Dobrze, że jesteś – odetchnąłem z ulgą, starając się ukryć narastające zniecierpliwienie. – Ten aparat zaczyna się robić ciężki.

Bruno jednak wziął mnie pod rękę i rzucił półgłosem:

– Słuchaj. Coś tu się stanie. Czuję to.

Nie bardzo wiedziałem, co ma oznaczać ten konspiracyjny ton.

– Co tym razem? – zapytałem z przekąsem. – Jakiś zdradzony mąż? Czyjaś kochanka?

Spojrzał na mnie gromiącym wzrokiem. Jego twarz była poważna, usta zaciśnięte.

– Nie tym razem, stary. Teraz to coś poważniejszego. Jest Śnieg.

– Jaki śnieg?

Spojrzał na mnie z niesmakiem jak nauczyciel na ucznia, który nie rozumie podstaw poznawanego przedmiotu.

– Komisarz Śnieg – niemal sylabizował – z wydziału kryminalnego policji. Śledczy. Jeżeli on tu jest, jeżeli są tu jego chłopaki, to znaczy, że coś się stanie. On nie pojawia się ot tak sobie. Mówię ci.

– Może ochrania aukcję? – próbowałem jakoś wytłumaczyć tę podobno niezwykłą obecność. – Przecież to policjant. A czytałem w katalogu, że zgromadzone tutaj przedmioty są w sumie warte...

Parsknął zniesmaczony moimi domysłami.

– Myślisz, że Niebieska Kamienica nie zapewnia bezpieczeństwa aukcji? Połowa ludzi, na których się gapięś, to ochroniarze. Paradują we frakach i jedwabnych garniturach, ale to przeszkoleni do mordobicia ochroniarze. A każdy z nich ma za paskiem nabity rewolwer – zaśmiał się cicho. – Nie, Śnieg przyszedł tutaj po kogoś i ten ktoś już o tym pewnie wie...

Ton jego głosu wydawał się na tyle wiarygodny, że moim ciałem wstrząsnął przyjemnie podniecający dreszcz. A więc będziemy obserwowali kulminacyjny moment jakiegoś śledztwa? Do tego domu prowadzą nitki podejrzeń, śladów, dowodów? Poczujęm

uderzenie gorąca. Bruno szarpnął mnie za rękaw, nim zdążyłem ochłonąć. Ruszyliśmy za ostatnimi ludźmi znikającymi w sali kolumnowej, gdzie od kilku minut trwała już aukcja.

Pomieszczenie zastawione było wysokimi, misternie rzeźbionymi krzesłami, na których sztywno siedzieli zgromadzeni goście. Przez wąskie witrażowe okna sączyło się wielobarwne światło. Panowała tutaj napięta atmosfera, jakże różna od szczebiotliwego, wesołkowatego nastroju, który tak bardzo denerwował mnie w holu. Rozczarowałem się jednak, gdy uświadomiono mi, że wszystkie przedmioty spoczywają w sejfie na ostatnim piętrze budynku. Stojąc razem z Brunem w kącie sali, widzieliśmy tylko tyły głów i docierały do nas ciche rozmowy, w których najczęściej pobrzmiwały wymawiane z respektem wstępne oferty. Co jakiś czas nasze spojrzenia krzyżowały się – byłem pewny, że obaj wypatrujemy osoby, która miała zostać tu aresztowana. Jeżeli oczywiście domysły Bruna miały się sprawdzić...

Właśnie ostatnie koperty z ofertami zakupów wysypano na stół stojący na środku sali, a przedstawiciel domu aukcyjnego, dostoyny jegomość w błękitnym surducie, spojrzął na zegarek i zaczął układać je według kolorów.

Nagle w okolicach trzeciego rzędu zauważyłem dziwny ruch; kilku mężczyzn wstało jednocześnie i pochyliło się nad siedzącym człowiekiem. Ten w ułamku sekundy rzucił się przed siebie. Był wysoki i sprawiał wrażenie wysportowanego. Zostawił marynarkę w rękach ścigających go policjantów i znalazł się pod jedną z kolumn. Objął wzrokiem całe pomieszczenie, szukając drogi ucieczki. Zanim policjanci przedarli się przez zastawiony krzesłami środek sali, mężczyzna biegł już w stronę jedyne niedomkniętego okna. Liczył na to, że zdoła się przecisnąć przez tę wąską szczelinę i skoczyć bezpiecznie z pierwszego piętra na ulicę.

Uczestnicy aukcji z niepojętym dla mnie spokojem obserwowali całe to zamieszanie – nikt nie krzyczał, żadna kobieta nie zemdląta. Na ich twarzach rysowało się raczej bezgraniczne zdumienie pomieszane z zaciekawieniem. Chciałem podzielić się z Brunem swoją obserwacją, ale on, dając świadectwo profesjonalizmu, celował właśnie aparatem w dobiegającego do okna przestępcę.

Podświadomie życzyłem mu szczęścia – bylibyśmy wtedy świadkami sceny rodem z podrzędnego filmu przygodowego.

Uciekający mijał właśnie ostatni rząd krzesel i już zbierał się do skoku w stronę okna, gdy nagle na jego drodze stanął potężny, barczysty mężczyzna. Uciekinier liczył pewnie na to, że zdoła go odepchnąć, ale ten, wzięwszy potężny zamach, przewrócił go na ziemię jednym pchnięciem. „To musi być Śnieg”, pomyślałem, przyglądając się kanciastej, niemal prymitywnej sylwetce mężczyzny, która kontrastowała z jego współczującą twarzą.

Policjanci podnieśli zbiega z podłogi i wywlekli z sali. Komisarz Śnieg odchrząknął, by pełnym zakłopotania głosem oznajmić:

– Proszę państwa, jest nam niezmiernie przykro, że zakłóciliśmy przebieg aukcji. Życzę udanych zakupów – dodał z delikatnym uśmiechem i podążył za swoimi ludźmi.

* * *

– Chyba jesteś zadowolony, co? – zapytałem podekscytowany, gdy wracaliśmy. – Była afera. Masz zdjęcia. Gazeta się sprzeda. Wszyscy zadowoleni. Widziałeś, jak Śnieg powalił tego człowieka? Jednym ciosem!

Bruno milczał. Widziałem, jak agresywnie prowadzi i nerwowo zaciska szczęki.

– Wiesz, kogo aresztowano? – zapytał wreszcie grobowym głosem i, nie czekając na odpowiedź, powiedział: – To był Eustachy Płanetnik. Pewnie nie wiesz, kto to jest.

Zdenerwował mnie ten jego protekcjonalny ton.

– Nie wiem, ale pewnie mi to zaraz powiesz, prawda?!

– Nie złość się, stary – gwałtownie zahamował przed ruchliwym skrzyżowaniem i przetaił dłonią zmęczone oczy. – Z tego materiału nic nie będzie. Eustachy Płanetnik to najmłodszy syn Konstantego Płanetnika. A ten stary cap to jeden z najbogatszych ludzi w kraju. I na dodatek jest współwłaścicielem „Trybuny”. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową. Jednak czułem, że jest jeszcze coś...

– Powiedz mi, tylko szczerze, znałeś go, prawda?

Gwałtownie ruszył, auto zawyło i szarpnęło do przodu jak potraktowane impulsem elektrycznym.

– Był kiedyś moim przyjacielem.

Bruno jako homoseksualista rezerwował słowo „przyjaciel” dla wyjątkowych związków.

ROZDZIAŁ TRZECI



Śnieg był zmęczony, a przecież jego dzień pracy miał potrwać jeszcze kilka godzin. Tak długo, aż aresztowany powie coś, co mogłoby popchnąć śledztwo do przodu.

Komisarz odstawił filiżankę mocnej herbaty – była wciąż za gorąca – i podszedł do okna. Wieczorne niebo traciło blask, kilka spłoszonych jaskółek kreśliło w powietrzu spirale. „Jest tak spokojnie, tak cicho”, pomyślał z żalem, „a mnie czekają krzyki, jęki, modlitwy”.

Wypił herbatę. Spojrzawszy ostatni raz w okno, założył marynarkę i wyszedł z gabinetu. Bez słowa przeszedł przez pokój, w którym cicho pracowali podlegli mu śledczy. „Ta sprawa zaczyna być męcząca, wciąż szukamy po omacku, wciąż zataczamy kręgi i wracamy do punktu wyjścia. Jak jaskółki. Tylko że teraz możemy mieć świadka, a może nawet sprawcę. Gorzej, że ten człowiek nazywa się Płanetnik”.

Zbiegł kilka pięter po schodach i znalazł się w najściślejsz strzeżonym skrzydle budynku. Areszt i pokoje przesłuchań. Mijał salutujących umundurowanych funkcjonariuszy, kilka razy mimowolnie podniósł rękę, by odpowiedzieć na pozdrowienia kolegów. Chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

Zatrzymał się przed drzwiami i zajrzał do środka przez małe zakratowane okienko. W pokoju umeblowanym jedynie trzema krzesłami siedział młody mężczyzna, który rozcierał obolałe od kajdanek nadgarstki. Wokół niego krążył jak sęp młody komisarz

Lesman. „Dlaczego wszystko kojarzy mi się dziś z ptakami?”. Z tym pytaniem kołaczącym się w głowie wszedł do pokoju.

– Jesteś nareszcie – ucieszył się Lesman, klepiąc aresztanta po plecach. – Nie chciałem zaczynać bez ciebie. Siedział cichutko, ale boi się jak diabli.

Śnieg usiadł na wolnym krześle i przyjrzał się aresztowanemu.

– Masz rację – zwrócił się do kolegi – boi się. Ale nie wiemy kogo. Czy nas, czy ojca, czy tych, o których wszystko nam powie. Jak myślisz, Lesman, czego on się boi?

Młody mężczyzna poczuł na ramieniu silną, żyłastą dłoń policjanta. Dłoń zacisnęła się delikatnie, palce zdawały się badać jakość materiału koszuli, którą miał na sobie przesłuchiwany.

– To pewnie jakiś drogi materiał, co? – zapytał Lesman. – Jedwab, prawda? Barwiony gdzieś na wschodzie, bo widać delikatnie tęczujące nitki. Nawet w tym świetle. Zabawne, że znaleźliśmy cię właśnie w domu farbiarzy. Dziwny zbieg okoliczności. Tak zwana ironia losu.

Mężczyzna wciąż milczał. Patrząc nieobecny wzrokiem, wydawał się całkowicie odcięty od otoczenia.

Śnieg wstał z krzesła. Trzeba pójść dalej.

– Twój ojciec jeszcze nie wie, że tu jesteś – zaczął. – Zanim wróci z zagranicy, minie kilka dni. A zanim porozmawiasz z kimś, kto nie jest policjantem, miną całe godziny. Godziny rozmowy albo godziny wyciągania z ciebie strzępów informacji. To będzie bardzo krępujące dla kolegi, a dla ciebie upokarzające. Więc który wariant wybierasz?

Odpowiedziało mu milczenie. Lesman stanął nad młodzieńcem i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki stalową kasetkę, z której wyjął strzykawkę.

– Zrobimy tak. Będzie mały zastrzyk. Malutki. Nie będzie bolało. Trochę się spocisz i poczujesz w głowie lekkie pulsowanie. To będę ja, wiesz – policjant zaczął się bawić strzykawką. Oczy młodego Płanetnika rozszerzyły się z panicznego strachu, ale wciąż milczał. – Zadamy ci parę pytań. Zobaczysz kilka twarzy, które być może już widziałeś. Może nawet będzie tam twarz tego młodego chłopaka, którego znaleźliśmy tydzień temu nad rzeką. A może twarze innych. Mam całą teczkę zdjęć. Same piękne, gładkie twarze, rozumiesz?

Płanetnik zeszywniał i wbił wzrok w policjanta. W porównaniu z demonicznym Lesmanem Śnieg wyglądał niemal sympatycznie.

– Więc jak będzie, chłopcze? – zapytał. – Robimy zastrzyk?

Płanetnik wziął głęboki oddech i zapytał drżącym głosem:

– Czego ode mnie chcecie? Nie wiem, czy mogę wam cokolwiek powiedzieć. Jestem tutaj przypadkiem... Nie wiem niczego, co mogłoby wam pomóc.

– Gdybyś był tutaj naprawdę przypadkiem, nie uciekałbyś przed moimi kolegami. Masz coś na sumieniu, nie jesteś czysty, ale możesz nam pomóc – powiedział komisarz. – Możesz mówić prawdę, a wtedy szybko stąd wyjdiesz. Wystarczy nam pół godziny. Zgadzasz się? – aby podkreślić brak alternatywy, Lesman stanął obok Śniega i zaczął od niechcienia bawić się gotową do użycia strzykawką.

– Powiemy ci, co już wiemy, żebyś nie musiał się powtarzać – zaczął Lesman. – Wiemy, że w twoim domu działy się dziwne rzeczy. Kilka razy w miesiącu organizowałeś tam dość specyficzne spotkania; przyszło mi nawet na myśl, że ty i twoi goście urządzaliście orgie. Tym bardziej, że znaleźliśmy przedmioty związane z kultem Bachusa. Wiesz, o czym mówię. Te rzeźbione puchary, instrumenty...

– Jestem kolekcjonerem – próbował tłumaczyć się Płanetnik.

Śnieg uśmiechnął się szeroko, ale zignorował te słowa.

– Nas nie interesuje strona obyczajowa tej ponurej sprawy, ale jeżeli giną ludzie, wtedy zaczynamy się zastanawiać. A podejrzewamy, że ludzie, którzy zginęli, byli w twoim domu.

Aresztowany gwałtownie zaprotestował:

– Nikogo nie zabiłem! Nic nie zrobiłem...

– Chcę ci wierzyć, mój drogi, ale jeżeli nie ty, to z pewnością ktoś inny – uspokoił go Śnieg. – Czterech młodych mężczyzn. Wszyscy zasztyletowani tą samą bronią, wszyscy znalezieni na brzegu rzeki w pobliżu parku miejskiego. Czytałeś o tym w gazetach. Powiedziałaś, że jesteś kolekcjonerem, prawda? To szlachetna pasja. A wiesz, że ostatni z zamordowanych chłopaków miał włosy spięte dość ciekawą klamrą? Okazało się, że ten kawałek metalu ma prawie dwa tysiące lat. Rozumiesz? Teraz już wiesz, jak do ciebie trafiliśmy.

– I jeżeli nie ty zabiłeś tych chłopaków, to z pewnością domyślasz się, kto mógł to zrobić – podjął Lesman.

– A jeżeli się nie domyślasz, to na pewno możesz nam podać listę gości, których zapraszałeś do domu. Reszta będzie należała do nas. Rozumiesz?

Śnieg był pewny, że aresztowany za chwilę pęknie. Podczas każdego przesłuchania jest taki moment, gdy to się czuje, gdy mięśnie przestają się napinać... Młody Płanetnik odwrócił twarz, jego ciałem targnął spazm, nawet nie płacz. Komisarz posłał Lesmanowi tryumfujący uśmiech. Ten sięgnął po notatnik i podał go roztrzęsionemu chłopakowi.

– Pisz nazwiska wszystkich, których pamiętasz – polecił. – Niczego nie ukrywaj i nie zmyślaj.

– Nie znam nazwisk wszystkich, którzy przychodzili, czasami ktoś przyprowadzał znajomego, a czasami wcale się nie przedstawiali... – usprawiedliwiał się drżącym głosem Płanetnik. Przypominał tłumaczące się dziecko. Delikatne, przerażone dziecko, które boi się, że ojciec może je tutaj zostawić.

– Pisz wszystko, tylko nie kłam.

* * *

Śnieg wrócił do swojego gabinetu. Był zadowolony, że wszystko tak szybko się skończyło. Pół godziny trwało spisywanie zeznań młodego Płanetnika, następne pół – notowanie nazwisk. Niektóre były komisarzowi całkowicie obce, kilka kojarzył z dawno już zapomnianymi sprawami. „Na dzisiaj dosyć”, postanowił, „a jutro zabieramy się do dalszej pracy. Trzeba powysyłać ludzi, trzeba przygotować wniosek o tymczasowe aresztowanie Płanetnika – na wolności mógłby kogoś ostrzec, coś ukryć albo zniszczyć... Jego ojciec będzie musiał się pogodzić z tym, że najmłodszy syn posiedzi w areszcie jeszcze kilka tygodni. Potem może go jakoś wykręci z tej afery”.

Zamknął okno, przez które zaczynały wlatywać owady zwabione światłem lamp. Wieczór przeszedł w ciepłą, nieco duszną noc. Usiadł i wyciągnął z kieszeni podręczną talię Heraklita – ten prościutki system wróżenia za każdym razem idealnie

podsumowywał to, co działo się w jego życiu, lub zapowiadał, co może przynieść najbliższa przyszłość.

Przetasował karty i wyciągnął pierwszą z brzegu. Przeczytał: „Oczy są pewniejszymi świadkami niż uszy” [*wszystkie aforyzmy Heraklita – oznaczone gwiazdkami – pochodzą z książki Zygmunta Kubiaka Literatura Greków i Rzymian*]. Uśmiechnął się i z trudem powstrzymał ziewnięcie. Był zmęczony, zbyt zmęczony, by wątpić teraz w wiarygodność zeznań. Jeżeli nawet aresztant kłamał, prędzej czy później dowiedzą się o tym, a on odpowie za składanie fałszywych zeznań.

Wstał od biurka, zebrał wszystkie papiery i zamknął je w szafie pancерnej. Jego ręka już sięgała do włącznika światła, gdy ciszę przerwało energiczne pukanie do drzwi gabinetu. Zdziwił się. „Zbliża się dwudziesta pierwsza, a ktoś jeszcze ma siłę, by mnie nachodzić?”

Otworzył i zaklął cicho. Zapomniał o jeszcze jednej sprawie do załatwienia. Wpuścił do środka chudego, niewysokiego mężczyznę, który natychmiast wyciągnął do niego rękę. Komisarz uściśnął ją, chyba nawet zbyt mocno, bo gość natychmiast lekko się skrzywił i odsunął o krok.

– Dziękuję, komisarzu, że skoordynowaliśmy nasze działania – zaczął. – Gdyby nie widowiskowy pościg za tym młodym człowiekiem, nie wiem, czy udałoby się nam wyprowadzić z sali Tcherniacka. Wiedzieliśmy, że opuści niemiecką ambasadę, ale nie mogliśmy zgarnąć go z ulicy, zanim nie skontaktuje się ze swoim człowiekiem. Znaleźliśmy go... Urwał, widząc, że Śnieg wpatruje się bezmyślnie w najciemniejszy kąt pokoju.

– Jeżeli pana nudzę...

Komisarz natychmiast się ocknął.

– Nie, nie nudzi mnie pan, panie Forst. Jestem po prostu zmęczony. Całą dobę nic nie jadłem, żyję wyłącznie dzięki mocnej herbacie, a tę szpiegowską historię znam. Tłumaczył mi ją pan przez cały tydzień.

Chudy mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– W takim razie nawet nie będę siadał. Jeszcze raz chciałem podziękować za współpracę – skierował się w stronę drzwi i dodał: –

Jeżeli nasz wydział będzie miał okazję się odwdzięczyć... Proszę odpocząć.

Po wyjściu gościa Śnieg machinalnie przetasował leżące na biurku karty. „W zmianie jest odpoczynek. Ciężka to udręka pracować dla jednego władcy”, przeczytał na wyciągniętej z talii karcie. Zamyślił się. „Potrzebuję odmiany...”.

* * *

Następnego ranka nie mógł opędzić się od wyrzutów sumienia. Zasnął. Zjawił się w pracy dwie godziny za późno i liczył na to, że od samego rana nikt go nie szukał. Wpadł do gabinetu i natychmiast otworzył okno – pokój nagrzał się do nieprzyzwoicie wysokiej temperatury. Odemknął szafę pancerną, by wyciągnąć z niej wczorajsze akta, gdy rozległo się pukanie i do środka wpadł zdyszany Lesman.

– Dobrze, że pan jest! – krzyknął na powitanie. – Sędzia wydał już nakaz aresztowania tego młodego. To niesamowite! Stary Płanetnik wrócił w nocy z Monachium i właśnie siedzi w sądzie z całą armią prawników! Wszędzie pełno pismaków! Aleśmy wczoraj narobili bałaganu – ostatnie słowa Lesman wypowiedział z wyraźnie wyczuwalną dumą.

Śnieg spojrział na niego z politowaniem. Młodszy kolega nadal nie potrafił ukrywać emocji, wciąż biegał i rozповідаł wszystkim o najmniejszym nawet sukcesie. Było w nim tyle samo zapału co krótkowzroczności. „Ile lat trzeba pracować w policji, by wiedzieć, że im mniej zamieszania, tym lepiej dla wszystkich? Muszą być zachowane przynajmniej pozory równowagi, jeżeli nie można jej naprawdę zagwarantować. Czy młodego Płanetnika trzeba było aż tak upokarzać? Czy jego ojciec musi teraz na oczach wszystkich udowodniać, jak bardzo zależy mu na najmłodszym dziecku? Bogowie! Gdyby cokolwiek ode mnie zależało... Ale nic od nas nie zależy. Jedni drżą przed ojcem, inni przed kontrwywiadem. Nad każdym wisi jakiś miecz”.

– Tylko tyle chciałeś mi powiedzieć? – ostudził zapał młodzieńca. Ten zmieszał się i niespodziewanie spłonął rumieńcem.

– Miałem pana znaleźć. Wzywają pana do pokoju 96.

Komisarz zamrugnął zaskoczony.

– Na pewno chodzi o pokój 96? – zapytał, by ostatecznie się upewnić. Lesman mógł się przestyszeć, coś źle zapamiętać, po tym szczeniaku wszystkiego można się spodziewać.

– To głupie, wiem, ale zapisałem sobie ten numer na dłoni, żebym nie zapomniał – chłopak uśmiechnął się z zakłopotaniem i pokazał nagryzoloną liczbę.

– W porządku – Śnieg pokiwał głową i ruszył w stronę drzwi. – Jeszcze jedno: umyj ręce, dobrze?

„Pokój 96. Niech i tak będzie”, pomyślał i natychmiast przyłapał się na tym, że szuka w kieszeniach talii Heraklita. Musiał ją gdzieś zostawić. W domu? Na stole w kuchni, gdzie ledwie zdążył wypić herbatę? W samochodzie? Może nawet nie zabrał jej wczoraj wieczorem z biura? „Jaka wróżba była na dzisiaj? Nieważne”, przywołał do porządku swoje rozkojarzone myśli. Wsiadł do windy i wjechał na ostatnie piętro budynku.

Pokoju pilnował nieumundurowany funkcjonariusz. Przyjrzał się komisarzowi z wyuczoną podejrzliwością i wpuścił go do środka. Drzwi bezszelestnie zamknęły się za mężczyzną i Śnieg ruszył długim, wąskim korytarzem, na którego końcu kolejny policjant już otwierał księgę wejść i wyjść, by gość mógł się w niej podpisać. Dopełniwszy tej formalności, przeszedł przez prawdziwe opancerzone wrota, nad którymi błyszcząły złote cyfry.

Wewnątrz panował półmrok, a małe lampki zamontowane w ścianach wskazywały drogę do konkretnych sektorów Pokoju. Wybrał szlak fioletowych światełek i ruszył niepewnie. Słyszał kroki tłumione przez grubego dywan, docierały do niego głosy, ale nie był w stanie wyodrębnić żadnego konkretnego słowa. „Pełno tu duchów”, pomyślał.

Minął kolejny zakręt i znalazł się w nasyconym fioletową poświatą pomieszczeniu, na którego środku ustawiono ogromny okrągły stół. Wokół niego krążyli trzej mężczyźni, uważnie przeglądając rozrzucone na blacie kartki i mapy. Komisarz już chciał ich pozdrowić, ale byli tak pogrążeni w pracy, że z pewnością nie zwróciliby na niego uwagi. Minął ich bez słowa i ruszył do ostatniego z pomieszczeń w tej części Pokoju. Wiedział, że czeka tam na niego Sosnowski, opiekun kalendarza brontoskopicznego.

W pokoju krzątał się wysoki, starszy mężczyzna. Od czasu do czasu potrząsał nerwowo siwą głową i poprawiał wciąż zsuwające się z nosa okulary. Niemal natychmiast zauważył komisarza przekraczającego próg jego skromnego gabinetu.

– Jesteś! – zawołał na powitanie. – Czekałem na ciebie od samego rana.

Śnieg uściśnął serdecznie dłoń przyjaciela.

– Coś się stało? – zapytał podejrzliwie. – Nigdy mnie tutaj nie wzywacie bez powodu...

– Musimy się przejść – oznajmił mężczyzna i wziął komisarza pod rękę. – Chcę ci coś pokazać w kalendarzu. I upewnić się co do niektórych rzeczy – dodał po chwili.

Mężczyźni minęli pochylonych nad stołem techników. Milcząc, pokonali kolejne kręte korytarze i stanęli przed drzwiami, do których dostępu bronił funkcjonariusz. Śnieg nie mógł się nadziwić, ilu środków bezpieczeństwa wymaga utrzymanie w tajemnicy nawet bardzo mglistej przyszłości. Od czasu wprowadzenia ustawowego zakazu profesjonalnego badania przyszłości wielu „techników” zeszło do podziemia, wielu pracuje na własną rękę, sprzedaje swoje usługi ludziom, dla których nawet skrawek przyszłości może mieć konkretną, z reguły bardzo wysoką, wartość. Na szczęście tylko państwo mogło sobie pozwolić na tak drogi (i precyzyjny) sprzęt jak system kalendarza brontoskopicznego.

Na ścianie w głębi owalnego pomieszczenia wisiała ogromna tarcza podświetlona kłębiącymi się pod szkłem fosforyzującymi przewodami. Szklany okrąg przedstawiał mapę nieba podzielonego na szesnaście równych części. W każdej zaznaczano rodzaj, wygląd i siłę pojawiających się na niebie błyskawic. Te informacje analizował właśnie Sosnowski, który potrafił znaleźć w nich przesłanki dla bliższej i dalszej przyszłości.

Nie była to żadna sztuczka – typowa koincydencja wydarzeń. Przez całe dziesięciolecia notowano i katalogowano każdą dającą się opisać formę błyskawicy i porównywano ją ze zdarzeniami, które zaszły tuż po zaobserwowaniu piorunów. Zapisano w ten sposób dziesiątki tomów, dzięki którym udało się zaobserwować subtelną grę pomiędzy zjawiskami atmosferycznymi a mającymi nastąpić po nich wydarzeniami.

Sosnowski dysponował znakomitym zespołem technicznym: cały Pokój 96 był jednym wielkim mechanizmem, w którym człowiek stanowił tylko narzędzie obserwacyjne lub analityczne. A on sam był głównym interpretatorem, augurem, kimś, kto spisywał raporty i przysyłał je owemu mitycznemu „wyżej”, o którym nawet Śnieg nic nie wiedział. „Może to i dobrze”, pomyślał, „może to i dobrze, że jest ktoś, kto tłumaczy nasze błędy, kto wysyła raporty jeszcze wyżej i jeszcze dalej...”.

Mężczyźni podeszli do tarczy kalendarza. Promieniowała ciepłem i pachniała elektrycznością. Sosnowski sięgnął po wskaźnik i obrysował nim dwa lśniące zimnym światłem miejsca. Pozostałe sektory kalendarza były puste.

– Widzisz – zaczął tłumaczyć – to mnie szczególnie niepokoi. Te dwa pola obserwacji. Zjawiska z przedwczoraj i ubiegłego czwartku.

– Przecież od dwóch tygodni nie było burzy – zdziwił się Śnieg.

– Nie bądź dzieckiem! – skarcił go Sosnowski, który był wyjątkowo wrażliwy na punkcie swojego profesjonalizmu. – Dobrze wiesz, że burza nie jest warunkiem niezbędnym, by przeprowadzić obserwacje. Przesłony są otwarte okrągłą dobe...

– Więc co z tymi polami?

– To bardzo niepokojące – starszy mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik i go przewertował. – Nie będę cię zanudzał szczegółami, przeczytam ci, co zdążyłem znaleźć w naszych zbiorach. Najpierw zjawisko z czwartku. Sektor ósmy, tak zwany potrójny trójzęb, tło jednolite, pozbawione poświaty, płaski w stosunku do punktu obserwacyjnego, nachylenie względem nieba nieznaczne, około 15 stopni...

– A jakie są wnioski? – zaryzykował pytanie policjant. – Czego mamy się spodziewać?

Sosnowski poprawił okulary. Zrozumiał chyba, że specjalistyczne szczegóły mogły dezorientować.

– Wnioski są takie, że z identyczną konfiguracją spotkaliśmy się już w 1879, późnym latem, i jesienią 1912. Mówią ci coś te daty?

Śnieg poczuł się jak egzaminowany. Pytanie nie padłoby jednak, gdyby nie miał szansy na nie odpowiedzieć. Powinien coś sobie przypomnieć, skojarzyć. W 1912 od dwóch lat pracował w policji, był asystentem komisarza Rode w jakimś miasteczku na rubieżach

Korony. Po kilku latach mozolnej i mało wymagającej pracy przeniesiono go do Antipolis. 1912? Co się wtedy działo? „To musiało być coś poważnego, skoro tu jestem, a on świdruje mnie tymi swoimi załzawionymi oczami. O czym wtedy pisały gazety? Czy to jakiś żart starego lisa?”. Żart. Olśnienie.

– Trefniś – powiedział Śnieg, odstaniając zęby w nieszczerym uśmiechu. „Nie złapałeś mnie, nie tym razem”, pomyślał. Sosnowski odwzajemnił uśmiech.

– Masz dobrą pamięć – pochwalił młodszego kolegę. – Czternaście zaszlachtowanych osób. Kobiety, mężczyźni, dzieci, starcy. Trefniś nie wybierał. A może wybierał według jakiegoś koszmarnego klucza. Do dziś nie wiemy. Tamta seria urwała się tak nagle, jak się zaczęła. Pamiętasz?

Przytaknął. Był wówczas młody i, siedząc na prowincji, czytał nawet najmniejszą wzmiankę o serii brutalnych morderstw w Antipolis. Była jesień. Wygrzewał się na ławce przed komisariatem, miażdżył dłońmi młode orzechy i marzył o podniecającym, niebezpiecznym pościgu za zwyrodnialcem, który sztyletował niewinnych ludzi, a potem domalowywał im szminką groteskowe krwistoczerwone uśmiechy. Nigdy go nie złapano. Zbrodnie nie zostały pomszczone, winy nie zmasano, równowaga pozostała zakłócona...

Nagle zrozumiał, do czego stary zmierzał. Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz, poczuł, że pocą mu się dłonie. Czy przez ten cały czas łudził się, że wyjdzie stąd z dobrymi, w najgorszym razie neutralnymi, wiadomościami?

– Możesz się spodziewać czegoś podobnego – oznajmił cichym, wyważonym głosem Sosnowski, starając się uspokoić wyraźnie zdenerwowanego kolegę. – Jeżeli jeszcze tego z czymś nie łączysz, rozejrzyj się. Może jeszcze nie jest za późno, by zatrzymać lawinę.

Komisarz zazgrzytał zębami.

– Mamy cztery trupy. Czterech zabitych chłopaków. Padli z tej samej ręki, bez dwóch zdań. Ten sam rodzaj śmierci – westchnął ciężko, jakby zabrakło mu tchu. – Od wczoraj jesteśmy bliżej rozwiązania. Mam nadzieję...

Powietrze między mężczyznami nagle zgęstniało. Śnieg pomyślał, że to nie wszystko, że coś jeszcze odczytano z

kalendarza, że stary obrysował swoim miedzianym wskaźnikiem jeszcze jeden obszar, zapewne następne nieszczęście. „Najgorsze jest to, że my nawet tego nie budzimy, nie wywołujemy wilka z lasu, my po prostu widzimy z daleka, jak nadchodzi, i niczego nie możemy zrobić”.

– Jest coś jeszcze, prawda? – zapytał, gotowy na najgorsze wiadomości.

– Jest – potwierdził stary – z przedwczoraj. Tak zwany odwrócony witraż w sektorze czternastym. Ostatni raz zaobserwowany jesienią 1822 roku... – tę datę niemal wyszeptał. Każdy ją znał, od zawsze.

– Bogowie! – krzyknął policjant. – Kto jeszcze o tym wie?!

– Cała Góra – powiedział Sosnowski, przecierając zmęczone oczy. – Teraz służby mają się o tym dowiedzieć. Trzeba zapobiec...

– Wiem, wszystko wiem...

* * *

„Teoria jest tylko teorią”, powtarzał w myślach Pióro. „Nawet jeżeli mam rację, nie będę w stanie niczego nikomu udowodnić. Kto by słuchał teoretycznych rozważań starego, tracącego pamięć człowieka. Kto uwierzy, skoro nawet dziekan wydziału teologii odgraża się, że odbierze mi katedrę”.

„Gdyby chociaż żył Schliemann”, westchnął. „On poparłby moje teorie, jego autorytet zamknąłby gęby tym przemądrzałym...”, zabrakło mu słowa. Coraz częściej brakowało mu słów. Ostatnio przytapał się na tym, że musiał użyć skomplikowanej metafory zamiast słowa „stół”.

„Schliemann, Schliemann... Nasze dni już minęły. Ty, po drugiej stronie Lete, zapomniałeś o naszych wyprawach. Ja też tracę pamięć. Jakby ktoś podsunął mi zamiast kawy wodę z krainy umarłych. Staję się pompatyczny, to cecha starych ludzi”, pomyślał ze złością. „Ile jeszcze wytrzymam? Jak długo będą szli mi na rękę, zanim stwierdzą, że pracuję za wolno i nieefektywnie? Mógłbym spisać wspomnienia, przeżyłem dosyć, ale niczego nie jestem pewny w stu procentach”.

Podniósł się ciężko i pomagając sobie laską, dotarł na drugi koniec pracowni. Dumny był, że po drodze nie przewrócił żadnego z

otaczających go przedmiotów. „Są starsze ode mnie i przeżyją mnie o setki lat. I znów ta pompatyczność, ten podniosły ton...”, chwycił za słuchawkę i wykręcił numer.

– Proszę przynieść do mojej pracowni ryzę papieru i taśmę do maszyny – zażądał od swojego asystenta, którego głównym zadaniem było odbieranie telefonów od profesora. – Tak, czarną. Sam ją zmienię. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i zaczął porządkować piętrzące się wokół teczki. „Tylko ja jestem w stanie odnaleźć się w tym chaosie. Głupi byłem, że nikogo nie wtajemniczyłem w moją systematykę. Gdy zacząłem tu pracować, duma mnie rozpieła, że wynalazłem nowy sposób katalogowania zbiorów. Miało to wiele tłumaczyć, wyjaśniać pewne ciemne i na pozór nieprzewidywalne wydarzenia z przeszłości. Tak, wymyśliłem nowy język, a teraz nikt nie będzie potrafił odczytać notatek, które zostawię w tym pokoju. Nikogo już nie zdążę tego nauczyć”.

Rozległo się dyskretne pukanie i do pracowni wszedł asystent Pióry – niewysoki, lekko łysiejący młodzieniec. Bez słowa położył papier i taśmę na biurku profesora i wyszedł. Gdyby nie delikatne zamknięcie drzwi, można by pomyśleć, że przyniesione przedmioty zmaterializowały się za sprawą kolejnej epifanii. Po kilku minutach czarne od taśmy palce stuknęły w wytarte klawisze maszyny do pisania. Powstawał ostatni rozdział pracy pod tytułem *Tarcza Achillesa – analiza i interpretacja rytów*.

ROZDZIAŁ CZWARTY



Już wiedział, że mogą być na jego tropie. Wiedział o tym od momentu, gdy rano przeczytał w „Trybunie Antipolis” o aresztowaniu Eustachego. Podobno ścigano go po całym domu aukcyjnym i zanim skuto kajdankami, zdążył znokautować kilku policjantów. Wątpliwa sprawa. To nie w jego stylu. Ucieczka tak, ale nie przemoc lub jakakolwiek siłowa konfrontacja.

Ze złością zgniótł gazetę i wrzucił do kosza stojącego kilkanaście metrów dalej. Typowa dziennikarska przesada!

Nie zmieniało to jednak faktu, że Płanetnika przesłuchiowano i wyduszono z niego wszystkie możliwe nazwiska. „Trzeba będzie zamknąć naszą małą lożę, bachanalia przesunąć w bliżej nieokreśloną przyszłość”, pomyślał. Oparł się o twarde, szeroki kontuar i próbował przynajmniej naszkicować swoje położenie. Nie było ono godne pozazdroszczenia.

Nagle do jego uszu dotarł dźwięk, którego podświadomie wyczekiwał – kroki właściciela sklepu, lekko kulejącego, starego mężczyzny podpierającego się ciężką laską. Szybko oderwał się od kontuaru i podbiegł do drzwi. Odsunął potężne zasuwę i podniósł metalowe żaluzje, odsłaniając okna wystawowe. Sklep galanteryjny zalał potok słonecznego światła. Manekiny rzucały teraz za siebie długie cienie, a w powietrzu wirowały drobinki kurzu.

Kroki właściciela dudniły kilkadziesiąt metrów dalej. Stary Overgoor wychodził właśnie zza rogu ulicy. Sprzedawca odetchnął, chociaż wiedział, że i tak zostanie przywitany stekiem złorzeczeń i

pretensji. Szarpnięte drzwi potrąciły wiszącą nad nimi kiść dzwoneczków. Tak rozpoczął się każdy kolejny dzień pracy.

– Dzień dobry! – pozdrowił uprzejmie starego, który nie zwrócił najmniejszej uwagi na swojego pracownika. Przeszedł przez sklep i usiadł w przysadzistym fotelu, z którego mógł obserwować całe pomieszczenie. Milczał kilka minut, obracając w palcach laskę.

– Dzień dobry, Mraczewski – odpowiedział w końcu. – Wiesz, że już jest lipiec?

Mraczewski potwierdził skinieniem głowy. Wiedział doskonale, co znaczy to pytanie. Bilans pierwszego półrocza, całe kolumny liczb, zestawienie kosztów i zysków, porównanie z pierwszym półroczem zeszłego roku. Dziesiątki godzin liczenia, a wystarczy jeden błąd, by posypała się misterna konstrukcja księgi rachunkowej. Nie było sensu przekonywać starego, że zatrudnienie księgowego jest lepszym rozwiązaniem niż wieczne spychanie odpowiedzialności za rachunki na pracowników. Overgoor był głuchy na wszelkie argumenty, dlatego od czasu śmierci swojego księgowego nie zatrudnił nikogo nowego, nie ufał nikomu, a starych pracowników motywował bajecznymi premiami. „Trzeba mu przyznać”, pomyślał Mraczewski, „że sklep przynosi ogromne zyski, a on dzieli się z nami uczciwie i regularnie”. Niespodziewanie przyszło mu do głowy, że jego szef przypomina starzejącego się ojca, który utrzymuje przy sobie synów za pomocą obiecaną w testamencie schedy. „Czy on w ogóle ma dzieci?”.

– Bilans będzie gotowy pod koniec tygodnia – zapewnił Mraczewski – bo nie mam jeszcze wszystkich rachunków. Nie przysłano nam... – urwał. Usłyszał przyspieszające tętno Overgoora, serce zaczęło szybciej pompować krew. Za chwilę wybuchnie.

– Nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń! – wrzasnął starzec i uderzył laską o podłogę. – Płacę ci tyle, ile inni kupcy płacą dziesięciu takim jak ty! Nie dyskutuj, tylko wykonuj to, co do ciebie należy!

Sprzedawca z trudem opanował nerwy.

– Tak, panie Overgoor, wszystko będzie na koniec tygodnia i ani dnia dłużej.

– To dobrze, że się rozumiemy. Nie możesz chyba powiedzieć, że nie opłaca ci się znosić kaprysów pracodawcy.

– Nie, nie mogę tego powiedzieć – przyznał.

Stary podniósł się z fotela i przespacerował po swoim królestwie. Mijał szeregi manekinów strojnych w suknie sprowadzane z Francji i Italii, głaskał delikatne woalki damskich kapeluszy, przebierał palcami w paciorkach koralu wykonanych gdzieś na antypodach naszego świata. „Może wyobraża sobie kobiety, które ubierałyby w te wspaniałości?”, zastanowił się sprzedawca. „Może sam paraduje w podobnych fatałaszkiach? Staje przed wielkim lustrem i przybiera wyuzdane pozy, marszczy brwi i posyła samemu sobie pocałunki uszmiękanymi ustami?”. Widział kilku takich w domu Eustachego. Tam nikt nie dziwił się ich skłonnościom, nikt nie oceniał tego, co sprawia im przyjemność. Przez osiem sypialni w domu rodzinnym Płanetników przewinęło się prawdziwe zoo. Kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi, każda możliwa konfiguracja...

Brakowało mu tego. Poczł delikatne mrowienie w podbrzuszu, podniecenie, gdy z ulicy doleciał go zapach wody kolońskiej podobnej do tej, której używał Adam, jego ulubieniec, nieśmiały czarnooki studenciak. Przypomniał sobie jego smukłe, niemal wychudzone ciało, klatkę piersiową gładką jak u noworodka, dłonie wąskie, o niemal przezroczystej skórze. Poznali się pół roku temu na zamkniętym przyjęciu u Eustachego. Wypatrzyli siebie wśród podnieconych pijanych lub odurzonych gości i jeszcze tej samej nocy trafili do łóżka. Nawiązali romans. Całe wieczory spędzali teraz w kawiarniach nad rzeką, gdzie spotykały się prostytutki i ich klienci, podrzędni artyści i weterani wojenni. Całe noce leżeli w przepoczonej pościeli w wynajmowanym przez Adama mieszkaniu. Tygodnie przechodziły w miesiące.

Jednak ojciec Adama, podstarzały gdański bankier, zauważył, że syn podejmuje coraz większe kwoty z funduszu przeznaczonego na wykształcenie, że zawałił drugi semestr na akademii medycznej, bo nie pojawiał się na kolejnych egzaminach. Wynajął prywatnego detektywa, zdobył informacje o nocnym życiu syna i natychmiast zareagował.

Dwa miesiące temu Adam oznajmił, że muszą przestać się widywać. Ojciec przedstawił synowi wyraźną alternatywę – albo wróci na studia i zaliczy egzaminy w sesji jesiennej, albo trafi do Akademii Morskiej w Gdańsku, gdzie z pewnością obetną mu czarne

loki i zrobią z niego prawdziwego mężczyznę. Nie mając większych wątpliwości, Adam zdecydował – musi zakończyć znajomość z Mraczewskim.

Mraczewski pamiętał, że ostatni raz spotkali się w niewielkim parku nad rzeką na obrzeżach Antipolis. Kilka minut nasłuchiwał, czy w promieniu kilometra nie ma jakichś przypadkowych spacerowiczów. Był wczesny poranek, życie toczyło się w innych rejonach miasta. Był bezpieczny. Szybko wyciągnął zza paska nóż i jednym ruchem wbił go w pierś młodzieńca. Dokładnie tam, gdzie celował – przebił aortę, Adam osunął się na ziemię. Przestał słyszeć bicie jego serca. Na twarzy martwego chłopca malowało się bezmierne zdziwienie. Krótką chwilę zastanawiał się, czy zamknąć zmarłemu oczy, ale postanowił nie dotykać stygnącego ciała.

Co czuł? Nie pamiętał. Wiedział tylko, że jego zmysły, które zawsze były dziesiątki razy wrażliwsze od zmysłów zwykłego człowieka, wyostrzyły się do poziomu, o jakim nigdy nie marzył. Do tej pory był przeczulonym odbiorcą otaczających go bodźców, teraz był w stanie selekcjonować i filtrować docierające do niego sygnały. Plusk wiosel kajakarzy w dole rzeki, swąd smołowanego dachu, drżenie ziemi, gdy kilkaset metrów dalej przejeżdżały ciężarówki...

Czy ta śmierć miała z tym związek? Nie wiedział. Dlaczego zabił? Też nie potrafił odpowiedzieć. Może było to wyzwanie rzucone ojcu Adama, kara za to, że tak bezceremonialnie przerwał ich romans?

Wracając do domu, wciąż nasłuchiwał; chciał złowić czyjeś kroki, usłyszeć czyjś krzyk, wołanie o pomoc, ale dopiero trzy dni później w jakiejś gazecie przeczytał nagłówek: „Tajemnicze morderstwo nad brzegiem rzeki”. Policja nie chciała komentować wyników śledztwa, które oczywiście było dopiero w początkowym stadium.

Mraczewski poczuł się zawiedziony. Liczył na to, że policjanci pokuszą się o publiczną analizę psychiki mordercy, że wyciągną wnioski z barwnego życia, jakie prowadziła ofiara – może nawet podświadomie chciał konfrontacji z policją. Jednocześnie czuł dumę – nie planował tego morderstwa, nawet nie wiedział, dlaczego wziął wtedy nóż, zatem ile mógłby osiągnąć, gdyby zaplanował tę śmierć? Uteatralnił ją, mnożył fałszywe tropy, dodał rekwizyty, aby skierować podejrzenia na innych ludzi, bo podskórnie czuł wężące już policyjne psy. Wciąż były w bezpiecznej odległości, ale wiedział, że

w każdej chwili mogą wpaść na jego trop. Spacerując wzdłuż rzeki, w pobliżu miejsca zbrodni, obmyślał, w jaki sposób ubarwić kolejne morderstwo. Olśnienie przyszło nagle. Usłyszał, jak młoda matka, chcąc ukrocić harce dziecka, zaczęła je straszyć: „Uspokój się, bo wyjdzie z tego lasu Sylwan i cię porwie! Zobacysz!”. Sylwan. Mraczewski niemal podskoczył z radości. Jego babka też go straszyla leśną istotą, mrocznym, nieprzewidywalnym stworzeniem, które miało atakować pasterzy szukających w lasach zagubionych zwierząt. Pasuje.

Uderzył dwa tygodnie później. Młody chłopak, który prawdopodobnie czekał nad rzeką na ukochaną (miał ze sobą róże), nie zdążył nawet krzyknąć, gdy Mraczewski wbił po samą rękojęść nóż w jego serce. Na ustach zmarłego położył wyciętą z najpopularniejszego kompendium mitologicznego kartkę z jednym tylko słowem: *SYLWAN*. Miało to być ostatnie słowo wypowiedziane przez zmarłego, komunikat z za grobu. Morderca zaśmiał się z własnego pomysłu. „Dam im wiele do myślenia, będą główkowali, szukali związku między ofiarami, liczyli dni, fazy księżyca i bogowie wiedzą, co jeszcze, a ja po prostu pozwolę działać przypadkowi. Będę trafiał od niechcenia, kapryśnie, jak bogata panna przebierająca w przedstawianych jej kawalerach...”.

Chciał, aby śledztwo dotyczyło nie tylko śmierci Adama, lecz całej grupy ofiar. To zawsze zaciemnia ogólny obraz zbrodni, odrealnia jednostkową śmierć. Zabił jeszcze trzech młodych mężczyzn. Każdemu z nich wcisnął w usta karteczkę ze swoim mitycznym imieniem. Czuł, że jego nóż jest dźwignią zwrotnicy, dzięki której skieruje policję w bezpieczne dla niego rejony.

Do momentu, gdy przeczytał o aresztowaniu Płanetnika, był pewny, że wszystko toczy się we właściwym kierunku...

* * *

Poczuła łagodne ciepło rozlewające się po całym ciele. W miejscu, do którego mężczyzna przyłożył dłonie, u podstawy kręgosłupa, ciepło powoli stawało się nie do zniesienia. Zaczęła się pocić. Jej ciałem szarpnął nagły skurcz. Nogi ugięły się, upadła na kolana, łzy wypełniły oczy.

– Możesz wstać – usłyszała nad sobą miękki, głęboki głos. – Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu uleczył twoją chorobę. Wstań i wracaj do domu. Twój mąż nie wie, że przyjechałaś do mnie. Nie wierzy, ale martwi się o ciebie. Idź i opowiedz mu wszystko.

Poczuła silne dłonie, które podniosły ją i postawiły na nogi. Wyszła z pokoju o własnych siłach. Wciąż drżąc, zapłakała. Ten człowiek nie wziął od niej pieniędzy, nawet nie chciał słyszeć o jakiegokolwiek daninie, pragnął tylko, by uwierzyła w bóstwo, które nie ma imienia, którego syn oddał życie za wszystkich ludzi, bo wszyscy ludzie... Nie pamiętała dalszej części tej doktryny. Wątpiła nawet, czy rozumiałaby cokolwiek z tego, o czym opowiadał młody, wychudzony mężczyzna, którego zapadłą twarz pokrywała nierówno przyszyżona broda.

W pokoju, do którego weszła godzinę temu, siedzieli, stali lub leżeli chorzy ludzie. Pomieszczenie było niewielkie, panował w nim niesamowity zaduch, a okna z niewiadomych przyczyn były pozamykane i zasłonięte szczelnie ciężkimi kotarami. Jedynym źródłem światła były rzędy lampek oliwnych stojących wzdłuż ścian. W gęstym półmroku chorzy mamrotali coś do siebie, niektórzy pojękiwali, rozcierając porażone paraliżem członki. Niewidoma kobieta wyciągała przed siebie ręce, jakby chciała objąć swojego przewodnika. Mężczyzna na wózku inwalidzkim zasypiał z brodą opuszczoną na piersi. Z jego ust sączyła się ślina.

Kłębiący się wokół ludzie, podobnie jak ona, wpatrywali się w wąskie drzwi. Te wreszcie otworzyły się i do środka wszedł człowiek, na którego wszyscy czekali. Tłum zafalował jak rój pszczół. Mężczyzna wbił nieobecny wzrok w ciemny sufit, rozłożył ręce i odmówił coś w rodzaju modlitwy. Mówił w języku, którego nie знаła. Nie był to polski, nie była to też łacina, której podstawy poznała w gimnazjum. Kilka wyrazów – zapewne imion – powtarzało się częściej, ale ich również nie znała. Zamknęła oczy. Poczuła, że jej nogi pokręcone postępującą chorobą drżą i wkrótce przestaną dźwigać wątłe ciało. Kule, na których się opierała, były jej jedynym zabezpieczeniem. Zaczynała wątpić, tracić wiarę w sens podróży aż do Antipolis, kilkaset kilometrów pociągiem, prawie dwie doby w zatłoczonych, dusznych przedziałach.

Tymczasem mężczyzna podchodził do każdego z cierpiących i przykładł dłoń do niegojących się ran, oślepych oczu, sparaliżowanych rąk i nóg. Każdemu powtarzał kilka zdań, modlitwę, parę słów. Przykładał dłoń, przytulał, ocierał spocone czoła...

Wszyscy uwolnieni... Rozchodzący się o własnych siłach, roztapiający w oślepiającym świetle lipcowego południa.

* * *

– Bracie – prosił mnich – bracie, musisz odpocząć, musisz odesłać tych ludzi, choćby do jutra. Oni mnie nie posłuchają, czekają i pokazują rany, odcięte nogi, ręce! Bracie, odeślij ich, proszę! Nie wytrzymasz dłużej!

Mężczyzna wydawał się głuchy na prośby starego zakonnika. Tamował zakrwawioną chustką sączącą się z nosa strużkę krwi.

Bernard był administratorem gminy i musiał zapewnić jak najlepsze warunki powstającemu zgromadzeniu. Nie było to proste. Kiedy przybył z Armenii, gdzie chrześcijaństwo stało się oficjalną religią, miał przed sobą zadanie zaszczepienia na gruncie całkowicie politeistycznym religii zakładającej istnienie jednego Boga.

Było to o tyle trudne, iż, paradoksalnie, na terenie Europy każdy mógł wierzyć w to, w co chciał. Bernard pamiętał, jak ponad dwieście lat temu męczennicy umierający za wiarę w Jedyne cementowali młodą jeszcze religię. Byli wzorem, zacznym, stawali się świętymi. Świadcami Zbawiciela. Teraz nie miało to najmniejszego znaczenia, gdyż za szerzenie nawet najbardziej niemiłych ogółowi przekonań nic nie groziło. Nie istniało pojęcie herezji. Dopóki nie łamano prawa, nikogo nie interesowały zawłości nowych prądów religijnych.

Tradycyjnie pojmowana teologia zajmowała się kapryśnymi epifaniami demonów – tak chrześcijanie określali stare bóstwa. Nikt, poza kilkunastoma rodzinami wiernych, których Bernard zgromadził w ciągu swojego pobytu w Antipolis, nie widział w chrześcijaństwie niczego rewolucyjnego. „Ludzi nic nie obchodzi, są letni i zostaną wypluci przez Pana”, pocieszał się, ale natychmiast przywoływał samego siebie do porządku i tym goręcej modlił się o nawrócenie – nie wszystkich, ale pojedynczych pogubionych ludzi, których dusze miał nadzieję jeszcze ocalić.

Wszystko zmieniło się, gdy do jego gminy przyjechał zakonnik z południa Europy. Miał ze sobą listy polecające od przeora klasztoru, w którym zajmował się lazaretem, a został przysłany do Antipolis z zadaniem zorganizowania przytułku dla bezdomnych. Młody mnich szybko zabrał się do pracy i z pomocą kilku mężczyzn wyremontował stare, walące się baraki robotnicze, które po dwóch miesiącach gotowe były na przyjęcie bezdomnych ludzi.

Z poświęceniem zajmował się cierpiącymi, pogubionymi nieszczęśnikami, którzy każdego dnia przychodzili pod jego drzwi. Ochrzcił w ciągu pierwszego półrocza kilkadziesiąt osób. Bernard podświadomie czuł niechęć do młodego, energicznego mnicha, który zwolnił go z części obowiązków. Zazdrościł mu charyzmy, oddania, nawet gorączkowej, bezkompromisowej wiary. On sam nigdy nie był tak gorliwy, tak odważny. Przy młodzieńcu sam sobie wydawał się oschłym, starym służbistą, którego krew już dawno zamieniła się w cierpki ocet.

Przełom przyszedł pewnej nocy, gdy we śnie (miał go pamiętać go końca życia) objawił mu się Zbawiciel. Jego słowa, twarde, a jednocześnie pełne miłości i współczucia, kazały mu spojrzeć inaczej na nowego mnicha. Nie potrafił nikomu opowiedzieć swojej wizji, opisać płynnego niemal szczęścia, które go zatopiło i pociągnęło w otchłań błękitu i bieli. Zbudził się z niezachwianą pewnością, że młody mnich jest kimś niezwykłym, obdarzonym niezliczonymi charyzmatami, które wkrótce się objawią. Bernard zrozumiał, że sen nie dotyczył właściwie gościa, ale jego samego – Zbawiciel miał ukoić jego trawioną wyrzutami sumienia duszę i zdawał się mówić: „Twój gość ma więcej oddać niż ty dlatego, że otrzymał więcej niż ktokolwiek i jest mi szczególnie miły”.

* * *

Banach wspominał. Białe miasto. Dzień jest (był) słoneczny, ale niebo powleczone półprzezroczystym woalem chmur. Budynki są (były) puste, opuszczone, nagrzane słońcem. Brak ostrej granicy między cieniem a nasłonecznionym placem. Białe, pękające tynki. Tysiącletnie miasto. Schyłek dnia. Głębokie, chylące się ku wieczorowi popołudnie. Zapach morza, chociaż powietrze jest (było) nieruchome, bez najmniejszego zawirowania. Olbrzymi plac, a na

nim posąg kobiety myjącej długie, falujące włosy. Jej zamyślona, nieobecna twarz, pochłonięta całkowicie tą czynnością. Obok, po przekątnej, fontanna. Prosta, pozbawiona misternych ozdobników bryła. Żadnego szumu lśniącego w powietrzu płynu. Powierzchnia placu, mozaika ułożona z milionów kolorowych kamyczków. Gwizd pociągu. Jakby trwał od zawsze, modulowany tylko dzięki setkom odbić w geometrycznych zaułkach miasta. Kłęb pary rozwiewającej się nad torowiskiem...

* * *

Przebudzenie.

* * *

Pokój, meble, ściany, dwa okna, sufit, szafa z książkami, podłoga... Jakby złożone z wirujących wokół siebie sześcianów. Miał wrażenie, że siedząc w samym centrum, w oku wirującej zamieci elementów, pędzi gdzieś na oślep lub raczej opada na dno przestrzeni, gdzie góra i dół, prawa i lewa strona, ciemność i światło przestają być pojęciami przeciwstawnymi. Gdzie w jednym punkcie zbiegają się wszystkie linie biegnące dotąd równolegle. Wstrząsnął nim głęboki dreszcz, chłód rodzący się za każdym razem, gdy rwały się kolejne bariery czasu. Pomiędzy sześcianami wciąż iskrzy oślepiające zimne światło, które przygasa, gdy elementy zbliżają się do siebie i jak gojąca się rana zabliznia się pękający czas. Pokój jest znowu pokojem, w którym mieszka od kilku tygodni.

„Przyjdzie Wiktor. W pomarańczowej marynarce, z którą nie rozstaje się od kilku tygodni. Otworzy drzwi bez pukania i powie, że ma rozwiązanie mojego problemu mieszkaniowego. Znalazł dla mnie pracę w księgarni, będę musiał porozmawiać z właścicielem. Zgodzę się porozmawiać. Wiktor wyjdzie zadowolony. Na ulicy zderzą się dwa samochody. Nie będzie ofiar. Jakies krzyki, nic więcej. Przyjdzie Steinhaus. Zaproponuje mi wyjście. Nowa wystawa w Salonie Letnim. Będzie chciał popryskać farbą kilka sentymentalnych pejzaży. Farbę będzie miał ukrytą w strzykawce, którą przymocuje paskiem tuż powyżej nadgarstka. Fioletową. Wyjdę z nim i...”.

Banach wstał z fotela – najwygodniejszego mebla w całym mieszkaniu. Postanowił, że nie będzie narzekał. Ani na zbyt krótkie

łóżko, w którym może spać tylko z podkurczonymi nogami, ani na zbyt niskie biurko i ciasną, pozbawioną lustra szafę. Nie będzie narzekał na dobroczynność przyjaciół swoich przyjaciół, bo użyczyli mu dachu nad głową, gdy wyrzucony z wynajmowanego mieszkania i pozbawiony najbardziej niezbędnych do życia przedmiotów, przesiadywał całe dni w kawiarniach, a noce przesypiał w ciasnym mieszkanku Steinhausa.

Teraz, mając do dyspozycji pokój Wiktora, znajomego Steinhausa, czuł, że zaczyna nadużywać jego gościnności. Wprawdzie Wiktor ani razu nie dał mu do zrozumienia, że ma dość milczącego i wiecznie zamyślnego gościa, ale Banach przeczuwał, że lada dzień wyrozumiały dotąd gospodarz przestanie cierpliwie znosić ciche, a jednak uciążliwe towarzystwo.

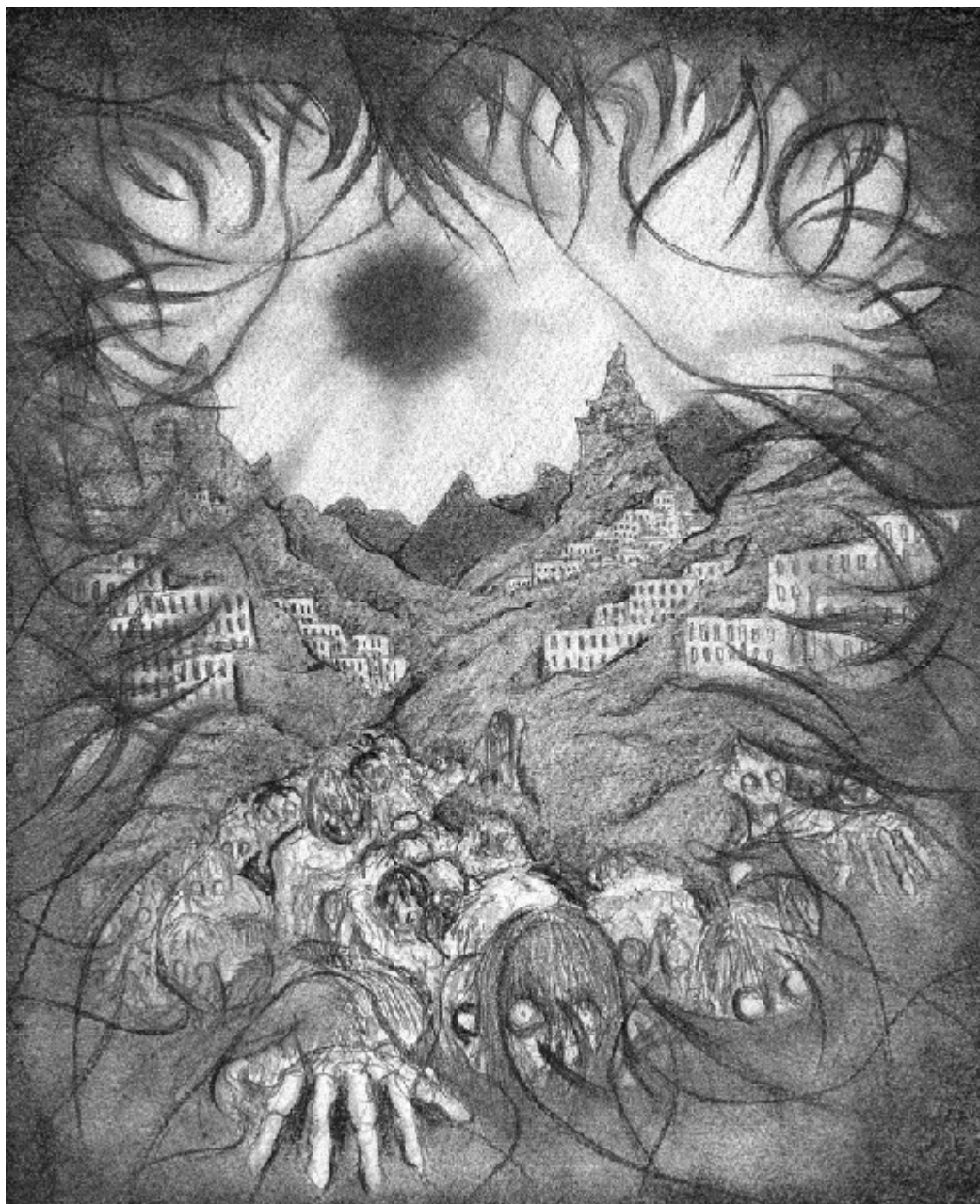
Podszedł do okna wychodzącego na jedną z najruchliwszych ulic miasta. Zmrużył oczy i pozwolił słońcu ogrzać ściętą mrozem twarz. Przyzwyczał się do tego. Za każdym razem, gdy „wracał”, miał stwardniałe i zaczerwienione policzki, a skórę na dłoniach popękaną. „Słońce powoli przywraca mnie światu”, pomyślał. „Światu żywych, a nie fantomów żyjących w przyszłości, którą pamiętam. To groteskowe *déjà vu*, które atakowało kiedyś bez ostrzeżenia, teraz na szczęście pozwala się w pewien sposób kontrolować”.

Dwa lata temu, gdy przeszedł jeden z najcięższych „ataków”, zobaczył wydarzenia mające nastąpić kilka tygodni później. Było to tak przerażająco realne, że idąc środkiem ruchliwej ulicy, krzyczał i gestykulował, tłumaczył coś niewidzialnym rozmówcom. Cudem nie wpadł pod samochód, gdyż pierwszym kierowcą, którego zmusił do zatrzymania się, był jego dawny student. Ten początkowo myślał, że Banach jest pijany, ale szybko wykluczył taką możliwość, a podejrzewając jakiś rodzaj załamania nerwowego, wpakował go siłą do auta. Siedząc na tylnym siedzeniu, Banach powoli zdawał sobie sprawę ze swojego żenującego położenia i usiłował za wszelką cenę powrócić do rzeczywistości. Jednak im silniej wytężał umysł, tym bardziej zapadał się w głąb rozsypującego się czasu. Nie widział już przyszłości. Nie widział niczego poza bielą, ścianą bieli, która po tytanicznym wysiłku woli zmienić się w regularny kształt wysokiego, piętrowego domu. Domu w bezludnym białym mieście.

Nauczył się rozpoznawać architekturę tego miejsca. Jego dzielnice, puste domy – ciepłe, nagrzane słonecznym dniem. Wiecznie lekko zachmurzone niebo, wiecznie drżący w powietrzu gwizd wjeżdżającego do miasta pociągu. Plac z posągami kobiety i fontannę... Do tego miejsca musiał trafić, by wygrzebać się ze szczeliny pękającego czasu. I trafiał, od wielu miesięcy trafiał bezbłędnie.

Wiktor przyszedł dziesięć minut później. Namawiał go gorąco, by zainteresował się pracą w księgarni, gdzie zwolniło się miejsce sprzedawcy. Podziękował za troskę i obiecał porozmawiać z właścicielem. Wiktor wyszedł. Na ulicy rozległ się huk. Banach wyjrzał przez okno. Niegroźna kolizja dwóch aut, z których jedno, cofając się, uderzyło w inne, parkujące auto. Nie pukając, do pokoju wszedł Steinhaus. Pochwalił się swoim nowym wynalazkiem – strzykawką pełną farby ukrytą w rękawie marynarki. Chciał zabrać przyjaciela do największej galerii w mieście, gdzie otwarto przedwczoraj wystawę najnowszych nabytków miejscowych marszandów. Tradycyjne malarstwo irytowało Steinhausą bardziej niż jego pierwsza teściowa – mawiali jego przyjaciele. I publiczną tajemnicą był fakt, że jeżeli na jakimś płótnie odkryto namazaną farbą literę S, znaczyło to, że właśnie Steinhaus znów dał o sobie znać.

CZĘŚĆ DRUGA



ROZDZIAŁ PIĄTY



Sierpień, 1936 rok

Nauczyłem się rozpoznawać nastroje Blanki dzięki jej włosom. Gdy bujne kasztanowe loki miała misternie upięte, a całość przytrzymywały szpilki, wiedziałem, że poświęciła fryzurze dużo czasu i jest w doskonałym humorze. W jej przypadku oznaczało to podtrzymywanie konwersacji nawet przez kilka minut i posyłanie nieśmiałych spojrzeń spod wiecznie opuszczonej głowy. Gorzej, jeżeli włosy były ledwie spięte klamrą lub związane niedbale tuż powyżej karku. Wiedziałem, że spieszyła się, miała nerwowy poranek, a to stanowiło preludium do obrażonych min i przesyconych poczuciem krzywdy spojrzeń. Tylko wrodzonej cierpliwości zawdzięczam to, że nie wychodziłem za każdym razem, gdy przestawała odpowiadać na pytania i sprawiała wrażenie najniezwyklejszej istoty na planecie, którą uwięziono w ciasnym pokoju mieszkania wynajmowanego przez jej ojca.

Minął miesiąc, odkąd zacząłem przysposabiać ją do egzaminów na studia wyższe. Ku mojej radości wybrała najprostszy kierunek – filologię. Mogłem bez większych przygotowań stopniowo wprowadzać Blankę w historię literatury polskiej, zarysować jej rozwój na tle kultury śródziemnomorskiej, streścić kilkanaście najwybitniejszych dzieł – od Homera i Hezjoda poczynając...

Dziewczyna robiła skrupulatne notatki, a co jakiś czas musiała odpowiadać na pytania, które sam spodziewałbym się usłyszeć na egzaminie. Pisała też eseje, w których interpretowała poszczególne

teksty lub syntetyzowała zdobytą wiedzę. Niestety, jej styl był dziecinny, a słownictwo nieco zbyt ubogie, bym mógł ze spokojem myśleć o czekających ją jesienią sprawdzianach wiedzy. Staralem się kierować podpowiedziami rozumu, który nakazywał mi brać minimalną odpowiedzialność za kogokolwiek, a w szczególności za bardzo przeciętną kursantkę, ale nie chciałem, by mnie obciążono winą za jej porażkę. Robiłem więc wszystko, co w mojej mocy, by nie mieć sobie nic do zarzucenia.

Odbierając od Blanki kolejną pracę (napisaną drżącą ręką, w paru miejscach brutalnie pokreśloną), zapytałem:

– Czy twój ojciec jest w domu? – miałem nadzieję, że otrzymam pieniądze, które już ostatnim razem powinny były na mnie czekać.

Dziewczyna zarumieniła się i zaprzeczyła ruchem głowy. Nie miałem powodu, by nie wierzyć, że stary Wieriesiołow zniknął na kilkanaście dni, zostawiając mnie z obietnicą rychłego uregulowania zaległości. Żadnych konkretnych informacji nie uzyskałem również od zaufanego współpracownika ojca Blanki, z którym co jakiś czas mijałem się na klatce schodowej kamienicy. Z jego ogólnikowych odpowiedzi mogłem wywnioskować, że mój pracodawca porusza się na linii Antipolis – Gdańsk, próbując wynegocjować jak najkorzystniejsze warunki wynajmu magazynów portowych w największych miastach leżących wzdłuż Wisły. Liczył na odbudowę floty śródlądowej, która miała być alternatywą dla transportu towarów przez wciąż zbyt słabo rozwiniętą kolej.

Mnie jednak nie pocieszała wizja potencjalnych zysków Wieriesiołowa. Zależało mi bardziej na podreperowaniu mojego kulejącego budżetu. Życie w tak dużym mieście było droższe, niż się spodziewałem, choć, przyznaję, kilka razy straciłem kontrolę nad wydatkami – jeden wieczór w kasynie, do którego zaprowadziła mnie niemądra ciekawość, kilka nocy w rewiach, niewielka wymiana garderoby... To dzięki temu wszystkiemu bałem się szukać dodatkowej pracy lub zapożyczyć się u rodziny.

A Bruno? Zaraz po głośnym aresztowaniu w domu farbiarzy wziął urlop – podobno należał mu się od kilku lat – i wyjechał z miasta. Nie miałem pojęcia, co mogło go łączyć z młodym Płanetnikiem, którego uwięzienie było równie szeroko opisywane, jak jego wyjście na

wolność dwa tygodnie później. Cotygodniowe plotkarskie felietony pisał ktoś inny, Huncwot wyparował...

Trawiłem więc kolejne dni na sprawdzaniu coraz bardziej banalnych i pozbawionych głębi tekstów Blanki. Nocami przewracałem się z boku na bok, próbując odnaleźć spokój, a nawet radość, z jaką witałem to miasto. Kolejny dzień przychodził za szybko i trwał upiornie długo. Spacer po pełnym życia mieście były torturą. Ludzie, których celowość istnienia była wprost porażająca, stanowili moje doskonałe odbicie w negatywie. Ich śmiech był dla mnie powodem do płaczu, ich zmartwienia przyjmowałem z ulgą. Czuję się tak, jakby między mną a Antipolis została wstawiona szyba. Nie znalazłem przyjaciół ze studiów, z którymi spodziewałem się odświeżyć dawną zażyłość. Raz odwiedziłem wuja Aleksandra i musiałem bezczelnie kłamać, by zatuszować rozgoryczenie, z jakim myślałem o następujących po sobie jałowych, pozbawionych sensu tygodniach. Nic nie wyglądało tak, jak początkowo rysowała to moja wyobraźnia...

Jedyną rozrywki próbowała mi dostarczać Róża, która czasami zatrzymywała się z piskiem opon przed kamienicą, w której wynajmowałem mieszkanie, i zabierała mnie na szaleńcze przejażdżki po obrzeżach miasta. Jej maszyna, opływowy metaliczny phantom, pruć ze świstem powietrze, a moja kuzynka z krzykiem brała najostrejsze wiraże, by wybuchnąć śmiechem tuż po wyjściu z zakrętu. Prowadziła podobnie jak jej matka – nieostrożnie, z pełnym zaufaniem do własnych umiejętności. A ja siedziałem zwykle markotny, bo w pewnym momencie uświadamiałem sobie, że te eskapady są idealną metaforą mojego życia – zawsze jestem pasażerem, zawsze ktoś lub coś kieruje moimi wyborami. Kiedyś szczyłem się tym, że strumień życia porywa mnie i rządzi moim losem według własnego uznania – płynąłem z prądem i czułem się pogodzony ze wszystkim, co mnie spotyka. Niestety, kiedy było to coś, czego nie chciałem, zaczynałem mieć pretensje do wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu mojego wzroku...

Tak też było tym razem – miałem pretensje do rady wydziału krzemienieckiego uniwersytetu, że postawiła mnie przed alternatywą: albo odejdzie pan sam za porozumieniem stron, albo zwolnimy pana za naruszenie zasad moralności. Miałem pretensje

do Gabrieli, która żądając rozwodu, zmusiła mnie do wyprowadzenia się z domu jej rodziców, i do ciotki, która chcąc dla mnie jak najlepiej, sprowadziła mnie z drugiego krańca Korony, bym teraz, kuszony perspektywą nieregularnych wypłat, męczył się ze średnio uzdolnioną dziewczyną.

* * *

Drogi Panie Tomaszu!

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przeprosić za nadużywanie Pańskiej cierpliwości. Pieniądze, które zapewne martwią Pana, czekać będą w moim mieszkaniu. Byłem u Pana dzisiaj i chciałem osobiście pozbyć się długu wobec Pańskiej osoby, ale nie zastałem nikogo – stąd ten krótki i chaotyczny liścik. Proszę zjawić się około godziny 18, później mogę być nieosiągalny.

Takie słowa przeczytałem na karteczce wsuniętej pod drzwi, gdy około południa wróciłem z uniwersyteckiej biblioteki. Pismo było niewyraźne, a podpis Wieriesiołowa zdobiła setka zawijasów. „A więc w końcu się zjawił, tak? A może to kolejny wybieg i gdy przyjdę, jego znowu nie będzie, a ja jak ostatni dureń będę dobijał się do zamkniętych na głucho drzwi?”.

Zaciskając z bezradności pięści, odliczałem kolejne godziny i rzucałem się po pokoju jak głodny tygrys w klatce. Wściekłość toczyła wyrównaną walkę z rozumem, który perswadował bezustannie, bym w pokorze znosił kaprysy hojnego, choć nieobliczalnego pracodawcy.

Drogę do mieszkania Wieriesiołowa przebyłem zbyt szybko. Dopiero zacząłem układać sobie w głowie słowa, z których powinien wywnioskować, że zaczynają mnie irytować kłopoty z pieniędzmi, a już zza zakrętu wyłoniła się ciężka kamienica. W mieszkaniu na trzecim piętrze spodziewałem się otrzymać zaległe pieniądze, a także wymóc na pracodawcy bardziej regularne rozliczanie się ze mną. Z silną obietnicą pomyślnego rozstrzygnięcia obu tych kwestii niemal biegłem krętymi schodami, które pięły się w kierunku oszklonego dachu budynku.

Gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim piętrem zatrzymałem się, słysząc jakiś stłumiony huk kojarzący się z wystrzałem szampana.

Potem słuch przestał łowić dźwięki i w całym budynku zaległa cisza, gęsta, a jednocześnie pusta. Cisza. A w niej coś uwalniającego się, parującego jak rozlane perfumy. Coś paraliżującego, a jednocześnie odpychającego, odstręczającego. Jakieś fizyczne niemal doznanie bariery, której przekroczyć nie mogłem. Trzymałem się kurczowo poręczy, czułem jej fakturę, chropowatą, proszącą się o pomalowanie powierzchnię. Coś mnie więziło. Blokowało. Cofnąłem stopę, którą miałem postawić na następnym stopniu. Poczucie wstydu?

Rozejrzałem się, ale nie zauważyłem niczego ani nikogo, kto mógłby mnie obserwować. Tkwiłem na półpiętrze, silnie zdeterminowany, by iść dalej, dostać się do właściwego mieszkania, otrzymać pieniądze i odejść, ale czułem, że wektory mojej woli zostały zamienione i moim jedynym marzeniem stało się opuszczenie tego budynku i znalezienie się na ulicy, między huczącymi silnikami samochodów a rozedrganym tłumem...

Osunąłem się na schody. Byłem ciężki, o wiele za ciężki... Mięśnie drżały, przeczuwając skurcze. Gorący pot zalewał oczy, których nie miałem siły przetrzeć. Za wszelką cenę próbowałem nie stracić przytomności. Nie potrafiłem ocenić, ile czasu zajęło mi wyciągnięcie spod siebie mojej własnej dłoni, na której usiadłem. To było jak klątwa, o której czytałem w dzieciństwie, zły czar rzucony na śmiałka przedzierającego się przez las pełen demonów i pokus...

* * *

– Ilu? – zapytał mężczyzna stojący twarzą do okna. Jego sylwetka była jak figurka z teatru cieni, ostro rysowała się na tle olbrzymiego okna, za którym wschodziło sierpniowe słońce.

– Sześciu – padła sucha odpowiedź, chociaż w głosie składającego raport dało się usłyszeć słabo ukryte poczucie winy. – Czterech naszych, Wieriesiołów i jakiś przypadkowy mężczyzna. Miał na imię Tomasz. Imienia nie znamy. Nazwiska, przepraszam – poprawił się natychmiast.

– A skąd wiadomo o imieniu?

– Miał w kieszeni liścik od Wieriesiołowa. Uczył jego córkę i szedł do niego po pieniądze.

Człowiek stojący przy oknie spojrzął przez ramię.

– Uczył ją? To zabawne. Chociaż to niefortunne określenie, nie uważasz?

– Tak.

– I na pewno nie miał nic wspólnego z naszym postępowaniem?

Zapadła cisza, którą przerywały jedynie szeleszczące kartki wertowanego pospiesznie raportu.

– Niemal na pewno jest to zbieg okoliczności. Miał po prostu pecha, że przyszedł w momencie, gdy wyważaliśmy drzwi mieszkania. Jedyna dziwna rzecz to fakt, że umówił się na godzinę osiemnastą. Właśnie wtedy mieliśmy go aresztować. Sądzi pan, że przeczuwał, iż coś się wydarzy?

– Nie. Co by mu dała obecność obcego człowieka, i to kogoś, komu był winny pieniądze?

– Racja. Ma pan rację.

– Co z dziewczyną?

– Nadja jej pilnuje. Było jej ciężko na początku, ale w końcu ją uspokoiła.

Mężczyzna otworzył okno i głęboko wciągnął powietrze. Rozprostował ręce, które do tej pory trzymał splecione za plecami.

– Proszę mi to wszystko jeszcze raz opowiedzieć. Nie chcę czytać raportów, zawsze mi czegoś w nich brakuje. Niech pan siada i opowiada. Był pan tam, prawda?

– Byłem w samochodzie na ulicy. Chyba pierwszy zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Za długo nie wychodzili z tej kamienicy.

– O czym pan najpierw pomyślał?

– Pomyślałem, że mieli jeszcze w planie rewizję, ale ja o tym nie wiedziałem. Minął kwadrans, pół godziny i zacząłem się poważnie niepokoić. Wyszedłem z samochodu i zapaliłem papierosa. Zrobiłem chyba trzy kółka wokół wozu, coś mną trzęsło, nie mogłem zebrać myśli. Kierowcy nie wolno wysiadać, ale ja już nie mogłem wytrzymać, rozumie pan, musiałem chociaż to zrobić...

– Rozumiem. Potem wszedł pan do budynku?

– Tak. Przełożyłem pistolet z kabury do kieszeni marynarki i zacząłem wchodzić na trzecie piętro. Pomiędzy pierwszym a drugim leżał na schodach ten mężczyzna. Sądziłem, że to pijak, ale ubrany był zbyt dobrze. To może nie świadczy o mnie najlepiej, ale nie

pomyślałem o tym, żeby mu pomóc. Chciałem jak najszybciej sprowadzić kolegów na dół i odjechać z tego miejsca. Z Wieriesiołowem lub nie.

– Drzwi do mieszkania były otwarte?

– Wyważone! Pół framugi zostało wyrwane. Koledzy użyli łomu. Wieriesiołow zapewne nie chciał otworzyć.

– Co pan zauważył najpierw? Rzuciło się coś panu w oczy?

– Tuż za progiem leżał jeden z naszych. Skulony, jakby zamarł, trzymał się za głowę. Sięgnąłem po pistolet i krzyknąłem. Nikt nie odpowiedział. Dopiero wtedy zauważyłem, jak cicho jest wszędzie. Pomyślałem o telefonie. Zawiadomić posterunek, resztę. Przeszukać budynek, bo nie spodziewałem się, że Wieriesiołow został w mieszkaniu.

– Znalazł pan telefon?

– Tak, w największym pokoju, ale to było później, bo minąłem drzwi z lewej strony i tam...

* * *

– Wyważymy drzwi, panie Wieriesiołow! – krzyknął policjant. – Proszę otworzyć!

Za drzwiami słychać było trzask zamykanych szaf, skrzypienie nienaoliwionych zawiasów i głucho dudnienie szybkich kroków na grubych dywanach.

– Musimy wyważyć, kapitanie. On za chwilę coś zniszczy, jakieś dowody...

Kapitan, niski, potężnie zbudowany mężczyzna, wyciągnął pistolet i rozkazał:

– Wchodzimy!

Dwaj policjanci chwycili stalowe łomy i jednocześnie podważyli nimi drzwi. Drewno jęknęło, zazgrzytał metal framugi. Drzwi, pchnięte przez trzeciego policjanta, wypadły z zawiasów i z łoskotem runęły na podłogę w przedpokoju.

– Załatwione – podsumował z satysfakcją kapitan. – Jedna osoba do jednego pokoju. Znacnie rozkład pomieszczeń. I uważajcie, bo może być uzbrojony.

Mężczyźni rozbiegli się po mieszkaniu. Kapitan ruszył do salonu znajdującego się dokładnie naprzeciwko wyważonych drzwi

wejściowych. Z pozostałych pomieszczeń niemal jednocześnie dobiegły go okrzyki jego ludzi:

– Tu nikogo nie ma!

– Kuchnia pusta!

„A więc zabrał dziewczynę i zamknął się z nią w salonie”, pomyślał kapitan i ta myśl go podnieciła. „Osaczyliśmy ofiary, zapędziliśmy pod ścianę, a teraz wystarczy sięgnąć...”.

– Oni są w środku. Drzwi są słabe, trzeba tylko popchnąć. I uważajcie na dziewczynę – powiedział do stojących za nim policjantów, a następnie krzyknął – Wieriesiołow! Wchodzimy! Niech pan nie robi czegoś, czego byśmy potem wszyscy żalowali!

Policjant poczekał kilka sekund na odpowiedź, a następnie ruchem dłoni wskazał dwóm swoim ludziom drzwi, za którymi ukrywał się ścigany mężczyzna. Funkcjonariusze cofnęli się kilka kroków i w pełnym biegu wpadli na drzwi, które wraz z nimi znalazły się w salonie.

Policjantów początkowo oślepiło słońce, które świeciło niemal dokładnie naprzeciwko okien salonu. Po trwającej całą wieczność chwili, gdy zwężone źrenice zaczęły przyzwyczajać się do zalanego światłem pomieszczenia, padł strzał. Zdezorientowani mężczyźni rzucili się na podłogę – tylko jeden z nich chwycił się za brzuch i obficie krwawiąc, osunął na kolana.

Padł drugi strzał, tym razem przytłumiony, cichszy. Kapitan zobaczył kątem oka upadającego Wieriesiołowa, który strzelił sobie w usta, i zbryzganą krwią Blankę, którą ojciec przytrzymywał wolną ręką. Samobójca przygniół ją swoim ciałem do podłogi. Policjanci poderwali się, by uwolnić dziewczynę, ale ta jednym wężowym ruchem wyslizgnęła się spod martwego ciała i przeczołgała w stronę okna.

Podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła krzyczeć.

Kapitan zdążył jeszcze pomyśleć: „Jak ktoś może tak cicho krzyczeć?”.

* * *

Mężczyzna uważnie wysłuchał opowieści jedyne żyjącego spośród ludzi wysłanych do domu Wieriesiołowa. Ocalonego, chciałoby się rzec. „Potrzebny mu będzie urlop po tym, co zobaczył.

A może nawet przeniesienie. Wcześniej jeszcze podpisze swój raport i zobowiąże się do utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Tak, inna placówka dobrze mu zrobi, ale to już zaplanują niżej, załatwią mu papiery, znajdą mieszkanie i posadę, może dyskretną opiekę”.

Odprawił policjanta do pokoju obok, by tam kolejny raz opowiedział swoją historię, która spisana zawędruje na kolejne i kolejne biurka. Będzie się rozrastać, nabierać nowych barw, spuchnie od znaczeń i teorii. Potem trafi z powrotem do niego, a on pośle to jeszcze wyżej.

Słońce przesunęło się nad dach budynku, więc w pokoju utrzymywał się delikatny półmrok. Podszedł do biurka i chwycił słuchawkę telefonu.

– Czy Nadja jest w końcu osiągalna? – zapytał zniecierpliwionym głosem. Od kilku godzin bezskutecznie próbował się z nią skontaktować. Bezczyność, na jaką skazywała go ta kobieta, zaczynała go irytować.

– Zaraz sprawdzę – odpowiedział funkcjonariusz i po chwili dodał niepewnie: – Jakąś godzinę temu zadzwoniła i prosiła, żeby panu powtórzyć jedno zdanie...

– Jakie zdanie?

– Cytuję – zaznaczono w słuchawce. – „Jesteś irytujący jak ciekący kran”. Koniec cytatu.

– Dziękuję – uciął krótko rozmowę.

Nadja stawała się coraz bardziej bezczelna, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę ze swojej wartości. „Rozwydrzona pannica”, pomyślał z niesmakiem. „Błyskawicznie skraca dystans do innych. Potrafiłaby wskoczyć na kolana samemu premierowi, gdyby przyszła jej na to ochota. Dziecko”.

Nagle drzwi jego gabinetu otworzyły się z hukiem i do środka wtargnęła młoda, wysoka dziewczyna. Usiadła z impetem na fotelu, oparła przekrzywioną główkę na splecionych dłoniach i zapytała z wymuszonym uśmiechem:

– Czym mogę ci służyć?

Mężczyzna z trudem opanował nerwy.

– Czy mogłabyś mi w końcu wytłumaczyć, co się stało wczoraj wieczorem? Kilku naszych ludzi nie żyje. Człowiek, którego mieliśmy

aresztować, zastrzelił się, a jakiś nieszczęśnik, który znalazł się tam przypadkowo, leży w śpiączce. Mogłabyś mi to wytłumaczyć?

Nadja wyjęła z nabijanej cekinami torebki ozdobną papierośnicę i ostentacyjnie zapaliła długiego mentolowego papierosa. Kłęb dymu otoczył jej okrągłą twarzyczkę.

– Nie stało się nic, czego bym wcześniej nie widziała – zaczęła się droczyć z przełożonym. – Normalna reakcja rozstrojonego umysłu młodej dziewczyny...

Mężczyzna nie wytrzymał. Uderzył pięścią w blat biurka, aż przewróciła się ustawiona na nim fotografia.

– Do cholery! Nie wmawiaj mi, że jak moja córka wróci za późno z kina i ja ją upomnę, to wszyscy w moim domu zginą! Wiem, do jakich głupot zdolne są młode dziewczyny, ale zabijanie do nich nie należy!

– Żebyś się nie zdziwił... – Nadja chciała zmienić temat rozmowy, ale powstrzymała się, widząc zaczerwienioną twarz szefa i jego dłonie zaciskające się na oparciu fotela.

– W porządku – podjęła pojednawczo. – Powiedzmy, że sprawa jest poważniejsza. Słuchaj. Ta mała... Dlaczego się śmiejesz?

– Ona jest tylko dwa lata od ciebie młodsza.

Nadja wypuściła ustami kłęb dymu, który następnie wciągnęła nosem. Obrażona.

– Mam mówić czy nie? – zapytała retorycznie i kontynuowała: – Ta mała narobiła niezłego zamieszania. Gdy mnie do niej zabieraliście – prosto z kortów, zaznaczam – i już mniej więcej wiedziałam, o co chodzi, zdziwiło mnie, że wszystkiemu przyglądali się sąsiedzi.

– I co w tym dziwnego?

– Ano to, że przy tego typu ataku siła zazwyczaj rozchodzi się po okręgu i nie dotyka wybranych jednostek – dziewczyna starała się mówić naukowo, akcentując wyciągniętym paluszkiem poszczególne słowa. – Normalnie siła rozkłada się proporcjonalnie do odległości od źródła. Tutaj jest inaczej. Sąsiedzi niczego nie zauważyli, oprócz dwóch wystrzałów, oczywiście. A powinni paść jak muchy. Zginęli tylko ci, którzy po nią przyszli. Nawet ten nieszczęśnik dwa pietra niżej... Miał sporo szczęścia, nawiasem mówiąc.

– A jakieś wnioski?

– Dziewczyna ma spory talent. To coś w rodzaju – zaciągnęła się głęboko, by znaleźć odpowiednio mądre określenie – blokady woli. Jeżeli nie chce, żebyś coś zrobił, nie zrobisz tego. Na tym to mniej więcej polega. Tym biedakom pewnie zabroniła żyć.

Jej ostatnie słowa zabrzmiały lodowato. Mężczyzna poczuł chłód.

– Ona nie ma pojęcia, jak tym kierować, jak to kontrolować. Wczoraj to była eksplozja, uruchomiła się jak silnik, w który pierwszy raz wlano paliwo. Śmierć jej ojca była katalizatorem...

– To nie był jej ojciec.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



„To czysty fatalizm”, pomyślał Mraczewski, gdy odzyskał przytomność. Wąska, długa cela falowała w półmroku. „Przeznaczenie. Fatum. Tyche”. Potarł nadgarstki, na których wciąż czuł kajdanki. Nie miał zegarka. Z trudem podniósł się z wąskiego, twardego łóżka. Nie miał skózanego paska z ozdobną srebrną klamrą, jego buty pozbawiono sznurowadeł, zabrano mu też krawat. Z opadającymi spodniami i w rozdeptanych eleganckich pantoflach czuł się niemal nagi.

Jego głowa była pełna szumów, trzasków, wyładowań elektrycznych. Przeszedł kilka kroków i musiał oprzeć się o ścianę, by nie stracić równowagi. Osunął się na podłogę i ukrył twarz w drżących dłoniach.

Pomieszczenie pachniało pleśnią. Niedawno tu posprząrano, czuł kurz wirujący w powietrzu. Przez okienko umieszczone tuż pod sufitem sączyło się wątłe światło. Dochodził stamtąd szum kołysanych wiatrem gałęzi. Szum narastał, ale Mraczewski nie był pewien, czy to nie jest jego własna pulsująca krew.

Czuł, że tak to się skończy. I nie jest istotne, czy w grę wchodziło skrupulatnie prowadzone śledztwo, czy też absolutny przypadek. Mają go i pewien ciąg wydarzeń znalazł swój epilog.

Kawa. W ostatniej chwili poczuł w jej zapachu coś obcego. Zbyt słodkiego. Kawa, którą zawsze mu podawano Pod Żółtą Gałęzią, miała gorzki, korzenny smak, była zbyt mocno wypalana i niestety często rozcieńczana dużą ilością nieprzegotowanej wody. Na swoje

nieszczęście zignorował podejrzenia i wypił całą filiżankę. Na jej dnie wypatrzył kilka skrzących się kryształków. To nie był cukier. Po wyjściu z kawiarni jego nogi wydawały się grzęznąć w chodniku jak w miękkim dywanie. Potem pojawiło się dwóch mężczyzn, których ramiona poczuł na chwilę przed dość zabawnym kontaktem ze skórzanym fotelem tylnego siedzenia jakiegoś samochodu.

Później była barwna podróż w głąb nie wiadomo czego...

Wciąż nasłuchiwał. Nie słyszał żadnych głosów przez wyjątkowo grube ściany. Niepokoił go tylko narastający szum. To były drzewa. Park lub las. Nie był pewien. Dużo drzew. Przyjrzał się światłu, które zalewało połowę jego celi. „Wyjątkowo pochmurny dzień”, ocenił. „Może będzie padać”. Wspiął się na łóżko i stanął na palcach, ale niczego nie zobaczył.

Usiadł zrezygnowany i nagle myśl, która pojawiła się w jego głowie, ścięła mu krew w żyłach.

„A jeśli to nie jest policyjny areszt?”

Poderwał się jak oparzony i zerwał pościel z łóżka. Obejrzał dokładnie materac i starą, cuchnącą obcym potem poduszkę. Nie doszedł jednak do żadnych wniosków. Zajrzał pod łóżko. Nic. Wstał z kolan i obszedł pomieszczenie.

Jego palce ślizgały się po zimnych ceglach, napotykając tylko miliony drobnych wypukłości, setki miniaturowych pęknięć. To miejsce było stare. Nie bardzo, ale jednak stare. Podszedł do stalowych, niedawno pomalowanych szarą farbą drzwi. Wciąż pachniały chemią. Zawiasy były lekko zardzewiałe.

Znów uklęknął, by sprawdzić, czy między podłogą a drzwiami nie ma szpary. Nic. „Może kartka papieru by się zmieściła”, pomyślał i w tym samym momencie na jednej z najniższych ułożonych cegieł zauważył wyraźny symbol. Wypalony znak. Pogładził cegłę opuszkami palców, a w jego głowie zmaterializował się czworokąt z ułożonymi po przekątnej trzema małymi trójkątami.

Podniósł się zdumiony. Znał ten symbol. Coś kotłowało się w jego zatrutym strachem umyśle. Coś, od czego może zależeć ratunek. Układał wyobrażony wzór na tysiące sposobów. Powiększał do rozmiarów budynku, miniaturyzował do rozmiarów spinki do mankietu. Pokrywał go dziesiątkami odcieni podstawowych kolorów,

rzeźbił w brązie, glinie, drewnie. Stroił nim flagi, przyklejał na maski samochodów.

Spinki, flagi, tarcze...

Już wiedział. Chociaż wolałby nie wiedzieć.

Sygnet rodowy Adama. Chłopaka, z którym sypiał i którego zasztyletował. Widział ten symbol dziesiątki razy. Na złotym tle trzy błękitne trójkąty – trzy gałęzie jednego z najstarszych rodów Korony...

Zaczął się pocić.

Usłyszał własne serce bijące w szaleńczym tempie.

Poza tym panowała cisza, tylko drzewa szumiały na zewnątrz.

* * *

Nie potrafił określić, ile czasu przebywał w celi. Z pewnością jedną noc. Od kilku godzin czuł dotkliwy głód. Przez chwilę chciał tłuc pięściami w drzwi i krzyczeć, wcześniej próbował odsunąć łóżko od ściany, ale okazało się, że jest przymocowane śrubami do podłogi. „Jeżeli chcą mnie tu zagłodzić, są na najlepszej drodze”, pomyślał gorzko. Położył się i próbował zasnąć. Wcześniej oddał mocz w najdalszym kącie celi. Kwaśny zapach unosił się w powietrzu i Mraczewskiemu powoli zaczęło zbierać się na wymioty, chociaż jego żołądek był pusty.

Po upiornie nieokreślonym czasie, gdy przewracał się na łóżku z boku na bok, poczuł inny zapach. Coś ostrzejszego, groźniejszego, coś, co osadzało się w gardle i przeraźliwie drapało. Nie znał tego zapachu. Gaz! Przerażony przyłożył do twarzy poduszkę, ale wiedział, że już jest za późno, by cokolwiek zrobić. Zaczął się pocić, koszula przywarła mu do pleców. Z trudem zdał ją i zasłonił nią twarz. Z oddali nadciągały niby uderzenia czyjeś kroki. Po chwili stracił przytomność...

* * *

Obudził się na stojąco. Jego ciało rozpięte było na czymś w rodzaju krzyża – ramiona przywiązano skórzanymi pasami, tułów przytrzymała lśniąca metalowa klamra, stopy wsunięto w ciasne obręcze. Spróbował ruszyć głową, ale na szyi poczuł chłodną obrozę.

Otworzył oczy tylko na sekundę. Pomyślał, że udając nieprzytomnego, odwlecze przynajmniej na jakiś czas nieprzyjemności, których się spodziewał. Zdał się na resztę zmysłów. Tym razem słyszał cichutkie brzęczenie delikatnie wibrującego urządzenia, czegoś w rodzaju maszyny, której silniczek pracuje na najniższych obrotach. Przełknął ślinę. Wciąż czuł w ustach gaz, którym pozbawiono go przytomności. Gdzieś daleko, za niejedną ścianą, słyszał głosy. Spokojne, wyważone, beznamiętne. A może to radio?

W powietrzu unosiła się woń kobiecych perfum. Mocnych, nieco duszących. Był niemal pewien, że ta marka była dostępna również w sklepie, w którym pracował. Przypomniał sobie jej nazwę – Merope. Poza tym czuł zapach kurzu, drewna pokrytego świeżym lakierem, farby.

Nic więcej. W pokoju był sam. „Jestem zbyt słaby, by się skoncentrować”, pomyślał. Teraz mógł tylko czekać. Niemal zapomniał o herbie odciśniętym w cegle. Wolał zapomnieć...

Postanowił powoli otworzyć oczy. Doskonale widział w ciemności, więc bez najmniejszego trudu dojrzał ustawione dokładnie naprzeciwko niego trzy skórzane fotele. Przypominały miniaturową widownię teatralną czekającą na rozpoczęcie przedstawienia. Za nimi ciężkie bordowe kotary zasłaniały szerokie okna.

Powoli obracał głowę – na tyle, na ile pozwalała mu zaciśnięta na szyi obroża. Reszta pokoju była pusta. Wysprzątana. Jeżeli cokolwiek jeszcze znajdowało się w tym pomieszczeniu, było za jego plecami.

Tak jak drzwi, za którymi słyszał zbliżające się kroki. Pięciu, sześciu osób. I dźwięk metalu, którym ktoś przesuwiał po ceglanych ścianach.

* * *

„Co ja tutaj robię?”, pomyślała zirytowana Róża. „Powinni mnie usadowić bliżej podium, z innymi przewodniczącymi, a nie między tymi dzieciakami. To jakaś pomyłka!”. Rozejrzała się wokół i z narastającą wściekłością zauważyła, że szczebioczących z podniecenia nastolatek przybywa i że wszystkie znajdujące się wokół niej krzesła zostały zajęte. „Niewiarygodna porażka!”.

Podniosła się i – zrezygnowana – natychmiast usiadła z powrotem. Pierwsze cztery rzędy były wypełnione do ostatniego miejsca. „Powinnam siedzieć tam, ze starszymi. Cholera! Przyjechałam tu swoim samochodem, a te obok mnie dopiero zaczęły jeździć na dwukołowych rowerkach!”

Nagle piskliwe głosiki uniosły się pod sufit, by opaść z westchnieniem, gdy okazało się, że na scenie pojawiła się nie ta kobieta, na którą wszystkie czekały. Kilka dziewcząt wyciągnęło z torebek chusteczki i wytarło nimi spocone czoła. W sali wypełnionej do granic możliwości było niewyobrażalnie gorąco; nie pomogło otwarcie wielkich okien, bo wszystkie bez wyjątku wychodziły na południe.

Gwar wciąż narastał i zlewał się z upałem w jedną nieznośną magmę. Sala była zbyt mała jak na potrzeby zlotu młodych członkiń zakonu Kybele. Dziewczyny niespokojnie wierciły się na twardych krzeselkach, wszystkie czekały na pojawienie się honorowego gościa, głównej kapłanki kultu – Very Palmer.

Róża otworzyła torebkę i wygrzebała z niej puderniczkę. Sprawdziła w lusterku makijaż, który dzielnie znosił narastający z minuty na minutę upał.

– Julka, a słyszałaś o tych dwóch, które przyjechały z Królewca?
– zapytała swoją koleżankę pulchna okularnica, wciąż rozprasowująca dłońmi fałdy spódnicy. – One są już chyba pełnoletnie, bo przyjechały tutaj samochodem. Bez rodziców. I chyba nawet jedna z nich pali papierosy, widziałam, jak chwaliła się papierośnicą. I jeszcze...

Towarzyszka przerwała jej machnięciem dłoni.

– Wiesz, jak się jest córką byłego ministra i ma się chłopaka... Wiesz, tego szermierza, który walczył na olimpiadzie w Rzymie.

– Wiem, wiem. Jeszcze parę lat i my też będziemy przyjeżdżać tu same – rozmarzyła się okularnica.

„Macie, dziewczyny, problem”, skwitowała Róża mimowolnie podsłuchaną rozmowę. Wściekłość powoli przechodziła w rezygnację. Chętnie wyszłaby zapalić, ale bała się, że zaraz jakaś pryszczata mała usiądzie na jej miejscu.

– Te z was, które chciałyby zakupić podręczniki autorstwa naszego gościa, a potem zdobyć autograf, proszone są o ustawienie

się po skończonym spotkaniu przy niebieskich drzwiach. Dziękuję – komunikat tej treści podała stojąca obok sceny wysoka, piegowata blondynka.

Zuza! Róża natychmiast ją rozpoznała. Była jej najgroźniejszą konkurentką w wyborach na przewodniczącą Koła. Przegrała i raczej nie pogodziła się z porażką, bo natychmiast znalazła w mieście inną grupę kybelanek i została jej skarbnikiem.

Dziewczyna stała dumna, przeglądając jakieś papiery, by odnaleźć i odczytać kolejną wiadomość.

– Te z was, które chciałyby zaopatrzyć się w ubrania zaprojektowane przez naszego gościa, mogą po spotkaniu udać się na drugie piętro budynku, gdzie znajduje się sklepik, w którym na pewno znajdziecie coś dla siebie. Sama też się tam wybieram – dodała z wymuszoną wesołością.

„Nigdy nie mogłam znieść tej jej pretensjonalności, tego udawania, tej zarozumiałości! A teraz ona stoi tam sobie pod sceną, ma plakietkę organizatora i założę się, że widząc moje nazwisko na liście gości, specjalnie przydzieliła mi miejsce w samym kącie sali! To więcej niż pewne! Muszę zapalić, bo zwariuję!”

By uspokoić nerwy, Róża wczytała się w treść broszury, którą machinalnie kartkowała od dłuższego czasu. Na pierwszej stronie widniał wystudiowany portret Very Palmer. Twarz najwyższej kapłanki w połowie przestłonięta była kaskadą blond włosów, usta, pełne i lekko wydęte, uśmiechały się tajemniczo. W oczach czaił się żar, energia, której niespożyte zapasy pozwalały kobiecie na pisanie jednej książki rocznie, organizowanie zlotów w różnych częściach Europy, tworzenie własnej linii ubrań i perfum. I, co najważniejsze, na utrzymywanie stałego mentalnego kontaktu z boginią Kybele, której kult szerzyła w całym cywilizowanym świecie.

Kilka następných kartek zapełniały wyimki z poradników Angielki. Były to słowa o upartym dążeniu do celu, wytrwałości, a nade wszystko o potędze kobiecości, najpotężniejszego w uniwersum pierwiastka. „Jesteście niezastąpioną, wybraną przez los grupą. Jesteście świadome swojej wartości. Jesteście wojowniczkami światła. Jesteście po to, by Życie mogło żyć!”. Ostatnie zdanie było jednocześnie tytułem jej najpopularniejszej książki.

Róża zaczęła studiować ostatnią stronę, na której umieszczono wszystko, co prawdziwa kybelanka powinna posiadać. Krwistoczerwoną szminkę w cudnie złoczonej oprawce, flakonik wieczorowych perfum Merope, których zapach „ma moc usidlenia nawet najbardziej opornych wybranków”, zestaw „pierścionek + kolczyki 20% tańsze, gdy zakupisz wisiołek z wygrawerowanym zaklęciem pomagającym odpierać uroki nieżyczliwych Ci osób”. Dalej eleganckie torebki, pantofle, kapelusiki, dodatki, „które zmieniają nawet najbardziej tradycyjne ubrania w niepowtarzalne i oryginalne kreacje”.

Różę szczególnie urzekła śliczna koktajlowa torebeczka, cylindryczna czarna forma na długim skórzanym pasku. „Dziwne”, pomyślała, „im coś jest prostsze, im mniej ma rzucających się w oczy ozdób, tym jest droższe”. Nie zamierzała jednak przejmować się ceną. Za dwa tygodnie są jej urodziny i...

Nagle sala zamilkła. Róża rozejrzała się i zauważyła, że kilka dziewczyn z obsługi ruszyło w stronę okien i zaczęło zasłaniać je czarnymi kotarami, ciągnąc za grube szarfy. Wnętrze powoli wypełnił półmrok, w którym ledwie rysowała się scena.

Gdzieś w głębi zapaliły się delikatne światełka. Kilka osób, a raczej ich mgliste cienie, przemaszerowało dostojnie i stanęło na krawędzi sceny. Zapłonęły punktowe reflektory, których świetlne kręgi nałożyły się na siebie w centralnym punkcie sceny, na wysokości kamiennej mównicy. W gęstym powietrzu uniosły się, niczym smugi oparów ze spalającego się kadzidła, eteryczne dźwięki fletu.

Very Palmer jeszcze nie było, ale napięcie nie opadało nawet na chwilę. Róża wyciągnęła szyję, by cokolwiek widzieć zza kłębiących się przed nią głów. Światła powoli wyciągały z półmroku scenę. Zabrzmiała harfa, do której dołączały inne instrumenty. Gęsta, hipnotyczna tkanina dźwięków oszołomiła zebranych. W momencie gdy rytm stawał się wręcz nieznośny, światła rozdarły półmrok i na scenę wmaszerowała Vera Palmer.

Przeszła równym krokiem na drugą stronę sceny i stanęła za mównicą. Miała na sobie biały kostium, którego materiał układał się na ramionach jak mgiełka. Poprawiła włosy i dyskretnie musnęła palcami srebrny ciężki medalion kołyszący się na wysokości

głębokiego dekoltu. Każda kybelanka wiedziała, że Angielka nigdy nie rozstaje się z medalionem, w którym zatopiono artefakt – fragment metalu, który wypadł z dłoni bogini Kybele w czasie jednej z niezliczonych epifanii w ubiegłym stuleciu.

Oszołomione dziewczyny wpadły w ekstazę. Krzyki, piski, westchnienia mieszały się w jeden pochwalny hymn na cześć kobiety, która była dla nich najserdeczniejszą przyjaciółką, powierniczką sekretów, starszą doświadczoną siostrą, wyrozumiałą matką...

Vera Palmer jeszcze raz poprawiła włosy i uśmiechając się promiennie, podniosła rękę na znak, że prosi o ciszę. Zaczęła mówić. Najczystsza, płynną polszczyzną.

* * *

Mniej więcej po godzinie wykładu Różę ogarnęło nieprzyjemne uczucie nerwowości i suchości w ustach. Jej palce szukały czegoś, co mogłyby chwycić. „Zapalić. Muszę zapalić”. Otworzyła torebkę i sprawdziła, czy nie zostawiła papierośnicy w samochodzie. Nie. Na szczęście nie musiała schodzić na parking. Spojrzała na wciąż przemawiającą kobietę. Wykład przewidziany był na półtorej godziny, więc zdąży zapalić i wrócić. Tym bardziej że znała już słowa, które płynęły ze sceny – kapłanka powtarzała myśli zawarte w jej ostatniej książce.

Róża miała nadzieję, że nikt nie zajmie jej miejsca, ale na wszelki wypadek zostawiła na siedzeniu krzeselka złożony żakiet. Tak naprawdę zależało jej na ostatnim punkcie programu – Vera Palmer miała wprowadzić się w stan umożliwiający jej kontakt z boginią. To ponoć robiło nieprawdopodobne wrażenie. Kapłanka traciła na kilka minut kontakt ze światem widzialnym, zaczynała mówić niezrozumiałym językiem, który przypominał według filologów antyczną grekę, zdarzało się, że unosiła się kilkanaście centymetrów nad ziemię i kołysała jak serce bijącego dzwonu. Dziewczyna musiała to zobaczyć...

* * *

Drugiego papierosa wypaliła niemal w biegu. Wracając, zabłądziła w licznych korytarzach na czwartym piętrze budynku,

gdzie spodziewała się znaleźć galerię sztuki. Gdy zdała sobie sprawę z upływającego czasu, puściła się biegiem i... trafiła z powrotem w miejsce, z którego ruszyła.

Kapłanka już pewnie skończyła swój wykład i przygotowywała się do kontaktu z boginią. Cholera! Akurat na to Róża nie chciała się spóźnić. Biegając, skręciła w inną odnogę korytarza i dotarła pod drzwi, które prowadziły na klatkę schodową. Przeskakiwała po dwa, trzy stopnie naraz, by jak najprędzej znaleźć się na parterze. W końcu stanęła przed drzwiami z numerem O i pchnęła je z całej siły. I znów popędziła do auli, przekonana, że reszta dziewczyn już umiera z zachwytu nad umiejętnościami kapłanki.

Spocona, ze zrujnowaną fryzurą i otartymi do krwi kostkami (nowe, nierozchodzone trzewiki) naparła całym ciałem na ciężkie drzwi auli. Nie ustąpiły. Róża otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia i nacisnęła rzeźbioną klamkę. Nic!

– Co jest? – zapytała półgłosem samą siebie. Rozejrzała się wokół, szukając jakiegoś innego wejścia. „A może to nie ta sala? O co chodzi?”. Przycisnęła ucho do drzwi, usiłując coś usłyszeć, ale docierał do niej tylko ściszony szmer głosów. Angielka skończyła przemawiać.

W głowie Róży rozpętała się prawdziwa burza z przekleństwami zamiast grzmotów i wściekłością zamiast padającego deszczu. Zacisnęła pięści i zaczęła tłuc nimi w drzwi. Skutek był inny, niż przewidywała.

Jak spod ziemi wyrósł przed nią portier w granatowym uniformie. Posyłając dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie, powiedział spokojnym, zdecydowanym głosem:

– Panienska już tam nie wejdzie. Zamknęły drzwi, a ja mam pilnować, by nikt nie hałasował, a już tym bardziej nie walił w drzwi.

Róża z trudem opanowała gniew.

– Dobry człowieku – zaczęła spokojnie – przed chwilą wyszłam do toalety i zamierzam dostać się do środka. Mam tam zarezerwowane miejsce, więc proszę mnie wpuścić.

Portier uśmiechnął się bezradnie i z wyuczoną grzecznością odparł:

– Panienska wybaczy, ale drzwi są od pół godziny zamknięte od środka, więc nie mogła panienska wyjść przed chwilą. Nie mogę nic

zrobić.

– Jak to? Przecież musi być jakiś zapasowy klucz, przecież... – urwała i zapytała drżącym głosem: – A czy ktoś jeszcze wychodził po mnie? Jeszcze jakaś dziewczyna?

Mężczyzna podrapał się po głowie i rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia – wysapał; widać było, że nie chce dłużej niczego tłumaczyć. – Nie mogę nikogo tam wpuścić i koniec.

Niemal niezauważalnie, robiąc dwa długie kroki, portier zasłonił drzwi swoim zwalistym ciałem. Mężczyzna najwyraźniej czuł, że Róża nie będzie chciała się z nim mocować, a nawet go dotykać, i dawało mu to niewyobrażalną przewagę nad zrozpaczoną dziewczyną.

Zrobiła kilka kroków do tyłu i oparła się o zimną marmurową ścianę. Łzy napłynęły jej do oczu, schowała więc twarz w dłoniach i ukucnęła, zanosząc się płaczem. Co było bardziej poniżające? Jej własna głupota? Drzwi zamknięte przed samym nosem? A może przegrana batalia z tłustym, śmierdzącym potem facetem, który teraz po cichu tryumfuje i jest zadowolony ze swojego niewolniczego posłuszeństwa? Myśli dziewczyny plątały się nieprzytomnie, bezradność pozbawiła je logiki. „Co ja powiem w domu? Ojciec mnie wyśmiej. Brat będzie do końca życia ze mnie szydził i opowie kolegom. Nic im nie powiem, już postanowione...”.

Nagle zza drzwi dotarło do niej przytłumione zbiorowe westchnienie kybelanek. „No tak”, pomyślała, „Vera Palmer wchodzi w trans, nawiązuje kontakt”. Podniosła się z posadzki i z godnością poprawiła zmierzwione włosy. Posłała portierowi najbardziej pogardliwe ze spojrzeń i ruszyła w stronę wyjścia, gdy nagle przypomniała sobie, że zostawiła w auli żakiet. „Trudno. Zaczekam, a potem udam, że...”.

Za drzwiami rozległ się głośny krzyk. Róża westchnęła nad własną głupotą. Pogodziona z sytuacją, uśmiechnęła się sama do siebie. „Niech tam sobie czaruje, trudno”.

Krzyk zza drzwi nie brzmiał jednak jak wyraz zachwytu, lecz raczej przerażenia. Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku i zaczęła nasłuchiwać. Krzyki zamieniły się w pojedyncze, pełne bólu wrzaski. Nawet portier momentalnie otrząsnął się z otępienia i przyłożył ucho do drzwi.

„Coś jest nie tak”, pomyślała. „Coś złego tam się dzieje”. Podbiegła do portiera, by razem z nim nasłuchiwać.

– Niech pan otworzy – zażądała wreszcie zdecydowanym tonem.

– Tam coś się stało. Może ktoś potrzebuje pomocy.

– Ale ja naprawdę nie mam kluczy – odrzekł głosem po raz pierwszy zdradzającym jakiejkolwiek emocje. – Jedyne zapasowe komplety są w pokoju technicznym na drugim piętrze. Mój komplet oddałem tam...

– Ja przecież po te klucze nie pójdę! Niech pan biegnie!

O dziwo, portier zareagował i puścił się biegiem przed siebie. Nie odwracając się, rzucił:

– Niech strażnik zadzwoni po policję! Niech kogoś wezwie!

W auli musiało dziać się coś strasznego! Wrzaski dziewcząt przybierały na sile, tworząc upiorny chór. Róża szarpnęła drzwi, ale te trwały niewzruszone. Ktoś z tamtej strony również się z nimi siłował, ale efekt był podobny.

– Co się tam dzieje?! – krzyknęła Róża. – Co się tam dzieje?!

W odpowiedzi usłyszała tylko krzyki i uderzenia w ściany oraz drzwi, a potem poczuła gorący powiew powietrza nie wiadomo skąd...

Dziewczyna odskoczyła od drzwi. Stała we wciąż rosnącej kałuży krwi. Nagle coś uderzyło ją silnie w ramię. Gdy zrozumiała, że to posadzka, na którą upadła – zemdląca.

* * *

Dopiero po latach komisarz Śnieg zrozumiał absurdalność sytuacji, w jakiej poinformowano go o wydarzeniach związanych ze zjazdem kybelanek.

Brodził po pas w przerażająco zimnej wodzie jeziora oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od Antipolis. Teren uzdrowiska, do którego postanowił się udać, wykorzystując zaległy urlop, był znany z gęstych lasów i kilku polodowcowych jezior. Samo zaś uzdrowisko specjalizowało się w rehabilitacji pacjentów cierpiących na różnego rodzaju choroby ortopedyczne, więc kolana, które dokuczały Śniegowi od lat, miały w końcu zostać doprowadzone do porządku.

Co rano był przywożony nad jezioro i niemal wpychany siłą do wody przez otyłą, przypominającą zapaśniczkę pielęgniarkę. Przez

następne pół godziny miał pływać lub brodzić w wodzie, która nigdy nie była na tyle ciepła, by można było się w niej położyć i pozwolić falom łagodnie kołysać ciałem. Ponoć dobroczynne właściwości okolicznych jezior polegały właśnie na niskiej temperaturze wody nawet w czasie największych upałów.

Po dziesięciu minutach policjant rzucał już pełne nadziei spojrzenia w stronę brzegu, ale pielęgniarka nie spuszczała go z oczu. Gdy tylko przestawał się ruszać, brała do ust potężny gwizdek i przywoływała pacjenta do porządku serią głośnych sygnałów. „To jakiś koszmar”, myślał, „koszmar na moje własne życzenie”.

Kilkadziesiąt metrów dalej dwaj inni mężczyźni, starsi od niego i zapewne mniej sprawni, zmuszani byli do komicznych podskoków. Na brzegu stała inna pielęgniarka i klaszcząc, narzucała pacjentom opętańcze tempo. Po drugiej stronie jeziora majaczyły sylwetki kobiet, które zapewne także korzystały z „dobrodziejstw” lodowatej wody. Stamtąd również dobiegały przerażające odgłosy porannej musztry.

„Jeszcze kilka minut, a potem zbiorą nas wszystkich i odwiozą na śniadanie. Znowu ciemny chleb, plaster chudego mięsa i chrzan. Chrzan do wszystkiego! Wszystko do chrzanu”, pomyślał z wisielczym humorem i znów kilka razy podskoczył, by zadowolić pilnującą go pielęgniarkę. W końcu położył się na powierzchni wody i ignorując gwizdzącą kobietę, zapatrzył się w postrzępione chmury wiszące majestatycznie na niebie. Najmniejszego powiewu. Nagle gwizdy się urwały.

Śnieg zawsze był wyczulony na wszelkie zmiany rytmu nawet najmniej istotnych, ale powtarzających się zjawisk. Zaniepokojony, szybko odwrócił głowę. Na brzegu stała pielęgniarka i tłumaczyła coś dwóm mężczyznom, wskazując co jakiś czas na niego.

Nie miał okularów, więc nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Zaczął wychodzić z wody. Sylwetki nabierały wyrazistości. Jeden z mężczyzn pomachał do niego. Lesman! Rozpoznał młodszego kolegę. Ucieszył się, pierwszy raz od tygodnia widząc kogoś znajomego, ale natychmiast jego myśli przesłonił cień obawy. Coś się stało. Inaczej by tu nie przyjeżdżali.

Wdrapał się na stromy brzeg i podniósł czekający na niego ręcznik. Jednocześnie Lesman i policjant, którego Śnieg nie znał,

podali mu zostawione na ziemi części garderoby. Było coś niezręcznego w tej scenie – Śnieg zawstydził się jak dziecko, drżąc z zimna, policjanci, rozumiejąc przełożonego, odwrócili taktownie wzrok, natomiast kobieta bezceremonialnie zaczęła wycierać mu plecy. Nie padło ani jedno słowo. To, co mieli do powiedzenia, było tylko do jego wiadomości.

Cała trójka pomaszerowała ścieżką przez niewielki zagajnik w stronę granatowego samochodu policjantów. Śnieg usiadł na tylnym siedzeniu. Lesman odpalił motor i ruszyli. Niedawny pacjent odwrócił się, by ostatni raz spojrzeć w stronę jeziora, nad którego brzegiem została potężna pielęgniarka.

* * *

To pytanie musiało w końcu paść.

– Co się stało? – przygotowany był na każdą odpowiedź.

W lusterku wstecznym zobaczył, że Lesman przygryza wargę. Teraz już wiedział, że to coś poważnego.

– Jedenaście osób nie żyje – odpowiedział beznamiętnie policjant. – Stało się to wczoraj wieczorem. Przyjechaliśmy po ciebie, bo ściągają wszystkich.

Komisarz na chwilę zaniemówił.

– Jedenaście? – spytał wreszcie. – Jakiś wypadek? Pociąg? Bomba?

Lesman pokręcił głową.

– Sami do końca nie wiemy. W komendzie głównej czekają na ciebie o jedenastej. Mamy jeszcze trzy godziny. Zdamy, jeśli szybko zapakujesz się i zaraz ruszymy.

– A gazety? Jest coś w prasie?

– Na szczęście jeszcze nie. Pogwałciliśmy procedury i koledzy od wczoraj jeździli po redakcjach, by wytłumaczyć znaczenie tej sprawy. Umówiliśmy się, że poczekają z drukiem do jutra.

Komisarz przełknął ślinę. Pierwszy raz o czymś takim słyszał. Wieczna wojna między policją a dziennikarzami nigdy nie kończyła się milczeniem tych ostatnich.

Spakował się szybko, wrzucił walizkę do bagażnika samochodu. Zauważył, że towarzysz Lesmana ustąpił mu miejsca obok kierowcy, a sam usiadł na tylnym siedzeniu. Podziękował mu i usadowił się z

przodu. Gdy ruszyli, pomyślał, że powinien pożegnać się z lekarzami, którzy tak bardzo starali się wyleczyć jego kolana. Postanowił, że wyśle telegram.

– Mów! – głos komisarza zabrzmiał tak szorstko, że Lesman spojrzał na niego zdziwiony. – Możesz mówić – poprawił się Śnieg.

– Ode mnie za wiele się nie dowiesz. Sam wyrobiłem sobie zdanie na podstawie pogłosek i tego, co usłyszałem od kolegów.

Śnieg starał się ukryć zniecierpliwienie.

– Więc co usłyszałeś?

Młodszy policjant wziął głęboki oddech i zaczął powoli mówić, starannie dobierając słowa.

– W piątek w mieście był zlot kybelanek. Wiesz, co to za jedne, prawda? – Śnieg kiwnął głową. – Przyjechała ich najwyższa kapłanka, Angielka Vera Palmer. Zjawiła się ponad setka dziewcząt z całego Królestwa. Oprócz tradycyjnego odczytu, promocji książek i sprzedaży perfum, czyli, krótko mówiąc, robienia dobrych interesów, miała jeszcze zaprezentować swój popisowy numer: skontaktować się z Kybele. Wiesz, tą ich boginią... – Śnieg znowu mruknął potakująco. – No i słyszałem, że jej się udało.

W ostatnich słowach Lesmana było coś, czego Śnieg nigdy nie słyszał w głosie swojego młodszego kolegi – strach.

Samochód podskoczył na wiecznie dziurawej drodze prowadzącej do Antipolis. Komisarz przypomniał sobie wizytę u Sosnowskiego.

– Odwrócony witraż – mruknął.

Lesman spojrzał na Śniega.

– Mówiłeś coś?

– Nie, nic ważnego. Lepiej patrz na drogę – odparł sucho. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz.

* * *

Mężczyzna, który przyprowadził Nadję na zebranie, zdał sobie nagle sprawę, że będzie to jedyna kobieta w tym gronie, odkąd Zgromadzenie się ukonstytuowało. Dziewczyna nie wydawała się tym jednak speszona. I chociaż założyła mniej krzykliwy niż zwykle kostium, emanowała pewnością siebie. Przedefilowała przez zasnuty dymem gabinet i zajęła miejsce w najdalszym kącie. Bez

skrępowania wyjęła papierosa. Zebrani początkowo zwrócili na nią uwagę, ale po chwili każdy z nich wrócił do przeglądania stert papierów lub rozmowy z najbliższym sąsiadem.

Zostawił Nadję samą. „Da sobie radę”, pomyślał, „jest bardzo samodzielna jak na swoje dwadzieścia lat”. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. „Ile tu posiedzimy? Dwanaście godzin? Dłużej? I z czym wyjdziemy? Czy w ogóle z czymkolwiek?”. Nachylił się, by sięgnąć po dzbanek z kawą. Jeszcze spokojny, napełnił filiżankę. Ile ich dzisiaj wypije?

Tylko kilka krzeseł pozostawało pustych. Wciąż na kogoś czekano. Minęła jedenasta i do gabinetu wpadli naczelnik policji i komisarz Śnieg. Rozpoznał go. Jego zdjęcie pojawiało się w gazetach, gdy jakieś głośne śledztwo kończyło się sukcesem, ale również wtedy, gdy policja wikała się w niejasne machinacje lub nie potrafiła uporać się z przestępstwami popełnianymi przez samych policjantów. Na Śniega spadał wtedy przykry obowiązek firmowania własną twarzą wzlotów i upadków całej służby.

Wciąż kogoś brakowało. Dwa krzeseła nadal pozostawały puste. Słysząc było gwar chaotycznej dyskusji, w powietrzu unosiły się nieprawdopodobnie gęste kłęby dymu z papierosów. Powietrze stało w miejscu. Kawa w dzbankach stygła. Kwadrans po jedenastej do gabinetu wszedł starszy mężczyzna z naręczem papierów. Jego pierwsze słowa brzmiały:

– Proszę tu przewietrzyć! – ten rozkaz brzmiał w ustach zasuszonego staruszka wręcz groteskowo, jeśli wziąć pod uwagę, że skierował te słowa w stronę najpotężniejszych ludzi w Koronie. Siedzący najbliżej okien otworzyli je i wpuścili świeże, choć dość upalne powietrze.

– Dziękuję – powiedział cierpko mężczyzna i usiadł, rozkładając przed sobą papiery. Tuż za nim wszedł człowiek mający prowadzić całe zebranie. Odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa.

* * *

*FRAGMENT PROTOKOŁU Z ZEBRANIA ZGROMADZENIA
12 SIERPNI 1936 ROKU. WERSJA ROBOCZA
DO ZASZYFROWANIA W STOPNIU NAJWYŻSZYM
(fragmenty)*

PUNKT PIERWSZY

Komisarz Śnieg przedstawia zebrany zarys sytuacji z 10 sierpnia 1936 roku, do jakiej doszło w czasie zlotu tak zwanych kybelanek – nastoletnich adeptek popularnego kultu Kybele. Zlot miała ukoronować prelekcja założycielki zakonu, Very Palmer. W czasie inkantacji ku czci bogini ta zmaterializowała się; na podstawie zeznań świadków wiemy, że „przeszła PRZEZ Verę Palmer, a potem pokonała całą długość sali. Przechodziła tak, jak człowiek przechodzi przez tuman mgły”. (Komisarz zacytował fragment jednego z nielicznych zeznań).

W sali znaleziono jedenaście ofiar śmiertelnych. Reszta dziewcząt w stanie głębokiego wstrząsu trafiła do szpitali.

Policja ma za zadanie zablokować przepływ informacji na temat tego wydarzenia. Rodzice ofiar pochodzących spoza miasta zostali już sprowadzeni do Antipolis.

Ciała badają zespoły koronerów. Z ich dotychczasowych ustaleń wynika, że część ofiar zginęła z powodu wielonarządowych obrażeń. Ciała sześciu dziewcząt nie wykazują najmniejszych obrażeń, więc przyczyny zgonów wciąż są ustalane.

Naczelnik policji prosi o zniesienie blokady dostępu do najbardziej tajnych informacji i jak najszybsze poinformowanie o przyczynach tego, co się stało, oraz możliwościach zapobiegania podobnym wydarzeniom.

PUNKT DRUGI

Profesor Pióro przedstawia zebrany zarys historii manifestacji z ostatnich dwustu lat i ze szczególnym naciskiem opisuje wydarzenia z 12–25 marca roku 1822, kiedy to w południowo–wschodniej części Korony zaobserwowano masowe epifanie typu agresywno–pasywnego. Istoty nie tylko „wchodziły” w ludzką czasoprzestrzeń, ale również naruszały swoją obecnością jej kształt.

Nie zauważając swojej własnej obecności w ramach „naszego świata”, swobodnie materializowały się na oczach ludzi, czego skutkiem były zmiecione z powierzchni ziemi budynki (największy z nich to fabryka Neinmana obrócona w stertę gruzu) i setki zabitych, gdy Istota przybierała kilkunastometrowe rozmiary.

Mieliśmy również do czynienia z nadaktywnością ludzi, którzy odziedziczyli po swoich dalekich przodkach cechy świadczące o tym, że kiedyś zjawiała się pośród nich Istota.

Na podstawie wyjątkowo bogatego materiału badawczego (grubo ponad setka wiarygodnych i precyzyjnych relacji) można zauważyć kilka prawidłowości.

* * *

– Nic nie zrobimy – powtórzył głucho Śnieg. – Nic nie zrobimy.

W gabinecie zaległa cisza. Lesmana, Milara, podstarzałego Dunina, spóźnionego Głowackiego – wszystkich ich sparaliżowały słowa przełożonego. Ciepły wiatr wpadający przez otwarte okno przesunął nieznacznie kilka formularzy na środek biurka Śniega. To był jedyny dowód na to, że czas nie stanął w miejscu i życie jednak toczy się dalej.

– Jak to nic? – odezwał się Lesman.

– Czasami leczy się tylko objawy choroby – westchnął Dunin, uważnie oglądając nóż do papieru, który przez przypadek znalazł się w jego dłoniach. – Objawów będziemy mieli pod dostatkiem. Przyczyny nie możemy ani zatrzymać, ani cofnąć. Możemy tylko patrzeć i podnosić z ziemi potrąconych przez tych, których wizyty należy się wkrótce spodziewać.

– A skąd wiadomo, że to wszystko trafi akurat w miasto? – zapytał Milar, najmłodszy z zebranych.

– Wiadomo. Wszystkie obserwacje to potwierdzają. Tutaj się zacznie.

A potem rozejdzie się, rozpełźnie na boki. Tak samo było w 1822 roku. Tylko że wtedy ucierpiało kilka niewielkich miściniek.

Śnieg westchnął. Dunin ma rację. Możemy tylko obserwować.

– A cała reszta? – zapytał ze źle maskowaną złością Lesman.

– Reszta? – komisarz przekrzywił głowę, jakby nie rozumiał pytania. – Zgromadzenie? W co mają celować armaty naszej armii? Co mamy bombardować? Jakie drogi mamy zamykać? Ile łóżek szpitalnych rezerwować, a ile trumien zamawiać? Już kopać masowe mogiły? Poinformować ludzi? Wywołać największą w historii państwa panikę?

Wszystkie te pytania zawisły w powietrzu, nie doczekawszy się odpowiedzi. Za otwartym oknem stado gołębi rozproszyło się, by po chwili na powrót utworzyć jeden migotliwy organizm.

– I tak trzeba będzie to powiedzieć ludziom. I cieszymy się, że ten obowiązek nie spoczywa na nas.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



Mężczyźni usiedli na trzech skórzanych fotelach. Na środkowym rozparł się najstarszy z nich, lekko otyły, chociaż wciąż trzymający się prosto jegomość. Jego twarz zdobiły siwe wąsy. Włosy zostały ułożone w ten sposób, by przykrywały jak największą powierzchnię łysiejącej już głowy. Obracając w palcach prostą mahoniową laskę, co jakiś czas zerkał na zegarek i potrząsał nim, jakby nie był pewny, czy mechanizm nie zaczął szwankować.

Po lewej stronie usadowił się wysoki, dużo młodszy brunet. Splótł palce ozdobione pierścieniami, obrączkami i sygnetem. Czarny garnitur, biała koszula i purpurowy krawat czyniły z niego postać niemal teatralną. Wydawał się nieobecny – a przynajmniej starał się sprawiać wrażenie spokojnego i zdystansowanego.

Trzeci, najmłodszy mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany. Wciąż strzepywał z nogawek spodni nieistniejące pyłki, strzelał palcami i wycierał delikatną batystową chustką wilgotne usta. Co jakiś czas oglądał się za siebie, jakby wyczekując momentu, gdy ktoś lub coś zmaterializuje się za jego plecami.

Widoczne za trójką milczących mężczyzn ogromne panoramiczne okno złożone z trzech szklanych tafli wpuszczało do pomieszczenia przymglone światło późnego wieczoru. Mężczyźni czekali w ciszy, choć napięcie, jakie tu panowało, wydawało się ciągle narastać.

Przed nimi na metalowej konstrukcji przypominającej kształtem literę T wisiał unieruchomiony młody nagi mężczyzna. Klamry, pasy i

obroża przytrzymująca jego szyję uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Reszta ciała – najwrażliwsze części, stawy, głowa, palce u rąk – pozostawały odstonięte. Gotowe. Mężczyzna patrzył przed siebie, nawet nie ukrywając strachu. Czystego, zwierzęcego strachu, który rozrywał każdy jego mięsień. Nagie ciało niemal parowało. Nagle mężczyzna odwrócił głowę – na tyle, na ile pozwalała mu na to obroża – i zdawał się nasłuchiwać. Usłyszał kroki. Po chwili dotarły one do siedzących na fotelach.

Do pokoju wszedł szczupły, energiczny mężczyzna. Długie ręce włożył w płytke kieszenie lnianych spodni. Wyglądał jak ktoś wracający z konnej przejażdżki lub długiego spaceru z psem. Zatrzymał się naprzeciwko siedzącej na fotelach trójki, zagwizdał zawadiacko i odstoniwszy rząd białych zębów, rzucił wesoło śpiewnym głosem:

– Dobrze! Koniec teatryku! Już się napatrzyliście. Panów samochody stoją na podjeździe. Szoferzy snują się tam smętnie, więc nie dajcie im panowie nudzić się zbyt długo. Do widzenia panom!

Cała trójka niczym posłuszne automaty podniosła się i z widoczną ulgą ruszyła w stronę drzwi, które pozostały uchylone. Ich kroki jeszcze przez chwilę odbijały się echem w szerokim korytarzu, by nagle się urwać.

* * *

– A pan, panie Mraczewski, co tak stoi? – tym razem mężczyzna zwrócił się do więźnia. – Może pan usiądzie?

Zaśmiał się z własnego żartu i opadł całym ciężarem na jeden z foteli, aż solidny mebel jęknął. Mężczyzna wyciągnął ze srebrnej grawerowanej papierošnicy cienkiego i długiego wattera. Niemiecka marka, dobry tytoń. Płomień zapalniczki rozświetlił na chwilę jego twarz. Następnym kilka minut upłynęło w milczeniu. Mężczyzna co jakiś czas zmieniał pozycję ciała. Zaciągał się głęboko, by wypuścić dym nosem. Obserwował Mraczewskiego, jakby szukał na jego nagim ciele najsłabszych punktów, przez które ma wejść ból i strach.

– Czego pan chce? – odezwał się w końcu więzień.

– Panie Mraczewski – odpowiedział niemal dobrotliwie mężczyzna – ja chcę na panu zarobić. Tylko tyle i może aż tyle. Jest

pan w moich rękach. Siedzimy sobie, przepraszam, ja sobie siedzę, a pan tak stoisz i stoisz – mężczyzna się roześmiał. – Dobrze. Już tłumaczę, bo zapewne umiera pan z ciekawości.

Założył nogę na nogę, pochylił się i podparł głowę pięścią. Wyglądał w tym momencie jak model, którego dziwne, ostre rysy twarzy rzeźbiarz ma odtworzyć w bryle gliny.

– Moje nazwisko nic panu nie powie – zaczął – zresztą tyle razy je zmieniałem, że równie dobrze może mi pan mówić Artur. Sam wybrałem to imię. Podoba mi się to drapieżne R. Można je wymówić naprawdę przerażająco.

Uśmiechnął się i kiwnął parę razy głową, jakby chciał samemu sobie przyznać rację.

– Wiele razy mówiono mi, że jestem próżny. Że w zawodzie, który mam szczęście wykonywać, nie należy aż tyle mówić o sobie i swoich sukcesach. Ale już tak mam. Co tam... Łowi pan ryby? Nie? Proszę jednak sobie wyobrazić, że łowi pan rybę. Ogromnego karpia lub skromną płotkę. Nieważne. Wyjmuje pan haczyk z jej pyska i zaczyna tłumaczyć, jakim cudem akurat panu udało się ją złowić, skoro nikt przed panem tego nie zrobił. Dlaczego zdradza pan rybie swoje sekrety? Powiem panu dlaczego. Bo ryba już nie zdąży opowiedzieć o tym innym rybom w stawie. Po prostu za parę godzin zostanie usmażona. Rozumie pan?

Mraczewski poczuł, że powietrze wokół niego gęstnieje ze strachu. Słyszał otępiający, głuchy szum krwi, czuł pulsowanie w uszach, mrowienie w końcówkach drętwiejących palców. Gdyby tylko mógł zwiesić głowę, wbić wzrok w podłogę, uciec przed łagodnym, ale pełnym tryumfu spojrzeniem Artura. Człowieka, który największą przyjemność znajduje w okazywaniu łaski komuś, kogo mógłby miłosiernie dobić.

– Co się ze mną stanie? – wyszeptał, ale natychmiast powtórzył te słowa silniejszym głosem. – Co się ze mną stanie?

Artur wstał z fotela. Bezceremonialnie rzucił niedopałek papierosa na podłogę i zmiażdżył obcasem. Podszedł do Mraczewskiego, jednocześnie wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki mały biały prostokąt. Wizytówka. Chwył ją pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

– Wiem, że widzisz w ciemności, nie mówiąc już o takim delikatnym półmroku – zaczął Artur i teatralnie zatoczył ręką koło nad głową – a nazwisko kogoś, kto po ciebie tu przyjedzie, przeczytałbyś z odległości stu metrów. Ale, niech mnie bogowie, wolałbyś tego nazwiska nie przeczytać. Mówię ci...

Hetzler. Nazwisko rodowe Adama. Hetzler.

– Widzę, że kojarzysz – Artur się uśmiechnął. – Tak, to jego syna zabiłeś. Stary bankier znad Morza Północnego nie ma teraz komu przepisać majątku, chociaż jego pociecha tyle razy go rozczarowała. Ale żeby tak od razu zabijać? Nie, na to nie zasłużył, choć napsuł ojcu krwi nielecho.

Artur schował wizytówkę i spojrzał na zegarek.

– Spóźniają się – mruknął do siebie. – Trudno, poczekamy, chociaż przyznaję, że ten dom zaczyna mnie już męczyć. Jest za duży, gubię się w tych wszystkich piętrach i korytarzach, ale tak się kiedyś budowało...

* * *

Nadja siedziała obok łóżka, na którym leżała nieprzytomna dziewczyna. Miała bladą twarz z ładnie wykrojonymi ustami i ciemnokasztanowe włosy. Jej czoło było chłodne, a oddech równy, chociaż podejrzanie płytki. Nadja dotknęła jej dłoni, po chwili podniosła ją i pozwoliła jej opaść. Dłoń była wiotka, bezwładna, krucha...

Nagle do pokoju wszedł bez pukania młody mężczyzna. Zaczesał opadające na czoło włosy, rozejrzał się, jakby szukając wzrokiem kogoś niepożądanego, i spytał szeptem:

– Co z nią?

– Nie musisz tak cicho mówić. Ona śpi i szybko się nie obudzi. To nie jest zdrowy sen. Musiałam ją wyciągnąć z dziury, w którą wpadła, gdy tam, w mieszkaniu, rozbroiła naszych chłopaków.

Mężczyzna odetchnął. Podeszedł do łóżka i przyjrzał się uważnie twarzy śpiącej dziewczyny.

– Miałem tam wtedy jechać. Roszak się ze mną zamienił parę dni wcześniej. Zamierzał dzisiaj odwiedzić swoich rodziców.

– Fortuna tak chciała – skwitowała Nadja. – Faktycznie, miałeś szczęście. Leżałbyś teraz parę pięter niżej, w przytulnej piwnicy...

„Prosektorium”, zrozumiał.

– A co z nią? Tak naprawdę co się tam stało?

Nadja wstała i podeszła do okna. Otworzyła je i wyciągnęła z fioletowej torebki papierośnicę i zapalniczkę. Zaciągnąwszy się długim, cienkim papierosem, zaczęła powoli, robiąc coraz dłuższe pauzy pomiędzy słowami, mówić:

– Słuchaj, Karol, nie wiem. Za głupia jestem widocznie. Uspokoiliam ją i zmusiłam do zaśnięcia, a teraz utrzymuję ją w tym stanie. Mam nadzieję, że utrzymam tak długo, jak będzie trzeba. To niezbyt komfortowa sytuacja...

– No ale co tam się stało? Przecież to chyba była zwykła dziewczyna. Nie można było podejrzewać, że...

Nadja wypuściła kłęb dymu.

– Odblokowała się. Po prostu. Gdyby nie to, że była zakładnikiem rosyjskiego agenta, który na jej oczach odstrzelił sobie pół głowy, najprawdopodobniej do końca życia byłaby zwykłą, przeciętną dziewczyną. Wyszłaby za męża, urodziła dzieci, gotowała obiady... A tak mamy tutaj – wskazała na łóżko – bardzo ciekawy przypadek. Dziewczyna, która zaatakowana, broni się i instynktownie odbiera ludziom wolę życia. Mamy jeszcze jedną możliwość. Słyszałeś o Zenicie, prawda?

Karol zagryzł dolną wargę.

– Tak, wszyscy w wydziale słyszeliśmy – przyznał. – I nikt nie chce uwierzyć. Ludzie niby się trzymają, ale niektórzy już wysłali swoje rodziny z miasta. To teoretycznie niezgodne z obowiązkiem trzymania wszystkiego w tajemnicy, ale byłoby nieludzkie, gdybyśmy im zabronili chronić bliskich. Na szczęście nic nie wyciekło dalej. Ludzie – wskazał miasto rozciągające się za oknem – wciąż nic nie wiedzą. Nas jednak przenoszą. Za dwa dni.

– Co? – Nadja nie mogła uwierzyć. – Cały wydział?

– Nie wiedziałaś? Łączą nas ze Strukturą. Przenosimy całą dokumentację.

Nadja niemal zakrztusiła się dymem z papierosa.

– Łączą nas z wojskiem?! Na Jowisza! Kto w takim razie będzie tym wszystkim kierował? Generał Zmorski? Ten stary bawół?!

Karol machnął ręką.

– Daj spokój, nie ma się czym przejmować – próbował ją uspokoić. – Nikt nie chce odpowiadać za taki cyrk jak nasz wydział. Wyobrażasz sobie jakiegoś wojskowego, którego zmusza się do badania takich przypadków jak ten tutaj? – wskazał leżącą w łóżku dziewczynę.

– Chyba masz rację – przyznała niechętnie Nadja. – A ją też trzeba będzie przenieść. Wątpię, by obudziła się do czasu przeprowadzki.

W pokoju zapanowała cisza. Nadja próbowała przepędzić gromadzące się w niej chmury. Dopóki jej życie miało chociaż pozory ładu, mogło być szalone i nieprzewidywalne w pewnych wyznaczonych granicach. Dopóki miała swój gabinet, mieszkancko w pobliżu miejskiego parku, cotygodniowe lekcje tenisa – cała reszta świata mogła kręcić się jak zepsuta karuzela. Teraz ład, do którego się przyzwyczaiła, mógł zostać zdmuchnięty przez Zenit.

– Bardzo dobrze, że nikt nie chce jeszcze niczego powiedzieć głośno. Niech tak zostanie – zgasła papierosa, a niedopałek posłała łukiem za okno, prosto na ulicę. – Nie ma chyba sensu zbyt wcześnie ogłaszać czegoś, przed czym i tak nie uciekniemy. Ale Góra chce inaczej. Pojutrze wszystko zostanie podane do publicznej wiadomości. Premier wygłosi orędzie w radiu. Wszystkie gazety wydrukują to, co trzeba...

Głos Nadji słabł. Ostatnie dni nie były łatwe. Dziewczyna, której pilnowała, musiała wciąż pozostawać pod jej nadzorem. Utrzymywanie jej w stanie śpiączki kosztowało Nadję zbyt wiele. Dzień, dwa to żaden problem, ale niemal tydzień czuwania przy ciele, w którym tyka prawdziwa bomba gotowa porazić każdego w momencie, gdy tylko ta chuda dziewczyna się przebudzi, praca z tym kruchym, naznaczonym traumą umysłem, próba scalenia tego, co teraz brzmiało (tak Nadja to słyszała) jak zgrzyt niedopasowanych do siebie powierzchni tnących, które wrzynają się w siebie i wzajemnie dezintegrują – to wszystko musiało wiele kosztować.

Kolejne kawy i papierosy pomagały jej utrzymać się na powierzchni świadomości, trwać noce i dni przy łóżku kogoś, kto „źle poskładany” nie pozna ani siebie, ani otoczenia, pomyli wrogów z przyjaciółmi, opiekunów z oprawcami. I wtedy się zacznie to samo, co w kamienicy przy...

– Zenit – powiedziała bardziej do siebie niż do stojącego obok niej Karola. – Znasz teorię „Tarczy Achillesa”? Odkrył ją Pióro, ten archeolog. Postawił tezę, że tarcza, którą Schliemann znalazł jakieś siedemdziesiąt lat temu w Knossos, to tak naprawdę prosta informacja o dziedziczeniu pewnych cech przez ludzi, w których krwi płyną drobinki krwi Istot. Wystarczy, że dwadzieścia pokoleń wcześniej Istota...

– Bogowie, tak? – przerwał jej Karol.

– Bogowie wysłuchują modlitw, a może nawet troszczą się o człowieka – ucięła Nadja. – Istoty? Wystarczy, że kiedyś, setki lat temu, Istota spłodziła dziecko z człowiekiem, i wtedy informacja o tym fakcie zostaje zaszczepiona. Raz na zawsze. Pióro odkrył, że wraz ze zbliżającą się kolizją z Inną Rzeczywistością narastają symptomy dziedziczenia określonych cech. Im bliżej naszego spotkania z Istotami, tym wyraźniej swoją obecność manifestują ich wnuczęta. Mamy więc tutaj – wskazała na łóżko – potomkinię kogoś potężnego.

– I gdyby nie Zenit, nigdy by się nic...

– Tak. Wyszłaby za męża, rodziła dzieci...

* * *

Tego samego dnia, późnym popołudniem, Nadję czekał jeszcze jeden, niezbyt ciekawy obowiązek. Blanka, wrzucona w odmęty śpiączki, w której jej umysł odzyskiwał spójną strukturę, powinna była spać przez dwie–trzy najbliższe doby, więc prawdopodobieństwo, że obudzi się i skrzywdzi kogoś siłą, którą zmanifestowała kilka dni wcześniej, było niewielkie. Wyszedłszy przed budynek kliniki, Nadja zapaliła papierosa i rozejrzała się za samochodem, który miał ją zabrać do budynku służb. Granatowe, niewyróżniające się niczym auto podjechało kilka minut później, gdy wrzucony do rynsztoka papieros zaczął się dopalać.

Nie miała większych wątpliwości, że będzie musiała przesłuchać kolejnego, zapewne przypadkowego człowieka, którego zaczęto podejrzewać o nadnaturalne umiejętności. Kolejnego kuglarza, hipnotyzera, zręcznego iluzjonistę – ofiarę nadgorliwości funkcjonariuszy, którym kazano stale monitorować wszelką ponadnaturalną aktywność. Zazwyczaj potrzebowała kilku minut.

Uścisku dłoni, spojrzenia w oczy. Czasem nawet dotknięcia ubrania. To wystarczało Nadji, by przekonać się o wartości danego „okazu”.

Tak właśnie sama tu trafiła. Sześć lat temu wyciągnięto ją niemal siłą z pensji, na której pobierała przewidziane dla nastoletniej dziewczyny stosowne nauki. Rzecz jasna szkoła była od dłuższego czasu świadkiem przedziwnych scen. Dziewczęta skarżyły się na przytłaczającą obecność młodszej koleżanki, na „dziwny i pochodzący znikąd głos w głowie, który nakazuje im robić różne rzeczy”. A przede wszystkim jedna przez drugą dziewczyny relacjonowały, jak Nadja zmusiła nauczycielkę, nielubianą pannę Tiller, do monologu, w którym starzejąca się panna przyznała się do kilku romansów w ciągu ostatnich lat. Krańcowo upokorzona nauczycielka złożyła rezygnację i wyjechała z miasta, nie prosząc nawet o listy polecające. Jednak sprawa odbiła się szerszym echem. Rodzice zaczęli bardzo gwałtownie protestować przeciwko obecności Nadji na pensji, a ona sama, chcąc nie chcąc, została przejęta przez dwóch ponurych mężczyzn, którzy przywieźli ją do budynku służb.

Rozmawiał z nią starszy, flegmatyczny człowiek, który uważnie wpatrywał się w jej pełne iskier i determinacji oczy. Oczy, które wyrażały zarówno bunt, jak i niepewność. Już wtedy Nadja wiedziała, że coś ma, ale nie umiała tego kontrolować, nadawać temu kształtu, używać z rozmysłem do konkretnych celów.

Wystarczyły cztery lata, by zastąpić starszego mężczyznę, którego nazwiska nigdy jej nie wyjawiono. Pożegnał ją słowami: „Płyń dalej, ja idę do domu”. Najbardziej pretensjonalną kwestią, jaką w życiu słyszała.

* * *

Weszła do swojego gabinetu, spodziewając się tam zastać młodego mężczyznę. Tak przynajmniej zdawkowo opisano jej przypadek, którym miała się dziś zająć. Nie spodziewała się jednak widoku posępnego, ubranego w brązowy habit i ostrzyżonego krótko ponuraka, który z półprzymkniętymi oczami poruszał bezgłośnie ustami. Siedział sztywno przy biurku Nadji. Mijając go, spostrzegła, że dłonie splótł w geście modlitwy, a jego palce obracały delikatne czarne koraliki połączone srebrnym łańcuszkiem.

„Różaniec”, pomyślała Nadja. „No ładnie, chrześcijanin, tylko tego nam potrzeba”. Podeszła do biurka i otworzyła blok, z którego wyrwała jedną kartkę. Protokół. Wyjęła z szuflady ciężkie pióro. Sprawdziła, czy atrament równo ścieka ze stalówki. Przez cały czas zakonnik nie zmienił pozycji ciała, nie podniósł nawet głowy. Nadja poczuła się zignorowana i choć tego nie znosiła, w tym przypadku było jej to na rękę. Chciała jak najszybciej wrócić do domu.

– Wie pan, dlaczego pana tu sprowadzono? – zapytała, zdziwiona swoim własnym głosem. Jakby cisza została zakłócona za wcześnie. Mężczyzna drgnął, ale minęła dłuższa chwila, zanim usłyszała jego matowy, głęboki głos.

– Tak. Domyślam się.

– Zwrócił pan na siebie uwagę swoimi umiejętnościami.

– To nie są moje umiejętności – gwałtownie wszedł jej w słowo. W powietrzu nagle zaiskrzyło. Nadja natychmiast odłożyła pióro, którym miała wypełniać kolejne rubryki. Początkowo wszystko wskazywało na to, że jest to kolejny chybiony przypadek, efekt nadgorliwości szeregowych funkcjonariuszy wydziału, którzy mieli informować o każdym, nawet najdrobniejszym przejawie nadnaturalnej aktywności. „Dzieci Zenitu, ich szukamy”, powtarzała w myślach, broniąc się przed narastającym od tygodni zmęczeniem. W tym czasie przesłuchiwała kilkudziesięciu zwiezionych z całego kraju dezorientowanych nieszczęśników, których podejrzewano o nadludzkie umiejętności. Zmarnowała wiele godzin, gdy okazało się, że każdy z nich to blagier, radiesteta, pogrążony w jakiejś tajemniczej chorobie psychicznej desperat, w najlepszym razie obdarzona niezłą intuicją kobieta, która nieźle wróżyła z rozrzuconych kości. Tym razem jednak...

Dopóki mamrotał modlitwy, jego niewidzialna aktywność była przygaszona. Stłumiona powtarzanymi inkantacjami. Teraz, wyrwany z objęć modlitwy, podniósł wzrok na Nadję i powtórzył z naciskiem:

– To nie są moje umiejętności.

– A więc kto leczył tych wszystkich ludzi? – zapytała.

– Bóg – rzucił krótko.

– Który bóg?

Zakonnik wziął głęboki oddech.

– Jest tylko jeden Bóg. Jeden.

„Tylko tego mi brakowało”, pomyślała Nadja, wstając z krzesła, by otworzyć okno i zapalić papierosa. Dysputy religijne. Przelewanie z pustego w próżne.

– W dokumentach napisano, że nazywa się pan Piotr. To imię. A nazwisko?

Mnich podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę. Milczał, chociaż jego usta wciąż układały się w rytmie wypowiedzianych bezgłośnie modlitw. Zdawał się nie słyszeć pytania. Nadja знаła takie przypadki – religijna pasja niektórych rytuałów, medytacji, obrzędów pozwalała ludziom zamknąć się na zewnętrzny świat. Obecni ciałem i nieobecni duchem, nie odczuwali bólu, mogli całymi dniami pościć, nie spać... Zdawali się nie rozróżniać pór dnia. Nie odczuwali potrzeb fizjologicznych. Nadja wątpiła, by miała do czynienia z tego typu człowiekiem, ale coś jej nie dawało spokoju. Coś ją niepokoiło.

„Nie mogę go przeczytać”, przeszło jej przez myśl, „jakby oddzielała nas jakaś zasłona, miękka ściana. Nic w nim nie widzę. Jakbym patrzyła na mebel, zwierzę lub maszynę”. Zaciągnęła się papierosem. Nagle coś jej przyszło do głowy. Uśmiechnęła się. W takich chwilach sama siebie podziwiała.

– Mogłabym zobaczyć pana ręce? – zapytała.

Zakonnik szerzej otworzył oczy, jakby nie spodziewał się podobnej prośby, ale posłusznie wyciągnął przed siebie ręce. Nadja dopiero teraz zauważyła, że jego dłonie przewiązane są bandażami. Bandażami, których od dawna nie zmieniano.

– Co się panu stało?

– Doświadczenie – powiedział, zagryzając wargę.

– A mógłby pan otworzyć i zacisnąć pięści?

Mężczyzna odłożył różaniec na biurko i kilka razy zwinął dłonie w pięści. Nadja tylko na to czekała. Błyskawicznym ruchem chwyciła różaniec i cofnęła się o dwa kroki. Zakonnik spojrzał na nią zdumiony. W jego oczach przez moment zapłonęła złość, by po chwili ustąpić miejsca bezbrzeżnemu smutkowi.

– Dlaczego pani to zrobiła? – zapytał spokojnym, jakby nieobecnym głosem.

– Nie chciałam, żeby coś pana rozpraszało – odpowiedziała, starając się nie uśmiechać. – Gdy będzie pan wychodził, zwrócę panu ten różaniec. Tymczasem odkładam go na biurko, dobrze?

– Wie pani, co to jest? Jest pani chrześcijanką?

Nadja zaśmiała się na samą myśl o tym, że mogłaby na serio traktować nauki kogoś, kto dwieście lat temu dał się poprowadzić na rozstrzelanie, obiecał, że zmartwychwstanie, a po latach Europę zalały legendy o jego hipotetycznym wyrwaniu się z objęć śmierci.

– Nie, nie jestem chrześcijanką. Nie odpowiadają mi niektóre elementy tej nauki. Wolę...

Urwała. Nie miała ochoty tłumaczyć się przed obcym człowiekiem z meandrów własnej duchowości.

– Wolę skupić się teraz na panu. Nie zdradził mi pan swojego nazwiska. W gminie, w której pan działa, mówią na pana po prostu Piotr. Czy mógłby pan... – zawiesiła głos. Umysł mężczyzny był teraz otwarty, chociaż wciąż nie mogła niczego w nim dostrzec, niczego przeczytać... Tak jakby go tu wcale nie było. Jakby patrzyła na czyste powietrze i próbowała je sfotografować.

– Nazywałem się Elitis. Konstantinos Elitis – zaczął mówić spokojnym, pewnym głosem, tak jakby stawiał fundamenty pod dłuższą opowieść, a nie rutynowe zeznanie. – Nie chcę mówić o swoim poprzednim życiu. Nie było ono dobre i samo wspomnienie uczynków, jakich się dopuściłem, sprawia, że z trudem przychodzi mi przyznać się do siebie samego. Tak, było tego dużo... – zawiesił głos, zanurzając się w odmętach wspomnień, o których chciał zapomnieć.

– Potem przyszedł On – podjął po chwili – i dał mi nadzieję, oczyścił z grzechu, wyciął ze mnie zło, by móc się mną posługiwać jak instrumentem. Wystarczyła jedna, dwie wizje. Światło, które płonęło, ale nie parzyło. Rozkosz, przy której blednie wszystko, czego pani kiedykolwiek zazna...

Nadja udawała, że słucha, jednak całą uwagę znów skoncentrowała na szukaniu najmniejszej choćby szczeliny w umyśle zakonnika. Ze zdwojoną siłą, precyzyjnie napierała na nieustępliwy, jakby wypełniony powietrzem umysł mężczyzny, a tymczasem on, natchniony powracającymi wspomnieniami nawrócenia, rozwijał przed nią bogatą w ozdobniki i metafory opowieść. Pełną alegorycznych obrazów autobiografię.

Dziewczyna ze zdumieniem spojrzała na dopalającego się papierosa, którego żar niebezpiecznie zbliżył się do jej palców.

„Dziesięć minut”, pomyślała, „dziesięć minut mówi bez przerwy o bogu, jego nauce, dobrej nowinie, jaką zbawiciel przynosi umęczonemu grzechem światu”.

– Wystarczy tego wykładu – przerwała mu poirytowana; nie była przyzwyczajona do oporu, jaki stawiał ten zakonnik.

„On ze mnie kpi”, pomyślała, „świadomie lub nie, ale kpi”. Przewaga, jaką niemal zawsze miała nad innymi, możliwość czytania ich myśli, manipulowania emocjami i wolą, nagle zaczęła topnieć. Nie rozumiała tego.

– Muszę zadać panu kilka pytań. Wracajmy do formalności – rzekła, by pokryć zmieszanie. Zamaskować drażniące poczucie klęski, które ciążyło jej jak zjedzona za późno kolacja. – Na podstawie raportów, które do nas spływają, zauważyliśmy u pana pewne umiejętności. Wykluczamy oszustwo, manipulację, hipnozę. Ludzie, którzy przyjeżdżali do gminy, byli naprawdę chorzy. Potwierdza to pan?

– Tak. Ich ciała były chore. Pomagałem im.

– A więc leczył pan tych ludzi w sposób świadomy? Wiedział pan, co robi, tak?

– Wiedziałem doskonale.

Nadja sięgnęła po kolejną teczkę z raportami. Sporo tego było. Od pół roku gmina chrześcijańska (kompleks trzech niskich, zaniedbanych budynków) była pod stałą obserwacją jej wydziału. Skromne nabożeństwa były otwarte, obrzędów nie kryła żadna misterna konstrukcja kolejnych wtajemniczeń, a jednak jakaś dziwna aura zaczęła nagle spowijać miejsce, do którego każdego dnia przyjeżdżali ludzie z całej Korony. Dziesiątki chorych, kalekich, na poły obłąkanych nieszczęśników szukało pociechy w miejscu, które dotychczas raczej świeciło pustkami. Każdy powtarzał fantastycznie brzmiące opowieści o chudym, brodatym zakonniku, który leczy, pociesza, wrywa z objęć zbliżającej się śmierci.

Teraz miała go przed sobą. Nie zauważyła, kiedy sięgnął po różaniec i znów zaczął obracać w palcach małe czarne paciorki. Spojrzył jej w oczy. Uśmiechnął się łagodnie, niemal ciepło.

„Jestem zmęczona”, pomyślała Nadja, „bardzo zmęczona”.

Nagle gęstą, niemal spowalniającą czas ciszę przerwało pukanie. Nadja nie zdążyła zareagować, a już w drzwiach stał Karol, kolega z

policji.

– Powiedzieli mi, że kogoś przesłuchujesz, ale to nie może czekać, bo za chwilę jadę dalej na miasto. Szykuje się coś większego. Nie mogę teraz o tym mówić. W każdym razie przywiozłem ci tego zakonnika. Chyba nie będziesz miała problemów, bo facet jest spokojny i dał się przekonać, że chcemy z nim tylko porozmawiać.

Słowa Karola zdawały się docierać do niej z opóźnieniem.

– Zaraz... Jakiego zakonnika?

– No tego z gminy chrześcijan. Tego, co leczy ludzi. Jest tu ze mną. Może pan tu podejść? – zwrócił się do kogoś stojącego za jego plecami.

Młody agent szerzej otworzył drzwi i wpuścił do gabinetu mnicha.

Dziewczyzna spojrzała na przesłuchiwanego przed paroma minutami mężczyznę, potem przeniosła wzrok na przyprowadzonego zakonnika. Obaj uśmiechali się w identycznie ciepły, przyjazny sposób. Dłonie obu mężczyzn były zabandażowane w ten sam niedbały sposób.

Nadja wstała z krzesła, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zemdląca.

* * *

W pomieszczeniu panowała już ciemność. Panoramiczne okno, naprzeciwko którego stał przykuty Mraczewski, zamieniło się w granatowy prostokąt. W rezydencji rodowej bankiera, gdzie był przetrzymywany i czekał, aż pragnący zemsty ojciec byłego kochanka wyda wyrok, słychać było zwykłą krzątanicę. Głosy, szcęknięcia rozstawianej zastawy stołowej, nawet jakąś spokojną melodię odtwarzaną z gramofonu. Dogasający dzień w podmiejskiej posiadłości. „Idylla tych, którzy nasyciwszy potrzeby ciała, przyjdą do mnie”, pomyślał, „i będą się upajać moim bólem, krwią, śmiercią”.

W Mraczewskim gaśła nadzieja. Zobojętniał. Sierpniowa noc była wyjątkowo ciepła, więc przestał czuć chłód żelaza, na którym go rozpięto. Poruszał palcami u stóp. Obracał głowę na tyle, na ile pozwalała mu obręcz zapięta wokół szyi. Brał głęboki wdech, wydychał powietrze przez usta. Zostało mu tylko własne ciało. I można z nim było zrobić wiele. Wiele złego...

Artur, mężczyzna, który najprawdopodobniej go schwytał i sprzedał bankierowi, wyszedł kilkadziesiąt minut temu. Mimo złowrogiej aury, jaką wokół siebie roztaczał, jego towarzystwo uspokajało Mraczewskiego. Czyjaś obecność pozwalała mu oderwać się od obsesyjnych wyobrażeń na temat tego, co może go spotkać. „Bogowie”, westchnął głęboko, „gdzie ja jestem, skoro brakuje mi obecności kogoś, kto przehandlował mnie jak niewolnika?”.

Nagle drgnął. Jego wyostrzony słuch wyłowił odmianę, która definitywnie zakończyła swojskie odgłosy domykającego się dnia. Gdzieś w rdzewiejącym zamku zazgrzytał klucz, pchnięte drzwi uderzyły o ścianę. Trzej ludzie, sami mężczyźni, szli równym, zdecydowanym krokiem w jego kierunku. „Ich buty muszą mieć miękkie podeszwy; może to domowe pantofle?”, pomyślał Mraczewski, w zadziwiający sposób zapominając na chwilę o grozie sytuacji.

Trzasnęły kolejne drzwi i rozległy się kroki na schodach, a potem suchy trzask przekręcanego włącznika prądu. Po sekundzie pomieszczenie zalało chłodne elektryczne światło. Mraczewski zacisnął powieki, oślepiony nagłym zniknięciem ciemności, do których zdążył się przyzwyczaić. Jakaś mucha przeleciała tuż nad jego głową, by usiąść na ramieniu i urządzić sobie spacer po cuchnącym potem ciele.

– Halo! Nie śpimy!

Rozpoznał głos Artura, ale byli z nim jeszcze dwaj inni ludzie. Domyślał się, kto to jest, i bał się otworzyć oczy. Bał się chwili, gdy zobaczy stojącego przed nim człowieka, którego syna zabił kilka miesięcy temu. Nie, nie miał wyrzutów sumienia, nie żałowałby, gdyby go nie złapano. On się bał. I – co najosobliwsze – było mu jakoś głupio.

– Otwórz oczy! – rozkazał inny głos. Stanowczy. Stary. Wrogi. Nieprzyzwyczajony do negocjowania lub odmowy. Mraczewski otworzył oczy.

Stał przed nim wysoki, podpierający się ciężką laską mężczyzna. Siwe włosy zaczesane do tyłu odsłaniały szerokie pomarszczone czoło. Owalna, niemal puciołowata twarz kontrastowała z ostro zarysowanym podbródkiem. Jasnoniebieskie oczy były chłodne, nauczone uważnego i analitycznego badania otoczenia.

– Ile czasu on tu już stoi? – zapytał Artura, nie spuszczać wzroku z Mraczewskiego.

– Od rana.

– Jakież dwanaście godzin, tak?

Artur potwierdził.

– Może być zmęczony. Domyślam się, że nic dziś nie jadł. Wytrzyma?

Po chwili wahania padła odpowiedź:

– Wytrzyma tyle, ile ma wytrzymać. Prawda, panie Zieliński?

– Prawda, panie Arturze.

Mraczewski dopiero teraz zwrócił uwagę na trzeciego z mężczyzn. Lekko utykając i rozcierając dłonie, Zieliński podszedł do okna i zasunął ciężkie granatowe kotary. Rozejrzył się wokół, jakby mierzył wzrokiem wielkość pomieszczenia. Przeszedł kilka kroków. Liczył je cicho, starając się coś ułożyć w głowie.

– Czy to aby na pewno jest bezpieczne? – zapytał nagle Artur.

Mraczewski pierwszy raz usłyszał w jego głosie nową nutę. Niepokój. Zdenerwowanie, które starannie maskował gestykulacją i nonszalanckim sposobem, w jaki krążył po pokoju. Pogwizdywał z cicha, oddychał głębiej, szybciej.

Tymczasem Zieliński uklęknął obok stojącej na podłodze czarnej skórzanej walizki. Przez chwilę zdawał się szukać czegoś w jej wnętrzu, potem wyciągnął trzy gliniane butelki. Ustawił je starannie obok siebie, zamknął walizkę i odłożył pod ścianę.

Bankier usiadł naprzeciwko Mraczewskiego. Oparł się wygodnie. Wyglądał jak człowiek, który wykupił miejsca w całym teatrze i czeka w pierwszym rzędzie na rozpoczęcie przedstawienia.

– Długo jeszcze mamy czekać, panie Zieliński?

– Już, już... Światła mają być włączone?

– A jak będzie lepiej? – zapytał Artur.

– Obojętnie.

– To niech będą włączone – zdecydował bankier.

Zieliński uklęknął obok glinianych butelek i z namaszczeniem zaczął otwierać jedną po drugiej. Pokój wypełniły ostre, mieszające się ze sobą wonie. Mraczewski drgnął. Wyczuł słodki, niemal dławiący zapach miodu. Cierpkie wino. I coś, co sprawiło, że na chwilę zabrakło mu tchu. Krew. W jednym z naczyń była krew.

Zieliński pochylił się i dotknął dłonią posadzki. Chwyciwszy pierwszą butelkę, przechylił ją nad wybranym miejscem. Gęsty złocisty miód powoli ściekał na podłogę, tworząc bursztynową kałużę. Mężczyzna odłożył butelkę, chwycił kolejną i zmieszał jej zawartość (szkarłatne wytrawne wino) z rozlanym miodem. Chwyciwszy trzecią butelkę, Zieliński dwa razy otarł mankietem czoło. Dłuższą chwilę męczył się z korkiem, którego nie mogły uchwycić spocone dłonie. W końcu korek ustąpił i po paru sekundach Mraczewski wyczuł drażniącą metaliczną woń, która zagłuszyła intensywnością pozostałe zapachy. Z przechylonej butelki chlusnęła na podłogę gęsta czerwona cieś.

Potem Zieliński zaczął powtarzać półgłosem jakąś niewyraźną inkantację. Słowa, które Mraczewski kojarzył z *koine*, antycznym „językiem wspólnym”, powtarzały się z hipnotyzującą monotonią. Kilkanaście słów, które wciąż i wciąż kołysały się w powietrzu, podczas gdy mężczyzna, klęcząc na posadzce, mieszał ze sobą rozlane wino, miód i krew. Powoli, jakby od niechcenia, zaczął rysować tą mieszaniną płynów coś w rodzaju półokręgu.

Nagle zamilkł i podniósł głowę, wsłuchując się w ciszę. Artur i bankier odruchowo rozejrzeli się wokół siebie.

– Zaczyna się? – zapytał Artur. Jego głos w wyczuwalny sposób drżał.

Zieliński kiwnął głową i powrócił do powtarzania swojej formuły, którą wzmocnił kilkoma twardszymi dźwiękami, jakby żądał czegoś od sił, które wzywał od kilku minut. Mraczewski, który stał przykuty do prostej metalowej konstrukcji, mógł pozwolić sobie jedynie na ucieczkę w głąb siebie. Zobojętniał, starał się spojrzeć na siebie z góry, spoza siebie, wmówić sobie, że go tu nie ma. Że jest tylko widzem gotowym w każdej chwili wyjść przed końcem przedstawienia.

Nagle Mraczewski wyczuł coś, czego nie miał prawa wyczuć. Wilgoć. W powietrzu zaczął się unosić zapach wilgoci, rzeki, wody płynącej zbyt wolno, by nazwać ją żywą. To zapach stojącej mętnej wody, butwiejących na jej brzegach konarów i tataraku. Ani Artur, ani bankier, ani tym bardziej pochłonięty przez obrzęd Zieliński nie mogli wyczuć czegoś tak subtelnego, eterycznego.

Mraczewski ocknął się z odrętwienia i zaczął wypatrywać w pomieszczeniu źródła nowego zapachu. Nie mógł się mylić. Okien nie otwierano, drzwi pozostały zamknięte. Pozostały tylko inne drzwi, nad którymi pracował teraz Zieliński i które niezauważenie zaczynały się powoli otwierać...

ROZDZIAŁ ÓSMY



Banach ocknął się, gdy po raz czwarty wywołano jego nazwisko. „Profesor Banach! Przed państwem profesor Banach!”. Publiczność, raczej skromnie zgromadzona w kawiarni Pod Minotaurem, zaczęła się niecierpliwić i tupać w podłogę, domagając się kolejnego popisu. Ponadto coraz głośniejsze rozmowy i szcęk filiżanek odstawianych z impetem na podstawki sygnalizowały, że widownia traci resztki dobrej woli. Banach budził się właśnie z letargu, w jaki zapadł, gdy swoje wiersze recytowali lub śpiewali młodszy koledzy.

Szeląg, młody komunista, dziedzic poważnej fortuny arystokratycznych rodziców, skończył przed chwilą wykrzykiwać swoje zaangażowane eksperymentalne wiersze, odziany zaledwie w olbrzymi tekturowy zwój pomalowany w brązowo–niebieskie pasy.

*Benzyna, lustro, kwiaty,
Pióro, miasto, mleko,
Epilepsja, epilepsja...*

Darł się, nazywając rzecz po imieniu, licząc na to, że wzmianka o jego artystycznych wybrykach trafi do gazet, które nazajutrz lokaj przyniesie w czasie śniadania jego rodzicom.

Dość chłodno przyjęto też Rodyńca, który waląc w klawisze rozstrojonego pianina, śpiewał w eksperymentalnym języku, nad którym ponoć pracował od ładnych kilku lat. Fraza dziwnie falowała, rozrzucone przypadkowe sylaby drażniły uszy. Łacińskie,

włoskie i francuskie końcówki gramatyczne zamieniły cały popis w dramatycznie bełkotliwą ilustrację też Rodyńca, który wykoncypował sobie, że w podświadomości każdego Europejczyka istnieje jeden wspólny, umożliwiający komunikację prajęzyk. Skromne brawa i głośniejsze gwizdy pożegnały nieszczęśliwego lingwistę.

Steinhaus jako mistrz ceremonii całej tej dziwacznej imprezy wpychał na niską scenę kolejnych artystów, a w przerwach rozmawiał z redaktorem „Tygodnika Kulturalnego”, którego jakimś cudem udało się namówić na spisanie relacji z tego wieczoru. Nie obyło się, rzecz jasna, bez pochlebstw i kilku wódek, które pojawiły się przed redaktorem na koszt „organizatorów imprezy”.

Cóż, Pod Minotaurem zbierali się pomyleńcy z całego miasta, jak mawiali konserwatywni krytycy i profesorowie uniwersyteccy. Publiczność, z reguły przypadkowi goście wymieszani ze stałymi bywalcami, sączyła kolejne piwa, cierpkie anyżówki lub kwaśne wino. Poza garstką studentów i kilkoma pomyłonymi artystami, którzy starali się płynąć na wzbierającej fali sztuki nowoczesnej, rzadko kto jeszcze celowo odwiedzał to miejsce. A teraz Banach, oślepiiony przez jeden punktowy reflektor, powoli otrząsał się z transu, w jaki zapadł. Docierało do niego, gdzie i w jakim czasie się znajduje.

* * *

Steinhaus, siląc się na uśmiech, szarpnął Banacha za rękaw.

– Co się dzieje? Za chwilę mówisz. Nie zapłacą nam, jak ludzie zaczną wychodzić. Dalej. Tam siedzą twoi dawni studenci. Poznałem ich. Idź!

Banach podniósł się, machinalnie obciągnął marynarkę i przeszedł na środek sceny. Przez dłuższą chwilę zbierał kołujące jak motyle myśli.

– Zapraszam państwa na apokaliptyczno–katastroficzny poemat pod tytułem *Śmierć Antipolis*.

Zdjął marynarkę. Położył ją na stojącym obok krześle. Odłożył też zapisane kartki. Nie potrzebował ich. Zamierzał mówić z głowy. O tym, co zobaczył kilka minut wcześniej.

* * *

Hetzler powoli zaczął tracić cierpliwość. Sprawa miała się zakończyć przed północą, tymczasem nic na to nie wskazywało. „Zieliński, ten szarlatan, klęczy na posadzce i usmarowany cielecą krwią mamrocze swoje zaklęcia co jakiś czas podnosząc głos, by zrobić na mnie większe wrażenie”, pomyślał bankier. „I tak mu już zapłaciłem więcej, niż powinienem, więc dobrze, że chociaż się stara”.

Wstał z kanapy, by rozprostować kolana. Zrobił kilka kroków, uważając jednak, by nie nadeprnąć na płamę z krwi pomieszanej z miodem i winem. Stał tuż obok przykutego do stalowej konstrukcji Mraczewskiego. Widział jego ostry, drapieżny profil. Z przyjemnością zauważył, że dolna warga uwięzionego nieznacznie drży i pot perli się na nagim ciele, które straciło cały powab zepsutej młodości, osłabło, zapadło się w sobie. Faktycznie, stojąc kolejną godzinę z rzędu, mężczyzna pozwolił utrzymywać cały ciężar ciała skórzanym pasem, które ciasno oplatały jego ręce. Mraczewski był u kresu fizycznej wytrzymałości, jednak jego wzrok zdawał się wypatrywać czegoś w otaczającej go przestrzeni. Wodził oczyma od lewej do prawej, starając się uchwycić coś, co wciąż umykało jego bystremu spojrzeniu.

Hetzler drgnął zaniepokojony. Odruchowo włożył rękę do kieszeni i pogłaskał znajomy zimny kształt. Niewielkich rozmiarów rewolwer, który w młodości, w nieco mniej cywilizowanych okolicznościach, stawał się najsilniejszym argumentem w dyskusjach lub negocjacjach. Dziś ten pamiątkowy talizman, wciąż sprawny i czyszczony regularnie, gotowy był do użycia, gdyby tylko Zielińskiemu się nie udało...

* * *

Nagle tuż nad powierzchnią kałuży powietrze pociemniało. Czarne światło zaczęło gęstnieć. Hetzler, jak zahipnotyzowany, oparł się o ścianę. Naraz zrobiło mu się gorąco. Rozpiął kołnierzyk koszuli i poluzował fular. „A więc jednak spirytysta nie zawiódł”, pomyślał, „ten stary błazen jeszcze coś potrafi”. Czerń powiększała się powolnymi skurczami. Pulsowała w kapryśnym, nieprzewidywalnym tempie. W dobrze oświetlonym pokoju przypominała czarne morskie

zwierzę, polipa wyłowionego na brzeg, któremu wciąż się wydaje, że kołyszą nim podmorskie prądy.

Zieliński, nie przerywając inkantacji, uśmiechnął się słabo. Udało mu się. Otworzył przejście i teraz wystarczyło tylko czekać na pojawienie się tego, którego śmierć była niesprawiedliwa. Przyjdzie, zwabiony krwią i obecnością mordercy. Adam Hetzler napije się i zemści.

Czerń pęczniała, oddychała, przynosiła zapach wilgoci, rozkładu, kwaśnej pleśni i butwiejącego drzewa. Duszna, niemal dławiąca woń. I dźwięki... Szepty? Pomruki? Szelest liści, ubrań?

Światło zmętniało niczym lustro pokryte ciemną parą, która zaciera kontury, kształty i ruchy odbitych w nim zjawisk. Pośrodku pokoju zamiast kołyszącego się w rytmie powtarzanych zaklęć Zielińskiego pojawił się teraz kwiat czerni: mgliste cienie powoli zamykające się w regularnych kształtach – proste linie, ostre kąty. Prostokąt czarnych drzwi.

Hetzler ze zdumieniem wpatrywał się w Przejście i odkrywał istniejące za jego progiem kształty. Krajobraz? Góry? Granatowe niebo, na którego tle odcinają się ostrymi krawędziami budynki? Cienie powoli wspinały się ku drzwiom, zwabione zapachem wina i krwi. Przywołane wspomnieniem życia po stronie życia. Czasu, jaki im dano, by cieszyć się słońcem, winem, miłością...

Cienie pełzły, wspinały się zboczem, chwytając się rzadkich roślin, wystających ostrych kamieni.

– Są – rzucił krótko Artur. – Przyszli.

Nagi mężczyzna, którego trupioblada skórę pokrywały wrzody i blizny, wpełzł do kałuży z krwi i wina. Podniósł głowę, omiół pokój niewidzącym wzrokiem i otworzył usta. Spomiędzy połamanych zębów wyslizgnął się język, którym zaczął zlizywać z podłogi krew.

– To nie jest mój syn – powiedział Hetzler.

– Idą następne.

Ciemny prostokąt wypełnił się płataniną rąk, które szukały oparcia po tej stronie. Wątłe ręce starców, zgrabne ramiona kobiet, muskularne mężczyzn. Każde w drapieżnej próbie sięgnięcia po odrobinę krwi, ciepła, światła.

Nagi mężczyzna wczołgał się z powrotem w ciemność. Syty, zadowolony. Jego miejsce zajęło kilka innych duchów. Młoda

kobieta, której czarne mokre włosy zasłaniały twarz, położyła się we krwi, by rozsmarować ją sobie po wciąż kształtnych piersiach, szyi i twarzy. Mężczyzna z olbrzymią dziurą ziejącą na prawej skroni nachylił się i zaczął chłeptać z posadzki, co chwila podnosząc głowę, jakby się bał, że zostanie przegnany.

– Przyszedł? – Artur, sam trupioblady, szarpnął bankiera za rękaw. – Przyszedł? Kończmy to już.

Stary Hetzler wyrwał się Arturowi i warknął:

– Nie! Czekamy. On przyjdzie, a wtedy ten tam... – wskazał na skrupowanego Mraczewskiego, który zdawał się być nieprzytomny.

Nagle przeciągły jęk wypełnił pełen szeptów i mlaskania pokój. Głuchy, pełen żalu skowyt, w którym mieszały się wściekłość i smutek. Hetzler rozpoznał ten głos, chociaż był zniekształcony, wykrzywiony niczym porażone chorobą drzewo. Adam nadchodził. Był blisko. Poczł obecność i krwi, i kogoś, kto odebrał mu życie.

– Idzie mój syn – powiedział cicho Hetzler. Idzie silny, gotowy przepchnąć się przez resztę duchów, dołączyć do uczty. Wyrwać dla siebie najszlachetniejszą jej część. Krew, która wciąż płynie w ciele Mraczewskiego.

* * *

Mraczewski natychmiast rozpoznał Adama. Wcześniej wolał nie patrzeć na zgotowane mu widowisko. Teraz musiał podnieść wzrok, czując, że się zbliża. Adam wyczołgał się z brunatnego przejścia i sunął przez środek pomieszczenia. Był przerażająco blady. Jego woskowa skóra błyszczała w mętym, zadymionym świetle. Zgiął plecy, jakby chłóśnięty aurą rzeczywistości, w którą wpełzł. Potem wyprostował się i podniósł ręce do góry, szukając w powietrzu jakiegoś punktu zaczepiania, czegoś, czego mógłby się uchwycić. Zaskowyczał. Przeciągły skowyt był przepojony bólem i goryczą.

Odwrócił się w stronę Mraczewskiego, który poczuł nagle ciężar spojrzenia Adama. Pełnego wyrzutu i drapieżnego, choć martwego. Mraczewski najchętniej straciłby przytomność, uciekł do wewnątrz, zniknął, jednak nie potrafił nie patrzeć na zbliżającego się do niego martwego kochanka. Na jego ciało, wciąż tak samo chude i żyłaste jak za życia. Niezepsute starością. Ciało oskarżające szeroką raną w okolicach serca, z której wciąż sączyła się krew. Musiał patrzeć, jak

podnosi się z posadzki i staje na drżących nogach, a wokół niego trzy inne martwe ciała chłepcą zwierzęcą krew.

Adam ruszył w stronę Mraczewskiego. Nagie stopy przesuwały się, nie odrywając się jednak od podłoża. Szedł jak paralytyk, którego zmuszono do spaceru, szarpiąc całym ciałem, wrywając dla siebie kolejne centymetry przestrzeni.

Mraczewski czuł zbliżający się powoli odór śmierci. Zapach stojącej, gnijącej wody. Rzeki, którą spławia się butwiejące kłody. Czy to dlatego, że zabił Adama właśnie nad rzeką? A może to ta rzeka z zaświatów, którą dusze przeprawiają się do miejsca, skąd nie ma powrotu? Nigdy specjalnie nie zastanawiał się, czy istnieje coś, cokolwiek, po śmierci, ale teraz, gdy zaczynał ze strachu tracić zmysły, gdy przeczuwał na swoim drżącym ciele dotyk zimnych rąk ofiary, wiedział, że za chwilę on sam zostanie jednym z cieni. Zginie. Zabije go Adam lub jego ojciec.

Martwy mężczyzna zatrzymał się dokładnie naprzeciwko Mraczewskiego. Podniósł ciężko wiszącą głowę i przechylając ją pod nienaturalnym kątem, poruszył ustami, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Wziął więc głęboki oddech i spróbował kolejny raz.

– Pójdiesz ze mną czy mam zostać z tobą? – zapytał, powoli sklejjąc ze sobą kolejne sylaby i słowa. Mraczewski nie rozpoznał znajomego przecież głosu. Słowa brzmiały jak dźwięki powstające przypadkowo, gdy wiatr prześlizgnie się przez szpary w starym, drewnianym domu lub gdy woda zadudni w pogłębianej studni. Były martwe, puste. Pozbawione intonacji.

Mraczewski uświadomił sobie, że Adam nie chce bez niego odejść. Cokolwiek będzie się działo, zostanie z nim. Zabierze go tam lub zostanie tutaj...

Ręka martwego podniosła się w geście zaproszenia. Mraczewski czuł całym sobą chłód kochanego niegdyś ciała. Poczerniałe usta umarłego drżały jak na chwilę przed pierwszym pocałunkiem. Zęby, niegdyś białe, teraz pokruszone za sprawą niewiadomych sił, ze zgrzytem zaciskały się za każdym razem, gdy Adam chciał powtórzyć swoje pytanie.

Wreszcie nadeszło najgorsze. Adam przywarł do unieruchomionego ciała Mraczewskiego. Ten zaczął krzyczeć. Każdy atom jego ciała protestował, wrywał się, cofał pod naporem

martwego istnienia. Uwięziony wił się, kurczył w sobie, odwracał głowę, by nie czuć odurzającego zapachu rozkładu, ale nie zdało się to na nic. Zmarły dotknął ustami obojczyka Mraczewskiego, zostawiając wilgotny ślad po pocałunku. Obezwładniający wilgotny chłód pochłaniał mężczyznę. Paraliżował. Ścinał żywe ciało.

Adam zdawał się przypominać sobie dawne pieszczoty. Muśnięcia językiem, delikatne ugryzienia połamanymi zębami, niezdarną wędrówkę rąk od ud przez biodra aż do piersi obsypanych martwymi pocałunkami. W Adamie nie obudziło się pragnienie odwetu. Nie przyszedł się mścić, chociaż w tym celu został sprowadzony przez ojca. „Przyszedł się kochać”, uświadomił sobie Mraczewski, „on tego tutaj szuka”.

* * *

Arturowi bardzo szybko przestało się to wszystko podobać. On już dawno wywiązał się ze swojej części umowy. Znalazł Mraczewskiego (co było dość trudnym zadaniem), uprowadził go, „przygotował” na powitanie Hetzlera. Wyszukał Zielińskiego, spirytystę o tak zszarganej opinii, że nie mógł już liczyć na żadne zlecenia w wyższych sferach i dlatego bez wybrzydzenia i zadawania zbędnych pytań godził się na otwieranie Przejścia w najbardziej podejrzanych okolicznościach. Artur uczciwie zarobił pieniądze i chciał po prostu wsiąść do samochodu i odjechać w stronę Antipolis, ale Hetzler był nieustępliwy. Życzył sobie, by wszyscy uczestniczyli w akcie zemsty, jaki przygotował dla mordercy swojego syna. Artur nigdy nie mógł zrozumieć tych pozbawionych racjonalizmu, emocjonalnych gestów. Mraczewskiego mógł zabić pierwszego dnia, gdy tylko ten wpadł mu w ręce, jednak stary bankier się uparł. Nie, Artur nie chciał stracić takiego pracodawcy. Byłoby to nieracjonalne. Podążał więc ścieżką, którą nie chciał kroczyć, i tkwił oparty o ścianę w pokoju pełnym zmarłych, którzy wchodzili i wychodzili przez Przejście przygotowane przez Zielińskiego.

Czuł się nieswojo i wcale nie chodziło o przedłużający się rytuał. Zmarły syn Hetzlera miał uśmiercić swojego mordercę. Takie było założenie, choć Artur nie rozumiał, jak ktokolwiek może przewidzieć zachowanie zmarłych. Wiarygodne źródła opisywały ich jako

kapryśne lub pozbawione wolnej woli, obojętne na otoczenie, wiecznie głodne istoty. Teraz jeden z nich, zamiast zemścić się na swoim mordercy, głaskał go i sam w dziwaczny sposób domagał się pieśszcot.

– Muszę to skończyć – syknął Hetzler i wyszarpnął z kieszeni pistolet. – Trzeba to skończyć!

Artur złapał bankiera za rękaw.

– Nie, to może być niebezpieczne. Niech sprawy toczą się swoim torem. Zieliński tłumaczył...

– Do cholery z Zielińskim! Jak długo mam patrzeć, jak mój syn...

– To już nie jest twój syn!

Hetzler wyrwał się Arturowi i ruszył w stronę konstrukcji, na której rozpięto Mraczewskiego, a potem podniósł pistolet i wycelował. W falującym półmroku, w nierzeczywistym, zaburzającym perspektywę świetle bankier nie mógł trafić w skroń więźnia. Podszedł bliżej. Na tyle blisko, że niemal przyłożył lufę do głowy Mraczewskiego. Odurzony chęcią zemsty, zaślepiiony, ignorował krzyżącego Artura.

– Mraczewski! – wyrzucił z siebie Hetzler. – Pożegnaj się z moim synem!

I wtedy się zaczęło.

Adam, ta kukła z zaświatów, która z trudem powłóczyła nogami, odwrócił głowę. Napędzany nienawiścią do ojca, którą zabrał na tamtą stronę i z którą powrócił, ryknął i rzucił się w jego stronę. Zdezorientowany bankier stracił równowagę i upadł na podłogę pod ciężarem martwego ciała. Umarły podniósł się i uklęknął na szyi wijącego się pod nim Hetzlera. Pistolet, wytracony z dłoni podczas upadku, znajdował się poza jego zasięgiem, mężczyzna próbował więc zrzucić z siebie, odepchnąć Adama, ale ten z nieobecny, spokojnym wyrazem twarzy podniósł się i całym ciężarem ciała zmiażdżył krtań Hetzlera. Ten zacharczał tylko, zagłuszając chrzęst pękającego karku. Bankier nie żył.

Artur stał oparty o ścianę. Sparaliżował go strach – uczucie mu obce, więc podwójnie obojętne. Wyczuwał chłód ściany, każdą rysę. Czas przestał płynąć. Zmarły podniósł się znad zwłok ojca i zatopił pusty wzrok w dygocącym ze strachu Arturze. Ruszył w jego stronę...

– Uwolnij mnie! – doszedł jego uszu głos Mraczewskiego. Zdumiewająco czysty, silny, władczy. – Uwolnij mnie! On mnie posłucha. Uwolnij mnie!

Artur, zebrawszy resztki odwagi, oderwał się od ściany i podbiegł do Mraczewskiego. Pasy, zatrzaski i obręcz, która krępowała ruchy głowy, zakładane dziś rano, teraz nie chciały poddać się jego drżącym dłoniom. Skupiwszy całą uwagę, przygryzając wargę niemal do krwi, uwolnił ręce więźnia, odpiął obręcz i pas przytrzymujący korpus.

– Odejdź – warknął Mraczewski.

Schylił się i sam rozpiął klamrę krępującą jego nogi. Oderwał się wreszcie od zniechęconej konstrukcji i rozcierając nadgarstki, podszedł do Artura. Chwycił mężczyznę za klapy marynarki i pchnął w stronę czarnego prostokąta, nad którego utrzymaniem wciąż pracował nieświadomy niczego spirytysta.

Artur wpadł w sam środek kałuży z wina zmieszanego z krwią. Krzyknął przerażony, poślizgnął się i upadł. Traf chciał, że przez Przejście przeciskał się właśnie kolejny umarły szukający w tym świecie resztek pożywienia. Miał bujne czarne wąsy, pod którymi ziała dziura po oderwanej dolnej szczęce. Umarły chwycił wrzeszczącego Artura za kostkę i widząc w nim konkurenta do przygotowanej uczyty, cisnął nim bezceremonialnie za siebie – wprost w brunatną, pełną głodnych ciał przestrzeń. Ręce, które wciąż wściekle wiły się wzdłuż krawędzi Przejścia, chwyciły mężczyznę, który na próżno starał się uwolnić z lodowatego uchwytu. Dłonie zdierały z niego ubranie, połamane paznokcie orały skórę. Artur wył z bólu i przerażenia. Wreszcie zniknął w brunatnej otchłani, pozostawiając jedynie absurdalnie wyglądający czarny lakierek.

Tymczasem Mraczewski zaczął działać. Rozejrzył się za zgubionym przez bankiera pistoletem. Podniósł go z podłogi i podszedł do klęczącego spirytysty, który wciąż inkantował zaklęcia utrzymujące Przejście. Przyłożył mu pistolet do skroni i rzucił:

– Zabierz stąd duchy!

Zieliński spojrział na niego niewidzącym wzrokiem, nie przestając mamrotać formuł. Mraczewski szturchnął go i powtórzył:

– Zabierz stąd duchy! Słyszysz, idioto?!

Dopiero teraz spirytysta zrozumiał, co się dzieje. Kątem oka dostrzegł leżące na podłodze ciało Hetzlera. Na środku sali wąsaty zmarły próbował zlizać z podłogi resztki krwi. Drugi zmarły, syn bankiera, kołysał się w katatonicznym otępieniu, patrząc na zwłoki ojca, którego już zdawał się widzieć po tamtej stronie rzeczywistości.

– One same muszą tam wrócić – wyrzucił z siebie Zieliński. – Muszą się najeść i wtedy wracają. Ja tylko trzymam otwarte drzwi.

„Nie mam czasu”, pomyślał Mraczewski, uświadamiając sobie, że wciąż jest nagi.

– Rozbieraj się! – krzyknął, wymachując pistoletem.

– Co? – Zieliński zdawał się nie rozumieć pytania.

– Marynarkę, koszulę, spodnie i buty. Już!

Zieliński wstał i zaczął powoli zdejmować ubranie. Nagle światło w pokoju zmieniło natężenie. Półmrok zatańczył, fale suchego elektrycznego światła zaczęły przedzierać się przez opalizującą ciemność. Prostokąt Przejścia tracił swoją hipnotyzującą głębię i zaczynał przypominać wyrwany z ram olejny obraz. Dwaj zmarli – pozbawiony dolnej szczęki mężczyzna i Adam – wciąż jednak tkwili w granicach tego świata. Bezradny spirytysta starał się utrzymać rozpadający się rytuał, chociaż przeczuwał, że jego siły słabną. Raz wyrwany z transu może jedynie siłą woli walczyć o to, by zamknąć Przejście na czas, nie zostawiając nikogo po tej stronie rzeczywistości. Z uporem, szybko zaczął powtarzać inkantacje.

Mraczewski podniósł z podłogi ubranie Zielińskiego. Założył spodnie, koszulę i marynarkę. Rzeczy okazały się nieco za luźne, ale przynajmniej nie krępowały ruchów. Buty, co najmniej o dwa numery za duże, przeszkadzały. Ubrany, czując, że powoli kończy całą eskapadę, ostatni raz rozejrzał się po pokoju, w którym miał zostać zabity. Stary Hetzler zdechł, Adam stoi bezradny nad jego truchłem, półprzezroczysty w tym momencie drugi zmarły spija pozostałości krwi i wina. Obok na podłodze leży lakierek Artura.

Mraczewski zrozumiał, że nie ma wyjścia i musi się spieszyć. Podeszedł do Zielińskiego, który z wyrazem krańcowego zdenerwowania na twarzy w napięciu mamrotał zaklęcia, przyłożył do jego spoconego czoła lufę pistoletu i strzelił.

– Proszę cię, Steinhaus, zostaw mnie – rzucił Banach. Zdecydowany ton sprawił, że Steinhaus, z reguły bardziej uparty niż mucha, musiał ulec. – Zostaw mnie dzisiaj. Chcę wrócić pieszo. Nie chcę taksówki ani dorożki.

– W porządku. Jak chcesz...

Steinhaus wzruszył ramionami i wrócił do Minotaura, gdzie ostatni klienci płacili już za alkohole. Banach został sam na zakurzonej i upstrzonej niedopałkami papierosów trotuarze. Zrobiło mu się chłodno, więc wbił ręce głęboko w kieszenie i szybko ruszył przed siebie. Sierpniowe noce niosły już zapowiedź końca lata. Daleko im było do tych dusznych, parnych nocy sprzed paru tygodni, gdy lipiec kipiał nad miastem i nawet po zachodzie słońca ludzie narzekali na skwar.

Wiedział, dokąd idzie. A raczej wiedział, po co idzie, i nie chciał w to wszystko mieszać swojego asystenta. Biedny Steinhaus. Zawsze wszystko na jego głowie. Drukowanie ulotek, rozlepianie plakatów, redagowanie jednodniówek. W końcu te nieszczęsne odczyty i wieczory artystyczne. „Ech, gdyby nie on, nie miałbym za co się kawy napić lub jak zapłacić pucybutowi. On mnie trzyma na powierzchni i nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że bez niego już dawno bym utonął...”.

W końcu usłyszał dźwięk, którego spodziewał się od dłuższego czasu. Narastające dudnienie, niski szum ciężkich opon masywnego samochodu, który wtoczył się na ulicę, po której szedł Banach. Jechał wolno. Banach odwrócił się i zauważył, że czarny samochód nie ma włączonych świateł. Postanowił się zatrzymać. Auto powoli zbliżyło się do stojącego mężczyzny.

Silnik wciąż pracował cicho, gdy drzwi samochodu otworzyły się i wysiadł z nich młody mężczyzna w szarym prochowcu.

– Pan wie, prawda? – zapytał, uśmiechając się sympatycznie, choć uśmiech skażony był zmęczeniem i smutkiem.

– Wiem – odpowiedział Banach. – Mówiłem o tym dziś w Minotaurze, ale nie brzmiałem przekonująco...

– Niech pan wsiada, proszę. Porozmawiamy po drodze.

* * *

Wbrew obietnicom jazda nocnymi ulicami Antipolis upłynęła w milczeniu. Kierowca kompletnie nie zwracał uwagi na swoich pasażerów. Agent w prochowcu rozparł się na tylnym siedzeniu i zdawał się usilnie łapać resztki snu, którego widocznie brakowało mu przez ostatnie dni. Banach walczył z pamięcią, na dnie której spodziewał się znaleźć wspomnienia o tej właśnie nocy, tej trasie, ale był zbyt zmęczony, by przywołać jakiegokolwiek obrazy. Miał wrażenie, że chwyta go gorączka, oblewa przyjemne, gęste ciepło. Przycisnął spocone czoło do zimnej, zaparowanej szyby i wpatrywał się w światła miasta, w którego labiryntach krążyli.

Oświetlone witryny sklepów. Neony nad kilkoma czynnymi wciąż teatrami. Latarnie, ich bursztynowe światło wgryzające się w mrok najgłębszej sierpniowej nocy. Kilka niewyraźnych postaci, które wynurzały się z ciemności, by na powrót dać się wchłonąć przez bezkształtną noc. Banach obserwował to wszystko tak, jakby miasto było tylko dekoracją, nieudolnym, pozbawionym głębi landszaftem. Bawił się myślą, że to wszystko jest na niby, tymczasowe. Że mury, dachy, ulice, sieć kanałów pod ulicami, falujące linie tramwajowe są tylko scenografią, która mocniej popchnięta rozpadnie się i odsłoni prawdziwy świat. Drażnił tę myśl, poddawał próbom, pytał leniwie: „A więc kim ja jestem? Może też elementem dekoracji? Statystą? Mam poważniejszą rolę?”.

Po kilkunastu minutach jazdy przyszła mu do głowy inna absurdalna myśl: „A może kierowca celowo jedzie tak wolno i kilka razy przejeżdża obok tych samych budynków, byśmy mogli się tutaj, na tylnym siedzeniu, nieco zdrzemnąć?”. Z tą naiwną, pocieszającą świadomością osunął się w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

* * *

Obudziło go delikatne szarpanie za rękaw marynarki. Przez kilka sekund nie mógł zrozumieć, jakim cudem znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu i kim jest ten młody człowiek, który próbuje go dobudzić. Przed oczami wciąż skrzyły mu się światła, powidoki nocnego miasta, rozsiane neony. Zacisnął mocno powieki, by przegnać męczące iluminacje.

– Proszę, jesteśmy na miejscu.

Oszołomiony Banach wygrzebał się w końcu z samochodu i rozprostował obolałe plecy. Znał swoje ciało i podejrzewał, że musiał przespać na siedząco przynajmniej godzinę.

– Wszystko w porządku? – zapytał młody mężczyzna. – Przepraszam, nie przedstawiłem się. Od tego powinniśmy przecież rozpocząć naszą znajomość. Nazywam się Orsetti. Kamil Orsetti. Od kilku dni jestem za pana odpowiedzialny, profesorze...

– Orsetti?

– Tak – odpowiedział z uśmiechem. – I nie jestem Włochem. Moja rodzina ma majątek ziemski pod Puławami. Od trzystu lat tam właśnie żyjemy. Każdemu muszę to tłumaczyć. Ponoć jakiś nasz przodek przybył kiedyś do Polski, ale to stare dzieje. Nieistotne...

– Rozumiem.

Banach dopiero teraz mógł lepiej przyjrzeć się młodemu człowiekowi, który „za niego od kilku dni odpowiadał”. Wysoki blondyn wyglądał na studenta, który dopiero co zdobył dyplom i pełen buzującej energii rwie się do podboju dorosłego życia. Bystre niebieskie oczy błyszczały żywym intelektem, a zamaszyste gesty sprawiały wrażenie, że każde ubranie może być dla niego za ciasne. Długie palce ujęły właśnie eleganckie czarne pióro, którym zapisywał coś w wydobytym z kieszeni płaszczu notesie. Zakończył fantazyjnym podpisem i zamknął zeszyt.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Banach.

– Za miastem – odpowiedział Orsetti. – Jechaliśmy trzy godziny i jesteśmy tu bezpieczni. A raczej pan jest bezpieczny, bo ja za jakiś czas będę musiał pana zostawić, profesorze.

Banach spochmurniał.

– Tak – potwierdził Orsetti. – Odprowadzę pana i wracam do Antipolis. Moja praca się nie skończy tak szybko, niestety. Prawie nie śpiam. Chodźmy, za chwilę wszystko panu wytłumaczę, profesorze.

– Dawno nikt się tak do mnie nie zwracał.

Orsetti się uśmiechnął.

– Kilka lat temu byłem na paru pana wykładach. To było zanim pan, że tak powiem, zrezygnował z pracy na uczelni. Dlatego to właśnie ja miałem pana tu przywieźć. Można powiedzieć, że na całym wydziale ja znam pana najlepiej. Tylko tak młodo wyglądam – dodał i zaśmiał się głośno.

* * *

Szli w milczeniu szerokim, słabo oświetlonym korytarzem. Niski sufit sprawiał wrażenie, że poruszają się w tunelu wykutym we wnętrzu góry. Ich kroki odbijały się echem od ścian. Nikt nie otwierał nielicznych drzwi, które mijali po drodze. Banach szedł z rękami w kieszeniach, pozwalając się prowadzić; jakaś część w jego wnętrzu przeklinała skłonność do biernego przyjmowania wszystkiego. Wróciły myśli o tym, że tylko odtwarza napisaną dla niego dużo wcześniej rolę, a jedyną anomalią jest dar wglądu w to, co się stanie w następnych kilku aktach tej tragikomedii. „Cóż innego mogę zrobić, jak nie poddać się temu, co nieuchronne?”.

– Jesteśmy – zakomunikował niespodziewanie Orsetti i zatrzymał się przed drzwiami, na których zamiast tabliczki z numerem przymocowano ozdobną plakietę ze skomplikowanymi symbolami.

– To herb? – zapytał Banach.

– Tak – potwierdził z ledwo maskowaną dumą Orsetti. – Mojej rodziny. Złotokłós. Nie mam jednak czasu tłumaczyć, co oznaczają te wszystkie pola. Łatwo można sprawdzić w pierwszym lepszym herbarzu. Zapraszam do środka.

Pchnął drzwi, które otworzyły się bezgłośnie, i puścił gościa przodem.

Banach spodziewał się ascetycznego wnętrza – ciężkiego biurka, prostych krzeseł, żadnych ozdób – dlatego oniemiał na widok niemal arystokratycznego salonu. Cztery olbrzymie fotele ustawione na środku pokoju otaczały niski stolik, na którego blacie leżały rozrzucone papiery i stały popielniczka czekająca na niedopałki oraz kryształowa karafka. Na ścianach wisiały płótna: pejzaż zimowy w stylu holenderskim, portret wąsatego szlachcica opierającego się o porośniętą bluszczem kolumnę, martwa natura z zegarem wskazującym niemal północ. Okno zasłonięte było bordowymi kotarami. Po obu jego stronach ustawiono biblioteczki z rzędami oprawionych w skórę ciężkich tomów. Powietrze pachniało dymem z cygar, kurzem i starością. Banach gwizdnął cicho. Miał wrażenie, że trafił do jednej z magnackich posiadłości, w których starannie konserwowano dowody świetności rodu.

– Podoba się panu? – zapytał Orsetti i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Robi wrażenie, prawda? Niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś?

Banach spojrzął na stojący w rogu pokoju potężny zegar.

– Jest szósta rano, tak? – zapytał, nie będąc pewnym, czy zegar wskazuje prawidłową godzinę.

– Czas na kawę, prawda? – powiedział z entuzjazmem Orsetti. – Ja też się napiję. Przyjedzie do nas jeszcze ktoś. Potowarzyszę wam kilka minut i się pożegnám. Obowiązki wzywają mnie do miasta. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

Podszedł do ciężkiego, misternie rzeźbionego czarnego biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

– Dwie kawy, panno Adelo. Chwileczkę, niech będą trzy. Tak, trzy. Dziękuję.

Usiadł naprzeciwko moszczącego się w potężnym fotelu Banacha.

– Ani razu nie zapytał pan, gdzie jesteśmy. Przywiozłem tutaj już czterech ludzi i żaden z nich nie był tak powściągliwy. Prawdę mówiąc, nie chcieli nawet myśleć o tym, by tu przyjechać. A pan? Godny podziwu spokój...

Banach się uśmiechnął.

– Podejrzewam, że lubi pan patrzeć na ludzi, którzy dowiadują się, gdzie są. Prawda?

Orsetti zarumienił się i uciekł wzrokiem gdzieś ponad głowę rozmówcy. Banach trafił w czuły punkt. Ten młody człowiek był sympatyczny, ale próżny i skłonny do teatralnych gestów.

– Jesteśmy w Strukturze – Orsetti odchrząknął, nieco zbity z tropu. – To stary pałac magnacki, do którego dobudowano po wojnie kilka dodatkowych skrzydeł. Struktura to jednak nie budynek. W każdym razie nie tylko budynek. Struktura to odnoga Ministerstwa Obrony. Jesteśmy zmuszeni tymczasowo dzielić to miejsce z wywiadem wojskowym, ale nie wchodźmy w te zawłości. My jesteśmy tu po to, by bronić Korony przed wszelkimi mniej... hmmm... oczywistymi... zagrożeniami. Struktura nie walczy w polu, w powietrzu czy na morzu. Nie ma tutaj żołnierzy, którzy defilują i prezentują broń przed premierem i całą Radą Ministrów. Nie nosimy mundurów ani nie salutujemy przed przełożonymi. Można by rzec,

że jesteśmy sporym klubem dżentelmenów, którzy ścierają się z innymi dżentelmenami z innych klubów.

Zanim wybrzmiały ostatnie słowa, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– O! Kawa! – Orsetti zerwał się z fotela i podbiegł do drzwi. – To nam rozjaśni w głowach. Wciąż mam wrażenie, że nie opisałem panu dostatecznie charakteru tego miejsca. Nie umiem zebrać myśli o tej godzinie.

Otworzył drzwi i wpuścił do pokoju wysoką, garbiącą się lekko kobietę, niosącą tacę z dwiema filiżankami parującej kawy.

– Dziękuję ci, Adelo – Orsetti odebrał tacę i postawił ją na biurku. – Jesteś niezastąpiona. Dziękujemy.

Adela, zerkając ukradkiem na Banacha, zamknęła za sobą drzwi, a Orsetti chwycił delikatną filiżankę, która zniknęła w jego dużych dłoniach. Spojrzał na Banacha znad parującej kawy i zapytał:

– Czy chce pan zostać dżentelmenem?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Mraczewski musiał się spieszyć. Wciąż czuł szalejącą w nim krew. Adrenalina nie pozwalała mu wyrównać oddechu, uspokoić się. Z chwilą śmierci Zielińskiego nienaturalna ciemność, którą sprowadził z tamtego świata, rozrzedziła się, a potem zniknęła. Elektryczne światło lampy w beznamienny sposób odsłoniło dwa trupy. W obcym ubraniu, które okazało się za luźne, z pistoletem, który najchętniej by wyrzucił, i w butach, które – ściśnięte sznurówkami – szczęśliwie pasowały, Mraczewski uciekł w głąb willi.

Cały dom był cichy i ciemny. Bez wątpienia pusty. Obszedł kilka pokoiów na parterze. W każdym z nich znalazł niemal ten sam zestaw bezosobowych mebli. Otworzył dwie szafy, jednak nie było w nich żadnych ubrań. Trafił na półprzymknięte drzwi prowadzące w dół. Zszedł po kilku stromych stopniach. Korytarz w piwnicy okazał się zadziwiająco długi. Minał dwa pomieszczenia, w których leżakowały wina. W końcu znalazł ciasny pokój, w którym go przetrzymywano. Miał nadzieję, że zostawiono tu jego ubranie, ale się rozczarował.

Wrócił na górę i wszedł do obszernej kuchni, gdzie wyczuł zapach przygotowanego kilka godzin wcześniej posiłku. Na blacie znalazł garnek, w którym jakieś mięso taplało się w zawiesistym sosie. Mraczewski nie jadł od trzech dni. W jednej z szuflad odkrył sztućce. Jadł na stojąco. Mięso było fatalnie przyprawione.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, usiadł w ciemnej kuchni, której okna wychodziły na podjazd. Stał tam samochód. Potężny, nisko

osadzony wingman czekał z pewnością na Hetzlera i Artura. Mraczewski uśmiechnął się z satysfakcją. Szofer nie doczeka się swego pryncypała. Wnętrze samochodu rozświetlił błysk zapalniczki i twarz kierowcy otoczył obłoczek dymu. Przez chwilę Mraczewski rozważał, czy nie podkraść się do kierowcy, ogłuszyć go i zamknąć w piwnicy domu. Jednak co dalej? Nie umiał prowadzić samochodu.

Poza tym uświadomił sobie, że nie wie, gdzie jest. Wątpił, by wywieziono go gdzieś daleko. Być może to obrzeża miasta. Słyszał tylko delikatny szum drzew trącanych nocnymi podmuchami wiatru i odległe szczeknięcia. Nic poza tym. Zaklął cicho. Podeszedł do okna. Wpatrując się w ciemności, które nie były przeszkodą dla jego wzroku, widział tylko rzędy drzew, które przesłaniały całą resztę świata, gwiaździste, czyste niebo i skrawek księżyca.

Mraczewski poczuł wszechogarniające zmęczenie. Ledwie trzymał się na nogach, ale wiedział, że musi stąd uciekać, zanim noc zacznie rzednąć, a niebo zaróżowi się, zapowiadając wschód słońca. Nie miał zegarka, przeczuwał jednak, że najgłębsza noc właśnie przewraca się na drugi bok. Świt był bliżej niż dalej.

Mężczyzna zaczął szukać tylnego wyjścia z domu. Znalazł jakieś szerokie drzwi i już wyciągnął rękę, by chwycić pokrytą roślinnymi ornamentami klamkę, gdy nagle drgnął. Jego wyostrzony słuch wychwycił jakiś szelest. Jakby dźwięk pocieranej suchej skóry. Rozejrzał się wokół siebie, ale nie wypatrył niczego, co mogło być źródłem dźwięku, który wciąż drażnił uszy. Chciał jak najszybciej wyjść, nie oglądając się za siebie, i przy odrobinie szczęścia znaleźć się w drodze do miasta. Przecież musi tu być jakaś droga, budynki, warsztaty. Muszą być jacyś ludzie.

Nacisnął delikatnie klamkę, która zazgrzytała cicho. Pchnął drzwi, a te ku jego nieopisanej radości ustąpiły. Przez wąziuteńką szparę do wnętrza wślizgnął się delikatny podmuch rześkiego powietrza. Mraczewski dopiero teraz uwierzył, że może wyjść cało z opresji. Serce zabiło mu szybciej. Nagle zapach nocnego ogrodu rozwiął się i ustąpił miejsca kwaśnej, dusznej woni.

Za drzwiami stał nagi Adam. Wyglądał tak jak wtedy, gdy się wił, spijając z posadzki posokę, i gdy przywarł do żywego ciała, by przypomnieć sobie rozkosze łóżka. Stał sztywno, wpatrując się w Mraczewskiego niewidzącymi czarnymi oczami. Zapadłej klamki

piersiowej nie poruszał najłżejszy oddech. Ręce zwisały wzdłuż tułowia. Usta, spierzchnięte i popękane, starały się wypowiedzieć słowa zarezerwowane dla żywych. Za jego plecami otwierał się ogród.

Mraczewski cofnął się instynktownie, w jego żyłach znów zagotowała się krew; poczuł, jak wnętrzności skręca skurcz strachu. Nie mógł jednak pozwolić na to, by znów zamknięto go w tej przeklętej willi. Opanowawszy drżenie nóg, powoli ruszył do przodu, obchodząc łukiem zmarłego. Ten stał nieruchomo jak posąg mizernego bóstwa, które zapomniało o czasach dawnej świetności, i patrzył przed siebie, w głąb czarnego domu, jakby przeczuwając, że tam znajdują się drzwi do świata zmarłych, z którego go wyrwano.

Mraczewski bezszelestnie zszedł po schodach. Znalazł się na wysypanej żwirem szerokiej ścieżce, która meandrowała pomiędzy potężnymi krzakami magnolii. Żwir chrzęścił pod podszewkami jego butów, ale uskrzydłony odzyskaną swobodą nie zamierzał zwalniać. Tylko kilkadziesiąt metrów dzieliło go od muru, który wypatrzył pomiędzy drzewami. Odwrócił się i ostatni raz spojrzął w stronę przysadzistej bryły willi. Widział schody, ganek, nawet niedomknięte drzwi, nie zauważył jednak zmarłego. „Czyżby wszedł do środka?”, pomyślał.

Mur okazał się tak wysoki, że nie mógł dosięgnąć jego szczytu. Dokładnie obejrzał cegły, czy żadna z nich nie wykruszyła się i nie ułatwiłaby mu wspinaczki ku wolności. Jednak wszystkie wyglądały solidnie. Musiał zaryzykować i znaleźć bramę, furtkę, jakieś wyjście z posesji. Ruszył po mokrej od rosy trawie, gniotąc rosnące dziko kwiaty. Jakiś spłoszony kot zanurkował w krzaki i tam znieruchomiał. Mraczewski spojrzął w niebo; powoli gubiło ciemnogrnatową barwę i szarzało. Gwiazdy bladły. Powietrze wyraźnie się ochłodziło. Ogród był większy, niż się spodziewał. Kilka razy przeszedł obok tego samego skupiska magnolii – a więc zabłądził w gąszczu zaniedbanej zieleni. W końcu jednak wypatrzył oświetlone samotną latarnią potężne, wijące się stalowe liście, kwiaty i owoce zdobiące potężne skrzydła bramy. Mraczewski nie dbał już o to, czy ktoś pilnuje bramy. Podbiegł do niej i szarpnął fantazyjnie powyginaną klamkę. Ta zazgrzytała przerażająco, ale zamek nie ustąpił. Nie było czasu, by zrobić cokolwiek innego. Wsunął stopy pomiędzy stalowe zawijasy,

podciągnął się i zaczął wspinać. Siedząc już okrakiem na szczycie bramy, zdecydował się skoczyć.

Wylądował na twardym, ubitym żwirze, rozrywając spodnie na kolanach i kalecząc dłonie. Zaklął cicho. Podniósł się i otrzepał ubranie z kurzu. Stał w samym środku kręgu żółtawego światła sączącego się z samotnej latarni. Natychmiast rzucił się w kierunku głębokiego cienia i stamtąd zaczął lustrować okolicę. Beznadziejnie jałową, pozbawioną jakichkolwiek charakterystycznych znaków przestrzeń, którą wypełniały rosnące wzdłuż drogi drzewa. Droga łagodnie skręcała w lewo. Willa, z której udało mu się uciec, wydawała się jedynym budynkiem w najbliższej okolicy.

Mraczewski ruszył w jedyną możliwą stronę, układając sobie w głowie historię, którą mógłby opowiedzieć komuś, kto zechciałby podwieźć go do Antipolis. Dopracowywał szczegóły. Przygotowywał się na ewentualne pytania.

Ostatni raz spojrzął na bramę, którą z takim trudem udało mu się sforsować. „Wysoka konstrukcja”, pomyślał, „dobrze, że nie zwichnąłem kostki”. Wtem za bramą zauważył jakiś ruch. Z poszarzałej ciemności wyłoniło się blade ciało Adama i przywarło do stalowych ornamentów, po czym pchnęło samo siebie do przodu. Metal łagodnie wchodził w mizerną, wychudzoną postać zmarłego. Stalowe kwiaty i liście wtapiały się w brzuch, nogi, głowę Adama, a ten niewzruszony przeciskał się, by znaleźć się na zewnątrz.

Pod Mraczewskim ugięły się kolana. „A więc on idzie za mną. Gdziekolwiek ja, tam i on. Zmarły, którego nie zatrzymają kraty, mury, odległość”.

Wyskoczył z cienia, który dawał mu złudne poczucie bezpieczeństwa, i pobiegł drogą łagodnie skręcającą w lewo.

* * *

Ta droga według jego kalkulacji musiała doprowadzić go do granic metropolii. Po obu jej stronach rosły rzędy potężnych topól. Ich ciężkie, skórzaste liście szumiały niepokojąco. W gałęziach odzywał się jakiś nocny ptak. Mimo że Mraczewski przeżył tej nocy sceny, z jakimi rzadko który śmiertelnik miał do czynienia, czuł się nieswojo. Miał wrażenie, że coś podąża jego śladem. Wpatrywał się w przejrzysty dla niego mrok, nasłuchiwał najcichszych szelestów,

westchnień nocy i... niczego nie był w stanie zlokalizować. Jego zmysły były bezradne wobec istoty, która ślizgała się zaledwie po powierzchni rzeczywistości. Tej nieokreślonej obecności bał się i jednocześnie przeczuwał, że nie da mu ona spokoju. Prędzej czy później znów się pojawi.

Czuł specyficzny rodzaj chłodu, rwące się w powietrzu smużki zapachu gnijących roślin, brudnej wody...

Zatrzymał się na poboczu. Zmęczone nogi powoli odmawiały posłuszeństwa. Chętnie zatrzymałby jakiś pojazd, który mógłby go podwieźć, jednak wszystkie ciężarówki, samochody osobowe, autobusy jechały w przeciwnym kierunku. Przyjrzał się twarzom umundurowanych kierowców. Beznamiętne oblicza mężczyzn wiozących swoje rodziny.

Pierwszego człowieka spotkał po godzinie forsownego marszu. Kilkadziesiąt metrów od drogi stał skromny domek, zamieszkały zapewne przez dość biedną rodzinę. Przed parterowym budynkiem, niewiele większym od budki kolejowego dróżnika, uwijał się mężczyzna. Zamknąwszy drzwi sprawdzał, czy okiennice na pewno trzymają mocno. Mraczewski stanął za jego plecami i zapytał:

– Daleko jeszcze do miasta?

Tamten podskoczył na dźwięk jego głosu. Odwrócił się błyskawicznie i wyszarpnął zza kapoty rewolwer. Przestarzały model, ale wciąż można było nim zrobić krzywdę. Jego właściciel cofnął się o trzy kroki i zmierzył Mraczewskiego wzrokiem.

– Coś pan, panie! – prychnął z pogardą. – Po co się pan pchasz do miasta? Na szaber?

Mraczewski zmarszczył brwi. Niczego nie rozumiał.

– Jaki szaber? W interesach jadę, samochód mi się zepsuł parę kilometrów stąd i muszę teraz znaleźć kogoś, kto by mi auto naprawił albo...

– A gdzie pan był przez ostatnie dwa dni? O ewakuacji pan nie słyszałeś, co? I w jakich interesach pan jedziesz? Nie masz pan ani żadnej teczki, ani nic... – rewolwer w rękach mężczyzny zadrżał. – Coś mi się pan nie podobasz.

Mraczewski oblizał spierzchnięte usta. „Ewakuacja?”, krążyło mu po głowie. „Jaka ewakuacja?”.

– No bo, panie, ja sam nie podróżuję, jest ze mną współnik, on został...

Urwał. Zza pleców mężczyzny wysunęła się trupioblada postać. Nozdrza Mraczewskiego wypełnił znajomy zniechęcony odór. Zapach rozkładu. Zmarły oplótł ramionami szyję mężczyzny z rewolwerem. Ten zdążył tylko szeroko otworzyć oczy i wydać zduszony okrzyk, zanim osunął się na ziemię ze złamanym karkiem. Zmarły stał chwilę, wpatrując się jakby ze zdziwieniem w swoje dzieło. Następnie spojrzał na Mraczewskiego pustymi oczami, cofnął się o krok i rozplątał w powietrzu, zostawiając woń śmierci.

Początkowo oszołomiony nagłym pojawieniem się Adama, Mraczewski dość szybko otrząsnął się i zaczął rozglądać wokół. Dom stał na uboczu, więc nie było żadnych świadków zajścia. Przed domem zabitego stał motor z przytroczonymi dwiema masywnymi sakwami. Mraczewski podszedł do maszyny i dotknął kierownicy. Nacisnął hamulec i poczuł znajome napięcie szczęk zaciskających się na przednim kole. Kiedyś, dawno temu, gdy kończył liceum, udało mu się kilka razy wypróbować motocykl należący do kuzyna. Radził sobie doskonale, wchodząc ostro w zakręty i zmuszając maszynę do wspinania się na strome piaszczyste wzgórza. „Czujesz sprzęt”, pochwalił go starszy kuzyn, którego dwa lata później na krętej górskiej drodze zmiażdżyła jadąca z naprzeciwka ciężarówka.

Mraczewski odpalił silnik. Pracował głośno, ale równo. Usadowił się na siodelku, chwycił mocno kierownicę i ruszył ścieżką prowadzącą w kierunku głównej drogi. Tam poczekał, żeby włączyć się do ruchu między jadącymi wolno pojazdami. Musiał pożegnać miasto. Było mu żal, ale nie mógł zachowywać się inaczej niż wszyscy. A wszyscy uciekali przed zagrożeniem, o którym tylko wspomniał martwy właściciel motocykla.

* * *

Komisarz Śnieg nie spodziewał się dzisiaj niczego dobrego. Był zmęczony, mimo że przespał całą noc, a poprzedni dzień udało mu się przesiedzieć za biurkiem i ani razu nie ruszyć się ze swojego gabinetu. Znał takie dni. Rzuciły coraz rozleglejszy cień i nie pozwalały wyrwać się z obojętnością chłodu. Czy tak właśnie wygląda starość? Ubrał się powoli, medytując nad każdym ruchem.

Po skromnym śniadaniu zwyczajowo przetasował talię Heraklita i wyciągnął kartę z wykaligrafowanym aforyzmem: „Śmierć, co widzimy na jawie. Co śpiąc widzimy, sen”. Zasepił się. „Znowu śmierć”, pomyślał, „znowu śmierć... Wyjątkowo niejasny komunikat. Czy to ma coś wspólnego z Zenitem? Ze zniszczeniem, jakie być może czeka miasto? Jutro premier wygłosi w radiu odezwę do mieszkańców. Wszystkie gazety wydrukują informacje. Mury miasta pokryją ostrzegawcze afisze. Wybuchnie panika, to jasne, ale nie można postąpić inaczej”.

Spojrzał przez okno i nagle ogarnęła go paraliżująca obojętność. Wyszedł z mieszkania, zbiegł na ulicę i spojrzał na mrowiących się wokół ludzi. Za kilka dni tego miasta może nie być. Może rozpaść się pod naciskiem Manifestacji, która zmiażdży budynki, wydrąży kaniony, spopieli parki, osuszy rzekę... Może się tak stać. I wiele wskazuje na to, że tak właśnie będzie.

Ale on opuści Antipolis, zanim rozpocznie się ewakuacja mieszkańców. Wydział kryminalny zostanie niemal w całości przeniesiony do pobliskiego miasteczka, gdzie w pałacu Wołyńskich od kilku dni układa się już archiwa, porządkuje dokumenty, obmyśla prowizoryczne mechanizmy działania. Komisarz ma czuwać nad tym wszystkim. W Antipolis zaś zostaną młodszy koledzy, mniej doświadczeni, których śmierć, co również przeszło mu przez głowę, nie będzie taką stratą dla wydziału.

* * *

– Ilu zabitych? – Śnieg nie mógł zrozumieć słów Lesmana. Dzwonił gdzieś spod miasta i jego głos tonął w szumach i trzaskach.

– Lesman, skąd ty dzwonisz? Ile ciał?

– Dziwacznie to wygląda! – krzyczał Lesman. – Dwie osoby w willi na przedmieściu, przy drodze do Kryńca. Mamy niezły bigos, szefie. Zastrzelony facet w samej bieliźnie. Drugi ze skręconym karkiem. Ubrany.

– Wiadomo, kim są? Czyj to dom?

– Mamy problem, bo ten ubrany to Hetzler.

Śnieg przełknął ślinę.

– Ten bankier? Na pewno to on?

– Bez dwóch zdań. Miał przy sobie dokumenty. Pieniądze, jeżeli były, zniknęły. Drugi zabity to Zieliński. Pamięta go pan?

– Kto? – Śnieg nie skojarzył nazwiska.

– Ten spirytysta, którego parę razy złapaliśmy za oszustwa i wyłudzenia. Jeden z chłopaków go rozpoznał, mimo że facet ma niezłą dziurę w głowie. Mamy jeszcze jakąś cuchnącą breję na podłodze. I jeden but.

– But?

– Tak. Zieliński nie ma butów. Hetzler ma. Można powiedzieć, że mamy o jeden but za dużo albo o jeden za mało.

– Dobra uwaga, Lesman – komisarz się uśmiechnął. – A kto znalazł zwłoki?

– Szofer Hetzlera. Całą noc czekał w samochodzie przed domem, bo mieli jeszcze przed północą wrócić do miasta. Nad ranem wszedł do domu i znalazł to wszystko. Poza tym stoi tam jeszcze jakaś żelazna konstrukcja, do której pewnie kogoś przymocowano. Na to wygląda.

– Kierowca niczego nie słyszał?

– Siedział w samochodzie na podjeździe przed domem. Trupy leżą w pokoju od strony ogrodu. To spory budynek. Mógł faktycznie nic nie słyszeć.

– A widział coś?

– Też nic. Pewnie spał, choć nie chce się do tego przyznać.

Śnieg się uśmiechnął.

– Mam przyjechać czy dacie sobie radę beze mnie? – zapytał. – Jutro wyjeżdżam do Kryńca i muszę spakować trochę rzeczy.

Lesman przez chwilę milczał.

– Może się pan jeszcze napić kawy. Damy sobie radę. Ach, byłbym zapomniął. Skoro to wszystko tak dziwacznie wygląda, to może wezwać kogoś ze Struktury? Może to coś więcej, niż nam się wydaje?

– Dobry pomysł, Lesman – przyznał komisarz. – Ja do nich zadzwonię. Będzie na pewno szybciej. Serwus!

* * *

Nadję wezwano przed południem, gdy akurat była zajęta pakowaniem walizek przed jutrzejszym wyjazdem z Antipolis.

Ubrania, buty, parę książek, dokumenty, kosmetyki – to wszystko. Popatrzyła z politowaniem na zgromadzony na łóżku dobytek i westchnęła, niejako godząc się z nieuchronnym losem, jaki czekał miasto i jego mieszkańców. Wszystko włożyła w dość przypadkowej kolejności do walizek i gdy podziwiała efekt swoich starań, zadzwonił telefon. Po krótkiej rozmowie, w czasie której naświetlono jej sytuację, wybiegła z kamienicy na ulicę, gdzie czekał już służbowy samochód. Niedomknięte walizki zostały w mieszkaniu.

– A jednak jedziesz? – zapytał kierowca. Nadja знаła go od niedawna. – Miałaś wziąć wolne po tej przedwczorajszej historii.

Parsknęła niezadowolona. Nie lubiła, gdy przypominano jej o chwilach słabości. Wyciągnęła z torebki srebrną papierośnicę i zapaliła długiego brązowego papierosa.

– Mówisz o tym zakonniku? – skrzywiła się z dezaprobatą, wypuszczając nosem kłęb dymu. – Jasne, ma dar bilokacji, ale ja już widywałam takie rzeczy. Zajmą się nim w Strukturze. A ja padłam, bo byłam zmęczona. Przez cztery ostatnie doby warowałam jak pies przy łóżku tej dziewczyny.

– Tej od tego rosyjskiego szpiega?

– Tak – potwierdziła. – Szpieg to nie moja branża, ale ta biedna dziewczyna została w tę całą aferę nieźle wmanipulowana. Zmuszono ją, by udawała jego córkę, co wychodziło jej znakomicie. A my nawet nie wiemy, kim ona jest. Skąd się wzięła. I niczego się nie dowiemy, zanim się nie obudzi.

– Zdaży się obudzić przed Zenitem czy trzeba będzie ją przenieść?

Nadja zagryzła wargę.

– Boję się, że się obudzi, gdy to wszystko się zacznie.

* * *

Nadja swoim zwyczajem zignorowała obecność kilku policjantów i techników kryminalnych i bezceremonialnie zaczęła krzątać się po willi Hetzlera. Wchodziła do kolejnych pokoi, otwierała puste szafy, grzebała w szufladach pełnych zakurzonych papierów, wspięła się na strych i zeszła do nieźle zaopatrzonej piwnicy, w której leżakowały butelki wina. W tym domu rzadko ktoś bywał. Hetzler zapewne przyjeżdżał tu tylko kilka razy w roku, gdy miał do

załatwienia jakieś sprawy w stolicy. Nadja czuła delikatnie mrowiącą aurę, coś rozmazującego się na granicy pola widzenia. Instynkt nakazywał jej dopiero na samym końcu obejrzeć zabezpieczone miejsce zbrodni. Ciała mężczyzn już wyniesiono.

Ostrożnie weszła do pomieszczenia, w którym unosił się jeszcze zapach krwi. Bordowe kotary rozsunięto. Pokój zalany był słońcem. Jego refleksy iskrzyły się na posadzce, którą plamiły pozostałości po nocnych wydarzeniach. Nadji nie interesował los zastrzelonego mężczyzny. To była banalna i prymitywna zbrodnia, owoc złości i strachu. Tym zajmą się kryminalni. Ten bufon Lesman, z którym miała się w drzwiach Willi Hetzlera.

– Tu leżał Zieliński – poinformował ją Karol. – Ten nieszczęsny spirytysta. Wydaje się, że tym razem kogoś faktycznie zdenerwował swoimi oszustwami.

Nadja podrapała się po czubku lekko zadartego nosa.

– Czy ja wiem... Czy ja wiem...

Dotknęła posadzki pokrytej wysychającą brunatną skorupą. Roztarła w palcach kleistą maź i ją powąchała. Naraz dziewczyną szarpnął skurcz, który zdawał się rozrywać i skręcać jej wnętrzności. Upadła na kolana i chwyciła się za brzuch. W jej głowie nawoływały się niewyraźne głosy, krzyżowały jęki. Krzyknęła. Karol jednym skokiem znalazł się obok niej.

– Co się dzieje?! Nadja! – zawołał przerażony. Dwaj policjanci, do tej pory snujący się bez celu po ogrodzie, przybiegli i stanęli w drzwiach, wypatrując czającego się gdzieś niebezpieczeństwa. Karol odprawił ich nerwowym gestem dłoni.

Nadja z trudem stanęła na drżących nogach. To zmarli. Zielińskiemu udało się ich tutaj sprowadzić. Tutaj jedli. Ten zapach gnijącej wody i szlamu, ból tęsknoty za tym światem. Nigdy wcześniej nie czuła tak skoncentrowanej obcej siły. Przyszli i zatruli to miejsce agresją i żalem.

– Nadja, co ci jest?

– Wyjdźmy stąd – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. – Z tego domu. Już.

* * *

Usiedli na schodach przed willą. Dzień był piękny. Promienie słońca przebijały się przez trącane wiatrem liście drzew. Powietrze było czyste, wzrok sięgał daleko. Nadja zaczęła masować pulsujące skronie i siłą woli zagłuszać echa, które wciąż jeszcze buzowały w jej głowie. Targnął nią dreszcz, czoło znów zrosił zimny pot. Czuła, jakby dopadła ją choroba, której pierwsze symptomy odczuwała wyjątkowo boleśnie.

– Źle wyglądasz. Naprawdę źle.

Twarz Nadji ściągnął grymas.

– Nie musisz mi tego mówić – syknęła. – Przepraszam, podle się czuję. I właśnie dlatego nie należy się bawić ze zmarłymi – dodała.

– Nie rozumiem.

– Ten nieszczęsny Zieliński otworzył drzwi zmarłym. Ale nie tak, jak to robią ci wszyscy, co z nudów kontaktują się z Aleksandrem Wielkim czy Napoleonem lub szukają jakichś wieści o zaginionych w czasie wojny synach. Nie. To są zabawy. To tak, jakbyś przez telefon rozmawiał z tamtą stroną. Zieliński ich wpuścił. Widziałeś tę breję na podłodze? Tym ich zwabił. Przyszli się najeść. Krew, wino, mąka, miód. Oczywiście musiał jeszcze znać odpowiednie formuły. A wiesz, co jest najgorsze?

Karol pokręcił głową.

– Najprawdopodobniej nie zdążył ich odesłać. Zabito go, zanim zamknął Przejście. Oni chyba zostali tutaj. Dlatego tak zareagowałam. Zmarli to nie jest moja specjalność. Wątpię, czy kogokolwiek... Dlatego to takie niebezpieczne.

– Mówisz, że zmarli zostali zatrzaśnięci w naszym świecie?

– Tak – rzekła dobitnie, zirytowana pytaniem. – Tylko pamiętaj, że nie da się ich zobaczyć.

– Więc oni mogą być nawet tutaj? – Karol rozejrzał się wokół. – W tym domu?

– Mogą nawet siedzieć obok ciebie. Ale jeżeli w ogóle są tutaj, to pójdą do znanych im miejsc lub przywiążą się do bliskich osób. Tyle wiem...

* * *

Piotr obudził się rano w pokoju, w którym polecono mu zostać. Mógł zabrać swoje osobiste rzeczy, ale poprzestał na sfatygowanym

egzemplarzu Pisma, które wziął ze swojej celi w gminie. Teraz kartkował je, próbując sobie przypomnieć, które z czytań przypada na ten dzień. Jaki wyimek nauk Mistrza. W końcu niemal z całkowitą pewnością odnalazł poszukiwany fragment.

Przez kilka minut klęczał wpatrzony w łaciński tekst. Znał na pamięć każdy werset. Rozkład akapitów. Wiedział, która ze stron jest poszarzała i jakie przypowieści Nauczyciela podkreślił delikatnie ołówkiem kopiowym. Kilka lat temu poznał nawet ziemię, po której chodził Mistrz. Nocował w dwóch miejscinkach, gdzie wciąż stoją budynki, w których ponoć się zatrzymał w czasie swojego pierwszego z trzech Kół – pierwszej próby obejścia całej wschodniej prowincji Cesarstwa Turcji. To właśnie wtedy tworzyły się zręby wiary, której orędownikiem był Piotr.

Każde słowo i każdy obraz potrafił połączyć z jakimś elementem tamtego suchego krajobrazu, bezwodnej skalistej krainy. Modlitwa nabierała głębi. Mógłby przysiąc, że czuje pod stopami nierówność terenu, że zapach pustyni otwierającej się za potężnym łańcuchem gór wypełnia niewielki pokoik. Przymknął oczy i zobaczył grupkę ludzi pokonujących uparcie małe wzniesienie. Niosą kosze pełne wysuszonych, pomarszczonych owoców.

Nagle jeden z nich, starszy brodaty mężczyzna, zatrzymuje się i wskazuje palcem Piotra. Reszta odwraca głowę w jego stronę. Kilkuletni chłopczyk macha do niego i uśmiecha się, odsłaniając wyszczerbione z przodu ząbki.

Piotr otworzył oczy. Wizja się urwała. Ludzie mogli już wrócić do swoich obowiązków, dotrzeć na targ i spróbować zarobić nieco grosza. On mógł już wstać z klęczek, włożyć habit i zejść na dół, gdzie czekał na niego posiłek.

* * *

Od dwóch dni żył rytmem tego miejsca. Znosił cierpliwie obojętność, z jaką pracujący tu ludzie traktowali jego pytania. Nikt nie chciał wdawać się w dłuższą rozmowę z chudym, łysiejącym mężczyzną, który jak cień błędził po wijących się i rozwidlających korytarzach. To cud, że jeszcze nigdy nie zabłądził w tym kilkupiętrowym budynku. Uważnie studiował plany ewakuacyjne budynku, jednak nie dały mu one odpowiedzi ani na pytanie o to,

gdzie się znajduje, ani jak trafić do wyjścia innego niż to pilnowane przez dwóch strażników. Z nimi również próbował rozmawiać, ale ci, umundurowani i uzbrojeni, nie byli skłonni do jakiegokolwiek konwersacji.

Znał siebie i wiedział, że pogodzenie się ze swoim losem jest najlepszą reakcją na wszelkiego rodzaju zawirowania. Nauczył się tej sztuki studiując starożytnych; ich pisma, pogrążone w delikatnej mgiele rezygnacji i smutku, wciąż znieczulały go w dramatycznych momentach. I nawet rzucenie się w wir chrześcijaństwa nie roztrzaskało jego wewnętrznej pewności, że spokój, dystans i opanowanie emocji są skałami, z których szczytu można obserwować morze rozszalałych wydarzeń.

Tak więc gdy zmuszono go do opuszczenia gminy i podróży samochodem w niewiadomych kierunkach, i gdy w końcu zamknięto go w potężnym budynku, którego przeznaczenia wciąż nie rozumiał – godził się z tym, tak jak z każdym wybojem spotkanym na drodze życia. Musiały go uspokoić ogólnikowe słowa na temat służby krajowi, bezpieczeństwa i odpowiedzialności za dar, jaki posiada, choć też jego wewnętrzny spokój nie był ani przez moment zaburzony.

Siedząc teraz nad talerzem z parującą jajecznicą, rozpoznawał tych, z którymi dzielił skromną kantinę. Pod ścianą zawsze siadał skupiony mężczyzna, brunet z wyraźnie rysującymi się zakolami. Czarny garnitur kontrastował z jego bladą, nieco okrągłą twarzą. Ile mógł mieć lat? Czterdzieści? Nie mniej, ocenił Piotr. Budził zaufanie flegmatycznymi ruchami, tym rodzajem niezdarności, który kazał widzieć w mężczyźnie raczej niegroźnego marzyciela niż człowieka czynu.

W innym kącie sali sadowił się zwykle wysoki, otyły chłopak. Budował przed sobą prawdziwą barykadę z kanapek, ciastek, filiżanek, talerzyków, a potem przez kolejne minuty wrzucał w siebie wszystko, co zdołał chwycić. Co chwilę poprawiał spadające mu na czoło tłuste włosy. Raz poparzył się kawą i zaklął szpetnie, czym zwrócił na siebie uwagę siedzących dookoła ludzi. Przeprosił i wrócił do jedzenia. Piotr już gdzieś słyszał podobny akcent. Chłopak musiał być z południa, być może z gór. Zawsze wychodził z kantyny ostatni.

Byli jeszcze inni – szczebiocące, ubrane w zielone uniformy młode kobiety, które wpadały na szybką kawę i kawałek sernika. Poważni panowie w drogich garniturach, rozprawiający o czymś cicho w oparach mocnych herbat wzmocnionych becherovką. Dwóch, trzech innych samotników, którzy podobnie jak Piotr musieli przejść ten dziwaczny rodzaj kwarantanny, zanim dowiedzą się o prawdziwym celu swojego pobytu.

– Czy mógłbym usiąść obok? – usłyszał nad głową. Wzdrygnął się, gdyż pogrążony w obserwacji innych, na chwilę zapomniał o samym sobie. Zbyt łatwo pochłaniało go patrzenie.

Podniósł wzrok i zobaczył brodatego mężczyznę trzymającego w ręce filiżankę kawy. Uchwycił ją nieszczęśliwie i gorąca porcelana zaczęła chyba parzyć mu palce. Szybko postawił naczynie na krawędzi stolika.

– Pan wybaczy – zaczął melodyjnym, niskim głosem. – Musiałem gdzieś postawić tego potwora. Kawa z czterech łyżeczek. Wyobraża pan sobie? Cztery! Mój ojciec też takie mocne kawy pił, pije i pić będzie, jak wciąż powtarza. Trzyma się, staruszek.

Krzeseł, wyszarpięte spod stolika, zaskrzypiało pod ciężarem nieznanego.

– Anatol Brycki – przedstawił się i wyciągnął rękę. – Inicjały AB. Nie można się pomylić, prawda?

Piotr niechętnie uściśnął rękę mężczyzny. Bandaże na jego dłoniach rzadko nie wywoływały zaciekawienia i przyciągały niedyskretne spojrzenia.

Brycki również szerzej otworzył oczy, uścisk dłoni momentalnie osłabł.

– Przepraszam – zaczął niepewnie – nie wiedziałem, że jest pan pokaleczony. To boli? Wypadek?

Piotr westchnął.

– Tak, pewnego rodzaju wypadek – odpowiedział.

– Ale nie samobójstwo?

– Nie samobójstwo – odparł sucho.

– Tutaj to się stało? W tym miejscu? – dążył Brycki. – Oni panu to zrobili?

– Jacy „oni”?

– No, wojskowi – mężczyzna zaśmiał się cicho. – Kiedy wczoraj mnie tu wieźli, słyszałem, jak kierowca żalił się, że „wszędzie ci wojskowi wchodzą nam w drogę i doczekamy się jakiegoś pojedynku honorowego, bo jedni drugim nie chcą salutować. Nie wiadomo, kto jest czym podkomendnym”. Takie coś słyszałem. Potem się uciszyli, gdy się zorientowali, że wszystko słyszę.

– Wojsko... – powtórzył Piotr. – A ci drudzy?

– Właśnie, ciekawe, co to za drudzy. Nikt tu nie nosi żadnych mundurów. Wszędzie tylko pozamykane drzwi. Herby szlacheckie zamiast numerów. Wciąż ktoś wchodzi, wychodzi... Nikt nam niczego nie mówi. Nie ma żadnego radia ani gazet – tyknął chłodniejszej już teraz kawy. – Dziś miał ktoś do mnie przyjść i wszystko wyjaśnić, a dostałem tylko jakąś zieloną broszurkę z kilkoma dziwacznymi zdaniem. Zostawiłem ją na łóżku. Mam nadzieję, że nikt mnie teraz nie szuka w moim pokoju.

Piotr nawet takiego zapewnienia, nie mówiąc o żadnej broszurce, nie otrzymał. Dziewczyna, która przesłuchiwała go jeszcze w Antipolis, zemdląca. Chwilę później wstała z podłogi i podpisawszy dwa dokumenty, wyszła, zostawiając go w towarzystwie dwóch mundurowych. Ci grzecznie zaprosili go do samochodu i... Dwa dni wypełnione szczelnie niczym. Śniadania, obiady, kolacje. Zdawkowe rozmowy z mijanymi osobami, które zwykle zatrzymywały się, by wzruszyć ramionami i pomaszzerować dalej.

– Do mnie jeszcze nikt nie przyszedł, a jestem tu już drugi dzień – powiedział, ale niepotrzebnie z żalem. – To trochę osobliwe miejsce.

– Osobliwe? – zaśmiał się znów Brycki. – To chyba nie najlepsze słowo. Jeszcze chwila, a zacznę podejrzewać, że to rodzaj wyjątkowego więzienia. Chociaż jak na więzienie mają tu zdecydowanie zbyt dobrą kawę.

– I za duży bałagan – odpowiedział Piotr.
Obaj się zaśmiali.

* * *

Sosnowski drugi raz w życiu trafił do Rdzenia. Uzyskawszy cały komplet różnego rodzaju przepustek, zjechał windą na najniższy

poziom Struktury i ruszył wąskim, jasnym korytarzem w kierunku drzwi. Nie musiał pukać. Czekano już tam na niego.

W niskim, owalnym pomieszczeniu ustawiono olbrzymie akwarium wypełnione jasnoblękitnym płynem. Unosiło się w nim ciało młodego mężczyzny. Napuchnięta twarz z aureolą czarnych włosów sprawiała wrażenie żywej. Mężczyzna ubrany był w jasny piaskowy mundur z kilkoma symbolami naszytymi na prawym mankiecie. Sosnowski nie znał podobnych insygniów. Dłonie i bosa stopy były pomarszczone. Oczy w pół przymknięte. Lekko rozchylone usta odsłaniały równe białe zęby.

Akwarium promieniowało delikatnym fluorescencyjnym blaskiem. Całe pomieszczenie było zatopione w błękitnym, falującym świetle. Sosnowski podszedł bliżej i dotknął chłodnej tafli grubego szkła.

– Fascynujące, prawda? – usłyszał znajomy głos. – Zawsze lubiłem mu się przyglądać. On jest taki spokojny. Gdyby nie te dziury w mundurze, można by pomyśleć, że się po prostu utopił.

Sosnowski się odwrócił. Za nim stał Rachanowski. Mimo swojego wieku i doświadczenia poczuł się onieśmielony, stając oko w oko z premierem.

– Przyjeżdżam tu czasem i patrzę na niego. Najgorsze jest to, że kojarzę go tylko z tymi wszystkimi nieszczęściami. Mam wrażenie, że innym przynosi ulgę jego obecność, tylko nie mnie.

– Proszę tak nie mówić, panie premierze – wszedł mu w słowo Sosnowski. – To niczyja wina, że tak się dzieje. A poza tym nie ma żadnych „innych”. Dostęp do niego ma tylko kilka osób w Koronie, więc...

Sosnowski wiedział, że premier ma skłonność do melancholii, która spadała na niego w rzadkich chwilach samotności, gdy nie zagłuszały jej hordey ministrów, wojskowych i różnej maści urzędników.

– Jestem już zmęczony – westchnął premier. – Cztery razy nagrywaliśmy dzisiaj tę cholerną przemowę do ludzi. Wciąż się myliłem. Jutro wszystko się zacznie. Ewakuacja miasta. Zabezpieczanie budynków. Wojsko na ulicach. Widzisz, wojna oszczędziła to miasto. Nie spadła nawet jedna dachówka, z okien nie wyleciała ani jedna szyba, a teraz musimy walczyć... Nie, nie

walczyć – musimy uciekać przed czymś, czego nie można pokonać, ominąć. Prawda, panie Sosnowski?

Sosnowski przełknął ślinę. Nie mógł skłamać.

– W ciągu najbliższego tygodnia w kwadracie, w którym leży Antipolis, pojawi się pęknięcie – odpowiedział głucho. – Sprawdzaliśmy to już kilkanaście razy. Im bliżej przypuszczalnej daty, tym wykresy są wyraźniejsze. A nasz gość zaczyna wykazywać aktywność. Nie może być mowy o pomyłce. On się budzi.

Sosnowski dokładnie pamiętał, kto pierwszy wpadł na pomysł, by to ciało sprowadzić do budynku Struktury. To sam profesor Pióro, legenda polskiej archeologii, przekonał wszystkich, że mają do czynienia z artefaktem, z nie-człowiekiem, który może stać się przedmiotem wielodyscyplinarnych badań. To była oficjalna wersja. Sosnowski znał tę mniej oficjalną – rząd dał się skusić pewnymi konkretnymi perspektywami wykorzystania ciała.

Historia jednak zaczęła się pod koniec pierwszej fazy wojny światowej, gdy najwięcej ofiar pochłaniała szalejąca po obu stronach frontu grypa. Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy, Austriacy – wszyscy, bez względu na narodowość, padali pod ciosami potwornej gorączki, która w ciągu kilku godzin zamieniała zdrowego żołnierza w trzęsący się w malignie worek kości. I chociaż propaganda trąbiła, że „nasi żołnierze dzielnie walczą z chorobą, która dziesiątkuje przeciwnika”, wszystkie strony konfliktu musiały w końcu przyznać się do bezradności wobec wirusa. W ciągu tygodnia zginęło około siedemnastu tysięcy ludzi. Zawieszono broń, by służby medyczne mogły przyjrzeć się koszarnej epidemii.

Po obu stronach frontu badano, przy zachowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności, nieszczęśników w różnych stadiach choroby. Badano nawet martwych, próbując przyjrzeć się ewentualnej aktywności wirusa. Lekarze nie mieli wątpliwości – żaden ze znanych medykamentów nie mógł poradzić sobie z namnażającymi się wirusami. Jedyne ratunek widziano w odizolowaniu chorych i zachowaniu higieny, o którą ciężko było w przeoranej okopami Francji.

Sosnowski pamiętał, że ciało unoszące się teraz w błękitnym fluidzie trafiło do Polski spod Wallheim. Tam zaobserwowano stosunkowo łagodną odmianę grypy. Służby początkowo nie zwróciły

uwagi na mundur młodego, szczupłego bruneta, który leżał w leju po wybuchu pocisku artyleryjskiego. Mundur miał podziurawiony kulami, ale jego ciało nie zdradzało obecności najmniejszej nawet rany. Wrzucono jego zwłoki do ciężarówki, przedtem szczelnie zawinąwszy je w kilka warstw płótna.

Żołnierz nie miał dokumentów. Sierżant odbierający transport ciał nie zwrócił uwagi na kolejne niezidentyfikowane zwłoki, tym bardziej że zawinięte w całun nie różniły się od innych. Ciężarówka wjechała na teren szpitala wojskowego i kilka ciał zabrano na wózkach wprost do sali, gdzie czekali specjaliści przygotowani do pobierania materiału biologicznego. Gdy ciało ułożono na stole i pielęgniarz zabrał się do rozbierania martwego żołnierza, jeden z wojskowych lekarzy zapytał: „To nasz czy ich? Nie poznaję tego munduru”.

Wokół ciała szybko zebrało się konsylium próbujące rozwiązać tajemnicę oznaczeń na rękawach i kilku metalowych plakietek zdobiących pagony zmarłego. Nad ranem sprowadzono pułkownika Brodzkiego, który bez cienia wątpliwości orzekł, że mundur nie należy do żadnej z walczących stron konfliktu. Ba! Nie potrafił nawet ocenić, czy jakiegokolwiek wojsko świata takie barwy reprezentuje.

Odizolowano ciało, zamykając je w chłodni. Mundur zdjęto i poddano dalszym analizom, jednak nie wykazały one żadnych innych odbiegających od przyjętych norm odchyleń. Zwykły drelich. Drewniane guziki. Praktyczne i standardowe obszycia. Tylko nieznane dystynkcje, symbole, barwa. Z przodu trzy wlotowe dziury po kulach. Z tyłu dziur wylotowych brak. Brak śladów krwi.

Ciało nieznanego żołnierza nie nosiło żadnych, najmniejszych nawet uszkodzeń. W miejscach, gdzie powinny znajdować się rany, skóra była gładka i napięta. Czyżby żołnierz przebrał się w podziurawiony mundur? Czyj mundur? Zdecydowano się więc na otwarcie ciała, ale nie znaleziono niczego, co różniłoby je od anatomii każdego innego człowieka. Pytania mnożyły się, ale musiały ustąpić pod naporem pilnych badań nad o wiele bardziej konwencjonalną grypą.

Przypadek żołnierza, któremu nadano imię Caspar, trzeba było odłożyć. I najprawdopodobniej Caspar zostałby jeszcze jedną anomalią, egzotycznym wykwitem, gdyby nie fakt, że ciało zaczęło odzyskiwać ciepło, nie było żadnego pośmiertnego stężenia, a ślady

po sekcyjnych cięciach zniknęły. Wystarczyło dotknąć dłoni żołnierza, by przekonać się, że promieniuje ona delikatnym ciepłem. Łagodną aurą.

Caspar nie oddychał. Oczy nie reagowały na światło, były matowe i puste. Mijały miesiące. Grypa powoli zdawała się ustępować. Oficjalnie zakończono zawieszenie broni, więc walki wybuchły z dawną energią. Szpitale wypełniły się jękiem rannych, odgłosami piłowania amputowanych kończyn, krzykami cierpienia. Caspar został zatrzaśnięty w chłodni w piwnicach bocznego skrzydła Instytutu, gdzie jego ciało wciąż emitowało delikatne ciepło i nie podlegało żadnym regułom śmierci.

Wojna skończyła się i rozmowy pokojowe trwały w najlepsze. Weterani wracali do domów – jedni o własnych siłach, innych wieziono na wózkach inwalidzkich lub prowadzono oślepionych po gazowych atakach. Szpitale powoli wypełniały się cywilami, których choroby nie miały niczego wspólnego z wojną.

Przypadek chciał, że zaplanowaną reorganizację Instytutu (oderwanie go od Akademii Medycznej, a przy okazji wyjaśnienie kilku dość poważnych nadużyć finansowych) powierzono profesorowi Kurpiszowi, który zebrawszy grupę rzetelnych współpracowników, zaczął sondować, jak głęboko placówka ta jest pogrążona w zamęcie, bałaganie i niejasnych układach personalnych.

Wgląd w dokumentację medyczną i niezbyt czytelne zapisy w księgach rachunkowych – to była codzienność kontrolujących Instytut urzędników. Otwarto wszystkie drzwi, policzono każde prześcieradło, każde łóżko. Trafiono do pomieszczenia, w którym leżało ciało Caspara. Mimo panującej tam temperatury, która graniczyła z zerem, zwłoki wciąż były ciepłe.

Sprowadzono profesora Kurpisza, dla którego zagadkowe znalezisko było miłą odmianą po kilku tygodniach ślęczenia nad fatalnie prowadzoną dokumentacją medyczną szpitala. Od tego momentu sprawy potoczyły się błyskawicznie. Ciało, opisane jako „Przypadek C”, przewieziono do stolicy. Już w Antipolis pochylili się nad Casparem nie tylko lekarze, ale przede wszystkim ludzie ze Struktury, którzy zgodnie stwierdzili, że Caspar nie jest człowiekiem. Mimo wszelkich pozorów nie należy do ludzkiej rasy. Wyczuleni na

wszelkie emanacje ducha, ludzie Struktury nie mylili się w swoich diagnozach.

Ciało Caspara wywieziono za miasto i w podziemiach potężnego krynieckiego pałacu zanurzono we fluidzie blokującym jego ewentualny rozkład. Rozkład, którego nikt się raczej nie spodziewał.

– I tak na niego patrzymy – podjął po chwili milczenia premier. – Może w końcu dowiemy się, kim lub czym jest.

– Na razie nie umiemy niczego powiedzieć na pewno – odparł Sosnowski. – To teoria profesora Pióry, że zbliżający się Zenit należy łączyć z Casparem.

– A nie należy?

Sosnowski wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Na górze – podniósł palec, chcąc przypomnieć o kilku poziomach piętrzących się nad nimi – mamy około trzydziestu ludzi, których Zenit zamienił w chodzące bomby. Nie umiemy ich rozbroić. Musimy ich nauczyć żyć z tym czymś, co mają. Żyć po naszej stronie. Może Caspar jest jednym z nich i tylko dużo wcześniej został aktywowany? W czasie Wielkiej Wojny? Tylko że to by nie tłumaczyło tego munduru.

– A jak pan myśli? – zapytał premier. – Mamy około trzydziestu ludzi, a ilu z nich jest na zewnątrz? Ilu nie zdążyliśmy przechwycić?

– Tego nikt nie wie. Nasze sita były dość szczelne. I o ile wierzyć analitykom Struktury, wpływ Zenitu jest ograniczony. Nie obejmuje nawet całej Korony. Nasz świat zostanie tylko draśnięty. Najboleśniej tam, gdzie nastąpi przebicie. Na nieszczęście na drodze przebicia jest miasto...

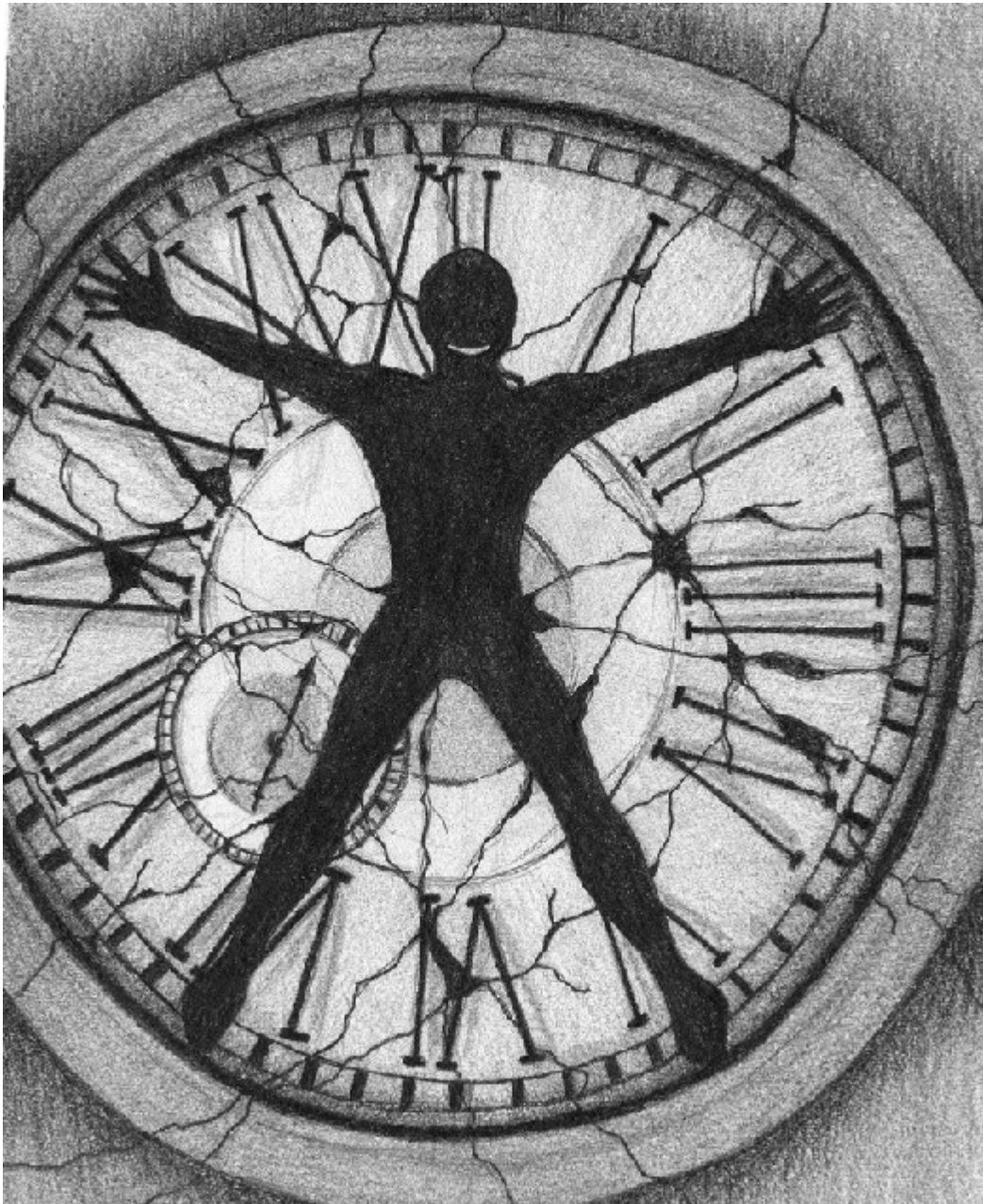
Premier westchnął.

– Nie musi mi pan tego przypominać. Wracamy na górę? Pan pierwszy, dobrze?

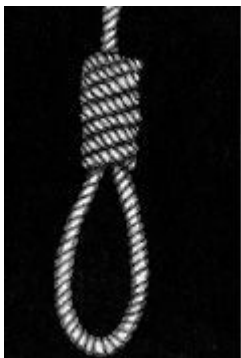
Za plecami wychodzących mężczyzn Caspar kolejny już raz zaciskał pięści. Powoli, w niemal niezauważalny sposób. Słyszał całą rozmowę. Zapamiętał każdą z rozmów, które od lat toczono wokół jego pojemnika. Zapamiętał też, jak się uśmiechać.

I teraz się uśmiechnął.

CZĘŚĆ TRZECIA



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Obudził mnie wstrząs. Otworzyłem oczy, jednak przestrzeń, w której się znajdowałem, pozbawiona była wyraźnych konturów, kształtów, barw. Jaśniejsza prostokątna plama z prawej strony była zapewne oknem, przez które sączył się mglisty poblask. Z lewej strony panowała szarość, różne jej odcienie; popielate bryły na kremowym tle ściany.

Podniosłem ręce, chciałem im się przyjrzeć. Dotknąłem twarzy. Palce miałem lodowate, a policzki porastał wielodniowy zarost. Paznokcie miałem za długie, choć zdumiewająco czyste.

Pokój był niewielki, ascetycznie wyposażony. Oprócz łóżka, na którym leżałem, znajdowała się w nim szafa, stolik nocny i krzesło. Obróciłem głowę, by spojrzeć przez okno, jednak wzrok znalazł tylko błękit czystego nieba i czubki nieruchomych drzew.

Cisza.

Zsunąłem z siebie lekką kołdrę, ta opadła bezgłośnie na podłogę. Miałem na sobie dwuczęściową szarą piżamę. Albo była na mnie za duża, albo leżąc tutaj, straciłem kilka kilogramów. Nie miałem zegarka, co wprowadziło mnie w znajomą, doskonale rozpoznawalną irytację. Tak, to byłem ja. Bez zegarka czułem się niemal jak żeglarz na środku morza, który stracił instrumenty nawigacyjne.

Uniosłem obolałe ciało i ostrożnie dotknąłem bosymi stopami zimnej podłogi. Zrobiłem parę kroków w stronę okna, podtrzymując opadające spodnie od piżamy. Nogi, odzwyczajone od wysiłku, drżały. Musiałem oprzeć się o metalową ramę łóżka, by nie stracić

równowagi. Byłem słabszy, niż myślałem. Kręciło mi się w głowie. Pokój zdawał się przechylać to na prawo, to na lewo. Wziętem głęboki oddech. Ocenilem odległość dzielącą mnie od okna na mniej więcej cztery kroki i rzuciłem się do przodu, by pokonać ten dystans za jednym zamachem.

Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy uczepiłem się kurczowo parapetu. Przyłożyłem czoło do lodowatej szyby, szukając za oknem jakichkolwiek punktów orientacyjnych, najdrobniejszych szczegółów, które pomogłyby mi ustalić, gdzie jestem.

Niestety, nawet z wysokości, na której się znajdowałem, nie widziałem nic oprócz rozległego parku, nieruchomych drzew, zieleni, liści niemal skamieniałych w bezwietrznej aurze. Niebo było błękitne, ciężkie, niczym zbyt niski strop.

Odwróciłem się. Pokój wydawał się teraz mniejszy. Podszedłem powoli do łóżka i schyliłem się, by podnieść kołdrę. Chwyciłem ją i zauważyłem granatowy stempel. Niewyraźne litery układały się w napis *SZPITAL WOJSKOWY*.

W tej samej chwili budynkiem znów szarpnął wstrząs. Głuchy, przypominający odgłos eksplozji pomruk wprowadził w drżenie szyby. I nagle pamięć przyniosła ponure wspomnienie wojny. Podobne detonacje, które przypominały odgłos ciężko stąpających, olbrzymich istot, wypełniały pola bitew w całej Europie. Haubice przerzucały się pociskami. Granatniki grzechotały, wypluwając śmiertelne kartacze. Siedziałem w okopie, półprzytomny ze strachu, nasłuchując zbliżających się i oddalających wybuchów. Moją głowę przeszywał pisk. Lodowaty dreszcz targał ciałem.

Musiałem wyjść z tego pokoju. Nie umiałem zebrać myśli. Niewiele pamiętałem. Musiałem liczyć na kolejne skojarzenia. Na przypadkowo chycone luźne strzępy przeszłości. „Co ja tu robię? W szpitalu wojskowym?”.

Drzwi na korytarz były otwarte. Wychyliłem się i zawołałem:

– Jest tu ktoś?!

Pusty, długi korytarz odpowiedział słabnącym echem. Ostrożnie stawiając kroki, ruszyłem przed siebie. Opierałem się o zimne, beżowe ściany. Mijałem inne pokoje, niektóre zatrzęsnięte, niektóre otwarte na oścież, umeblowane identycznie jak ten, w którym się obudziłem. Puste. Naliczyłem ich siedem. Doszedłszy do końca

korytarza, trafiłem na ciężkie, szerokie drzwi. Pchnąłem je i znalazłem się na klatce schodowej. Wąskie stopnie prowadziły tylko w dół. „A więc to ostatnie piętro”, pomyślałem.

Schodziłem, przytrzymując się gładkiej poręczy. Mdłe światło sączyło się z nielicznych świetlików. Ciszę znowu rozerwał dudniący, wprawiający budynek w wibrację odgłos. Odruchowo przywarłem do ściany, jakby instynkt ostrzegał mnie przed mogącym runąć sufitem. Posypały się białe płatki tynku.

Cisza.

O ile naprawdę znajdowałem się w szpitalu, był on pusty. Półmrok spowijał korytarze. Grube wykładziny pokrywała warstwa kurzu. Kilka razy przeszedłem obok tych samych nędznych akwareli, dwa razy musiałem zawrócić, bo trafiłem na ślepy zaułek. Nie miałem pojęcia, jak duży musi być budynek, po którym krążyłem, ale plan szpitala, który wisiał na ścianie, pomógł mi mniej więcej ustalić, gdzie jestem.

Główny hol, gdzie spodziewałem się znaleźć wyjście, był zaledwie za drugim zakrętem. Podciągnąłem wciąż opadające spodnie i ostrożnie ruszyłem środkiem korytarza.

Skręciwszy dwa razy w prawo, niespodziewanie znalazłem się w olbrzymim owalnym pomieszczeniu. Bursztynowa poświata sączyła się przez przeszklone sklepienie. W ciężkich donicach wiodły przerośnięte fikusy i palmy. Między nimi stało kilka szerokich ławek. „Oranżeria?”, przeszło mi przez myśl. „Na planie szpitala nie zaznaczono takiego miejsca”.

Chciałem odpocząć na ławce i zastanowić się nad możliwością wyjścia z tej absurdalnej sytuacji, gdy nagle zauważyłem ludzką postać. Ktoś siedział w głębi oranżerii. Widziałem tylko wyprostowane wąskie plecy. Ciemnobłękitny żakiet? Marynarkę? Jasne włosy sięgające do ramion.

– Dzień dobry! – krzyknąłem, ale nie doczekałem się najmniejszej reakcji. – Dzień dobry – powtórzyłem, tym razem słabiej.

Ruszyłem w kierunku siedzącej na ławce postaci. Uświadomiwszy sobie, że moim jedynym ubraniem jest za duża brzydka piżama, zawstydzilem się, jednak nie mogło mnie to

powstrzymać przed podejściem do kogoś, kto być może znał drogę na zewnątrz.

– Nie mogę znaleźć wyjścia z tego budynku, może więc... – zacząłem tłumaczyć swoje niecodzienne położenie; mój głos drżał, a podniesiony wydawał się należeć do kogoś innego – to miejsce jest puste. Chyba puste.

Obszedłem kilka donic z usychającymi roślinami. Pożółkłe, grube liście tworzyły wokół nich przygnębiające aureole. Znajdowałem się kilka metrów od nieruchomej postaci. Z tej odległości nie miałem wątpliwości, że to kobieta. Wiotka blondynka wpatrzona w plątaninę krzyżujących się ze sobą kłaczy. Nieruchoma, jakby pozowała niewidzialnemu portreciście. Zaniepokoił mnie ten bezruch. Głucha cisza, w której zatonęły moje nieudolne próby nawiązania kontaktu.

Nagle poczułem chłód. Powietrze drgnęło, jakby trącone niewidzialnym wachlarzem. Kobieta nieznacznie wyprostowała ramiona i powoli odwróciła głowę w moją stronę. Zobaczyłem prosty nos, wąskie usta, ostry podbródek. Oczy półprzymknięte, błękitne. Delikatnie wygięte łuki brwi.

Bogowie... To Wanda!

Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem, tak jak patrzy się przez szybę, za którą rozpościera się nudny krajobraz. Jednym mechanicznym ruchem zdjęła apaszkę i odstoniła szyję. Nienaturalnie bladą skórę żłobiła brunatna pręga.

– To twoje dzieło – powiedziała, nie otwierając ust.

* * *

– On się obudził! – dotarł do mnie kobiecy krzyk, który po chwili powtórzył się gdzieś w głębi, z oddali. – On się obudził! Szybko, zawołajcie ją!

Otworzyłem oczy. Pokój był ciemny, jakby powleczony koronkową woalką. Nie umiałem ocenić jego wielkości. Okno było zasłonięte ciężkimi, bordowymi kotarami, zza których (jak mi się wydawało) sączył się ostry blask. Pościel, w której leżałem, była delikatna. Łóżko szerokie i miękkie. Podniosłem się, by rozejrzeć się wokół, gdy do środka wbiegły dwie kobiety.

Pierwsza najprawdopodobniej nosiła jakiś rodzaj munduru. Być może był to pielęgniarski uniform skrojony według wzoru, którego nie

znałem. Być może wojskowy. Zielona bluza zapięta była pod samą szyję. Krótki rękaw obszyto srebrną nicią. Spódnica kończyła się tuż za kolanami. Właścicielka tego stroju była niezbyt urodziwą kobietą, której pierwsza młodość zdążyła już dawno wybrzmieć. Włosy upięła w szary kok, na odsłoniętej szyi pobłyskiwał srebrny łańcuszek.

– Widzisz! Widzisz! Już nie śpi.

Słowa te kierowała do dużo młodszej, niższej, wiotkiej brunetki, która podbiegła do mojego łóżka, bezceremonialnie na nim usiadła i chwyciła mnie za rękę. Jej dotyk był zimny.

– Jak się pan czuje? – zapytała w taki sposób, jakby znała już odpowiedź i czekała tylko, bym ją potwierdził. Musiałem zebrać myśli.

– Dobrze, chyba dobrze – wymamrotałem. – Miałem dziwne sny. Chyba krzyczałem. Krzyczałem?

Starsza kobieta kiwnęła głową. Wciąż stała w progu, uważnie mi się przypatrując.

– Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Spróbowałem się podnieść. Niezgrabnie wyciągnąłem poduszki spod głowy, oparłem je o wysokie wezglowie i usiadłem. Pokój zawirował, ściany straciły pion, ale po chwili wszystko wróciło do swojego naturalnego położenia.

– Co się stało? – zapytałem ponownie. – Co się ze mną stało?

Dziewczyna wstała. Podeszła do okna i jednym zdecydowanym ruchem pociągnęła za sznur ukryty w fałdach zasłony. Światło, białe niczym rozgrzane żelazo, zalało pokój. Odwróciłem głowę. Zacisnąłem oczy.

– Co pani robi?! To światło... – krzyknąłem. – Jest za jasno! Proszę zasłonić!

Dziewczyna parsknęła śmiechem, w którym słychać było z trudem maskowaną złośliwość. Przedfilowała przez pokój. Zatrzymała się obok szafy, otworzyła ją.

– Tu są pańskie ubrania, panie Tomaszu. I niech się pan przyzwyczaja do światła. Spał pan prawie dwa tygodnie. Proponuję powoli wstać, ubrać się, ogolić. Wtedy spotkamy się w pokoju piętro niżej. Na końcu korytarza. W prawo. Muszę już iść.

– Chwileczkę – poderwałem się z łóżka; nie mogłem znaleźć słów, zlepić ich w jakąś dłuższą konstrukcję, którą wyraziłbym

wszystkie wątpliwości, jakie zaczynały we mnie nabrzmiewać. – Co się ze mną działo? Kim pani jest?

Dziewczyna odwróciła się w moją stronę. Dopiero teraz zauważyłem jej drapieżną urodę. Zadarty nos. Czarne włosy sięgające do ramion. Grzywkę zasłaniającą czoło. Nie była ładna. Miała w sobie coś odpychającego, chłodnego, co natychmiast zbudowało pomiędzy nami dystans. Jej panowanie nad sytuacją. Moja dezorientacja. Role zostały przydzielone.

– Powtarzam panu. Nie mam teraz czasu na dłuższe rozmowy, a pan powinien doprowadzić się do porządku. Poza tym nie mam w zwyczaju rozmawiać z nieznanym mężczyzną w piżamie.

Odwróciła się i wymaszerowała z pokoju. Kobieta w zielonym uniformie popatrzyła na mnie pobłażliwie. W jej oczach przez chwilę zagościło współczucie, ale szybko splukał je oficjalny ton:

– Pana ubrania zostały uprane i wyprasowane. Proszę się ubrać. Ja wyjdę z pokoju, ale poczekam na korytarzu. Gdyby się pan źle czuł, proszę wołać. Rozumie pan?

Kiwnąłem głową. Kobieta wyszła. Zostałem sam, siedząc w rozbebeszonym, przepoconym łóżku, które wciąż parowało wielodniowym, niezdrowym snem. Podniosłem się z trudem, by wyciągnąć z szafy znajome ubrania. Marynarka. Spodnie. Buty...

Nagle szarpnął mną skurcz. Przytrzymałem się otwartych drzwi szafy, by się nie przewrócić. Wrócił obraz schodów, po których się wspinałem, aby spotkać się z Blanką i jej ojcem. Tamta kamienica, słoneczne popołudnie, plany na wieczór. Kiedy to było? Co się wtedy stało? Prawa dłoń zaczęła drżeć. Nie mogłem zapiąć koszuli. Bolesnie znajome dławiące uczucie bezradności otworzyło się we mnie jak parasol. Nie mogłem złapać oddechu. Zrobiło mi się gorąco w dziwaczny, obezwładniający sposób. Kolana ugięły się pode mną, jakby nie wzmacniała ich żadna konstrukcja mięśniowa.

Hałas natychmiast sprowadził pilnującą mojego pokoju kobietę. Bez słowa podbiegła do mnie, podniosła i prowadząc pod rękę, usadowiła na brzegu łóżka.

– Myślałam, że jest pan cięższy – powiedziała, poprawiając bluzę. Nie byłem pewny, czy jej uwaga miała mnie dotknąć, czy wyrażała w jakiś osobliwy sposób troskę. – Dlaczego pan mnie nie zawołał? Przecież prosiłam – dokończyła twardo.

Nie, jednak żadnej ponadregulaminowej troski.

– Gdzie ja jestem? – zapytałem, chociaż miałem przeczucie, że niczego się od niej nie dowiem. Kobieta zacisnęła usta, które utworzyły bladoróżową kreskę.

– Nie wiem, na ile poważny jest pana stan, więc nie wiem, ile mogę panu zdradzić. To wie tylko ta kobieta, która do pana przyszła. Gdy poczuje się pan lepiej, zaprowadzę pana na dół do jej pokoju. Między innymi ona jest tu odpowiedzialna za takich pacjentów jak pan.

– Pacjentów? – mój głos był nieprzyjemnie wysoki; przełknąłem ślinę. – To jest szpital? Sanatorium? Jestem chory?

Kobieta spojrzała w stronę drzwi. Wyczułem, że chce jak najszybciej skończyć rozmowę. Zrobiła dwa kroki w kierunku wyjścia i powiedziała:

– Ona panu wszystko wytłumaczy.

– Ona, ona – powtórzyłem złośliwie. – Ona ma chociaż jakieś imię?

– Nadja.

* * *

Od dobrego kwadransa czekałem na Nadję w jej pokoju. Byłem ubrany i ogolony brzytwą, którą znalazłem w malutkiej łazience na korytarzu. Podano mi kawę, zbyt słabą jak na moje przyzwyczajenia, i zapomniano o mnie. Kilka razy ktoś wchodził do tego gabinetu, w którym na podłodze piętrzyły się opasłe papierowe teczki i pudła pełne książek i zeszytów. Stojące pod ścianą dwie olbrzymie szafy aż prosiły się, by wypełnić je dokumentami. W międzyczasie ktoś przyniósł i postawił na prostym biurku ciężką maszynę do pisania. Ktoś inny po chwili zabrał maszynę i spojrzał na mnie tak, jakbym był jego współnikiem w tym uczynku.

Myśli o rodzinie, która sprowadziła mnie do Antipolis, przyszły zdumiewająco późno. „Co się z nimi dzieje? Szukali mnie? Przecież podobno spałem dwa tygodnie, więc moja nieobecność musiała zostać zauważona. Szukali mnie czy uznali za ekscentryka, który pielęgnuje swoją niezależność do tego stopnia, że znika bez jednego słowa? Nie, to niemożliwe. Moje ubrania, książki, przedmioty osobiste musiały zostać w wynajmowanym mieszkaniu. Pewnie

nawet gazeta sprzed dwóch tygodni wciąż leży na stole obok niedopitej kawy”.

Co mogła pomyśleć rodzina o moim zniknięciu? Miałem wypadek? Zamordowano mnie? Uprawadzono? Przecież nikomu nie przyszłoby do głowy, że spotkało mnie to, co właśnie próbowałem sobie zracjonalizować.

Wstałem z fotela i podszedłem do okna. Gdy tylko zacząłem zastanawiać się, co wożą te olbrzymie ciężarówki, których cichy pomruk dochodził do moich uszu, usłyszałem, a może raczej wyczułem, jakiś ruch za plecami.

Ona tam już była. Siedziała za biurkiem i patrzyła na mnie tak, jakby bawiło ją moje zaskoczenie. Jakby planowała to wejście od dawna i tylko czekała na moment, gdy będzie mogła przyłapać mnie na niewadze. To jakaś chora gra, której reguł nie znałem.

Wróciłem na swoje miejsce, postanawiając, że nie odezwę się pierwszy. Założyłem nogę na nogę i wbiłem wzrok w siedzącą naprzeciwko mnie kobietę. Wciąż pozwalała, by delikatny uśmieszek podnosił kąciki jej ust. „Kpi ze mnie”, pomyślałem, gdy jej wzrok skrzyżował się z moim. Po kilku sekundach musiałem uciec wzrokiem gdzieś ponad nią, znaleźć jakiś szczegół na mapie wiszącej nad biurkiem, ustąpić przed siłą jej wzroku.

– Panie Tomaszu – odezwała się nagle; jej głos był łagodniejszy, pozbawiony formalnej oschłości. – Tyle się pan chciał ode mnie dowiedzieć, a teraz pan milczy?

Zdobyła się na cieplejszy uśmiech, który miał mnie zachęcić do podjęcia rozmowy.

– Gdzie ja jestem? – zapytałem w końcu.

– Dla pana to coś w rodzaju sanatorium. Dla mnie to miejsce pracy. Tymczasem powinno to panu wystarczyć.

– Sanatorium? To znaczy, że jestem chory? Coś mi się stało, tak?

Dziewczyna schyliła się i podniosła z ziemi torebkę. Wyciągnęła z niej papierośnicę.

– Nie przedstawiłam się – powiedziała, zapalając papierosa. – Proszę mi mówić Nadja. Imię wystarczy. Nie pracuje tutaj nikt inny o tym imieniu. Pytał pan, czy jest chory. Tego jeszcze nie wiem. Musi pan pozostać tu na pewnego rodzaju obserwacji.

– Jak długo?

– Spał pan niemal dwa tygodnie, ale nie był to zdrowy sen, więc musiałam pana wybudzić. Pamięta pan, co się panu śniło?

– Jakiś szpital. To zabawne, bo śniło mi się, że się obudziłem i szukałem drogi wyjścia. Budynek był pusty. Nigdzie nie było żadnych drzwi na zewnątrz. Znalazłem się w jakiejś oranżerii i tam... ktoś był. Przestraszyłem się i... się obudziłem. Chwilkę! Co to znaczy, że pani mnie wybudziła?

Nadja spojrzała na mnie badawczo. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nosem.

– Tam była pańska pierwsza żona, prawda? Ta, która się powiesiła, gdy był pan na wojnie, tak?

– Jak... Skąd pani wie? – słowa dziewczyny zaskoczyły mnie. Nikt oprócz moich rodziców i rodziców Wandy nie wiedział o samobójstwie.

– Pomogłam panu wyjść z letargu. Inaczej do końca życia by pan spał.

Przez dłuższą chwilę milczałem. Pustka, jaką hodowałem w sobie od śmierci mojej pierwszej żony, tryumfalnie rozlała się po moim wnętrzu.

– Miałem wypadek? Dlaczego nic nie pamiętam? – zapytałem, chcąc zmienić temat.

– Tak. Miał pan wypadek. Można tak powiedzieć.

Dziewczyna zaczęła rozglądać się, szukając czegoś na zawalonym papierami biurku. Kilka teczek spadło na podłogę. Nadja zaklęła pod nosem. Gdy chciałem schylić się po leżące papiery, powstrzymała mnie ruchem ręki.

– Niech leżą. I tak muszę tu zrobić porządek.

Wsunęła dłoń pomiędzy chybotliwe stosy dokumentów i powoli wyciągnęła popielniczkę.

– Jest! – oznajmiła i zdusiła w niej wypalonego do połowy papierosa.

– Mam w Antipolis rodzinę. Daleką, ale być może należy ich poinformować. Na pewno mnie szukali.

Twarz Nadji pociemniała. Zmarszczyła czoło, przez które przetoczyła się chmura.

– Powiem to panu najdelikatniej jak mogę. Miasto, jakie znamy, za dwa dni przestanie istnieć.

* * *

Nie mogłem jej zrozumieć. Słowa dudniły we mnie przez chwilę, której długości nie byłem w stanie ocenić. Odbijały się w moim wnętrzu jak kamienie wrzucane do gardła pustej studni. Wiedziałem, że nie żartuje. Jej oczy zwęziły się, brwi zmarszczyły. W pokoju jakby pociemniało.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – odezwałem się w końcu.
– Wybuchła wojna? Tak? Wojna?

Nadja wstała zza biurka i podała mi gazetę, którą wcześniej wyciągnęła z szuflady. „Trybuna Antipolis” krzyczała na swojej stronie tytułowej: *UWAGA, MIESZKAŃCY MIASTA!!!* Tekst brzmiał jak rodzaj ponurego, sztubackiego żartu. Owoc smoliście czarnego humoru. Jednak przeczyły temu podpisy premiera oraz prezydenta stolicy. Na drugiej i trzeciej stronie dziennika precyzyjnie rozpisano poszczególne etapy ewakuacji, która miała odbywać się w trzech etapach i pozwolić wydostać się z miasta prawie milionowej rzeszy mieszkańców.

– Proszę to zabrać – złożyłem gazetę i oddałem ją dziewczynie – i powiedz mi, co się tutaj dzieje. Ja nic nie rozumiem. To jest jakiś test psychologiczny? Czytałem o takich...

– Niestety, to nie jest żaden test – przerwała mi; w jej głosie nie było fałszu ani wyniosłości. – To prawda. To gazeta sprzed dwóch dni. Zostały nam dwa dni do Zenitu.

– Czego?

Nadja uśmiechnęła się przepaszająco.

– Tak to się fachowo nazywa. Zenit. Skoro już pan się tu znalazł, może jesteśmy panu winni parę wyjaśnień. Za dwa dni zostanie naruszona spójność naszego świata. Do naszej rzeczywistości włamie się inna, obca. Już kiedyś, ponad sto lat temu, zdarzyło się coś podobnego. Na pewno czytał pan o tym w podręcznikach historii.

– 1822 rok? O to chodzi?

Nadja zdobyła się na uśmiech. Siedziałem jak ogłuszony. W mojej głowie zaczęły tasować się obrazy, z którymi szamotałem się od dłuższego czasu. Jakieś strzępy, coraz wyraźniejsze, wydarzeń

sprzed wypadku. Dziewczyna, którą uczyłem, jej ojciec. Kamienica, w której mieszkali, schody. Sen o pierwszej żonie. To miejsce...

– Tak – odpowiedziała po chwili. – Tylko że wtedy wszystko przebiegło w miarę łagodnie. Straty przypominały takie po przejściu powodzi lub trzęsienia ziemi. Tym razem jednak wszystko wygląda poważniej. Nasze instrumenty potrafią dokładniej niż te sprzed stu lat określić miejsce perforacji.

– Niech zgadnę – przerwałem jej. – I wszystko skumuluje się w okolicach miasta, prawda?

Dziewczyna potwierdziła.

– Nie można tego zatrzymać, prawda?

– Nie można.

– W takim razie moja rodzina już jest pewnie daleko od miasta.

– Jeżeli zachowali zdrowy rozsądek, tak.

– Nie zostali powiadomieni o tym, gdzie jestem – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Nie wiedzieliśmy, że ma pan tutaj rodzinę. Zabraliśmy pana do naszego szpitala, razem zresztą z tą nieszczęsną dziewczyną, a potem musieliśmy was tutaj ewakuować. Nie podlegaliście typowym procedurom medycznym.

– Ale co pani ma na myśli?! Jakim znowu procedurom? O czym pani mówi?

Nadja nabrała powietrza.

– Muszę to panu w końcu powiedzieć, więc miejmy to już za sobą. Ta dziewczyna, do której pan szedł, była zakładniczką rosyjskiego szpiega. Przypadek sprawił, że znalazł się pan w tej kamienicy, gdy nasi ludzie akurat chcieli aresztować Wieriesiołowa. Ten strzelił sobie w łeb, a Blanka wpadła w szal. Dlatego pan zemdłał. Miał pan sporo szczęścia. Policjanci zginęli na miejscu.

– Ona ich zabiła?

– Nie. Oni po prostu przestali żyć. Ustały ich życiowe funkcje.

– No ale jak to? Przecież...

– Blanka wraz z pewną grupą ludzi inaczej reagują na Zenit. Budzą się w nich nowe... umiejętności. Tak to nazwijmy.

– No ale co ja tutaj robię? – zapytałem. – Rozumiem, chodzi o dziewczynę, która zabija na odległość. Ale po co mnie tutaj trzymacie?

- Obserwowałem pana, gdy leżał pan w śpiączce. Pan też ma fach w rękach.
- Czyli...
- Może być z pana niezły rzemieślnik. Tymczasem jest pan czeladnikiem.
- Przepraszam, jestem bardzo głodny...

* * *

Zaprowadzono mnie do czegoś w rodzaju kantyny, gdzie usiadłem za kwadratowym stołem i posłusznie czekałem na swój pierwszy posiłek. Kawa, którą zalałem pusty żołądek, nie była dobrym pomysłem. Położyłem dłonie na krawędzi stołu i zacząłem im się przypatrywać. „Pan też ma fach w rękach”, powtórzyłem w myślach słowa dziewczyny, która wręczywszy mi gęsto zapisaną broszurę, wyprowadziła mnie za drzwi swojego gabinetu i poleciła zaprowadzić na spóźnione śniadanie.

Wylądowały przede mną dwie grubo posmarowane masłem i miodem pajdy chleba. Chwyciłem jedną z nich i wgryzłem się w czerstwe, ale wciąż dobrze smakujące pieczywo. Przyjrzałem się broszurze. Jej jasnozielony kolor uspokajał, zmuszał, by powiedzieć samemu sobie kilka pocieszających słów, nawet jeśli okazałyby się tanim chwytem psychologicznym.

Jeżeli czytasz te słowa, oznacza to, że znalazłeś się wśród członków Struktury. Kolor zielony sygnalizuje Tobie i nam, że Twoja obecność jest tutaj pożądana. Struktura jest bronią, którą posługuje się Korona w wyjątkowych okolicznościach. Zostałeś więc zwerbowany, by służyć Państwu, bronić obywateli oraz granic Kraju.

Dokument w kolorze zielonym ma tylko charakter informacyjny. Nie stanowi przepustki do zamkniętych przed Tobą sekcji. Nie reguluje Twoich powinności i praw wobec Struktury.

Dalsze informacje dotyczące szkolenia oraz procedury awansu otrzymasz w swoim czasie od kompetentnej osoby.

– Pan też to teraz dostał? – usłyszałem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem lekko otyłego młodego chłopaka. Był ode mnie wyższy, tłuste ciemne włosy spadały mu na czoło, a ostre, przeszywające

spojrzenie jasnych błękitnych oczu kazało domyślać się czającego się w nich intelektu.

– Tak, dostałem i nie wiem, co z tym zrobić – odpowiedziałem. – Przeczytałem to już z dziesięć razy, ale wciąż nie mam pojęcia, co ja tu robię. Gdzie jestem. A właściwie gdzie jesteśmy, bo podejrzewam, że znaleźliśmy się w podobnej sytuacji.

Chłopak usiadł naprzeciwko mnie i bezceremonialnie wyciągnął rękę.

– Edward albo Edek. Pasuje tak i tak.

Uścisnąłem jego spoconą, wielką dłoń.

– Tomasz.

– Od kiedy tu jesteś?

– Nie wiem. Naprawdę. Dziś rano się obudziłem, a podobno trochę spałem. Nie wiem, ile czasu.

Mój rozmówca odgarnął włosy z czoła.

– A więc wiesz jeszcze mniej niż ja. Oni tu mają urwanie głowy teraz. Mówili ci, że trwa ewakuacja miasta?

– Tak – rzuciłem ponuro. – Aż nie chce się wierzyć.

– Mówię ci. Dobrze, że tu jesteśmy. Tam musi być piekło. Wyobrażasz sobie? Kilkaset tysięcy ludzi w kilka dni? Tymi kilkoma wylotowymi ulicami? I ta garstka policjantów pilnujących, by nikt nie rozkradł ludziom dobytku? Mówię ci, tu jest lepiej.

– A twoja rodzina? Zdążą uciec z miasta?

Edward zaśmiał się serdecznie.

– Ja nie jestem stąd. Będę tu tylko studiował, jeśli cokolwiek zostanie z miasta. Weterynarzem chcę być. Przyjechałem rozejrzeć się za stacją do wynajęcia jesienią, a tu podchodzą do mnie jacyś dwaj ubrani na czarno faceci. Pokazują legitymacje i proszą do samochodu. No i w ten sposób trafiłem tutaj.

– Ale dlaczego? No przecież... – wciąż nie rozumiałem.

Edward wstał. Jego olbrzymia postać wypełniła całe moje pole widzenia. Schylił się, chwycił krzesło, na którym siedziałem, i jednym szybkim ruchem podniósł je w górę. Nie miałem czasu zareagować. Chwyciłem się kurczowo oparcia, a tymczasem moja głowa niemal dotykała niskiego sufitu pomieszczenia.

O dziwo, na siedzących w kantine ludziach ten pokaz nie zrobił najmniejszego wrażenia. Podejrzewałem, że większą atrakcją byłby

dla nich mój spektakularny upadek na brudną podłogę niż popis siły Edwarda.

– Znowu to samo?! – zawołała zza kontuaru kelnerka. – Puść go pan na ziemię, bo sobie guza nabije jak ten poprzednio. No dalej! Panie Edwardzie!

Krzesełko wraz ze mną delikatnie sfrunęło na dół, a ja dłuższą chwilę musiałem głęboko oddychać, by uspokoić nerwy. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Edward już tłumaczył się ze swojego popisowego numeru.

– Od dwóch miesięcy tak mam. Jakoś pod koniec wiosny wchodzę do stajni mojego wujka, a tam jeden z koni spaceruje sobie między boksami. Widać fornał nie zasunął blokady lub sama się wyrobiła, bo zwierzę wylazło. Koni jakoś nigdy nie lubiłem, a już tego czarnego w szczególności, ale jeździć umiem, bo to rodzinna tradycja. Chcę podejść do konia i wprowadzić go do boksu. A ten jak nie zacznie wierzgać! Kopyta w górę i na mnie. No to, myślę sobie, strąca mnie. Wpadł na mnie, zanim zdążyłem otworzyć inny boks i się schować. Wpadł i, nie uwierzysz, odbił się ode mnie. Jakby z drzewem chciał się spróbować. Na grzbiet się przewalił, pomłócił kopytami w powietrzu, odwrócił się na bok, wstał i wypadł jak strzała ze stajni. A ja stoję, drapię się po łbie i myślę: co to było, przyjacielu? Co to było?

ROZDZIAŁ JEDENASTY



Komisarz Śnieg nie miał wątpliwości, że bogini przypadku, Tyche, której wizerunki jeszcze zdobiły co starsze kamienice w Antipolis, musiała mieć wyjątkowo zły dzień, skoro zrobiła wszystko, by stary policjant wypatrujący już emerytury znalazł się z powrotem w mieście, którego ewakuacja wczoraj się skończyła.

„Poległych w boju czczą bogowie i ludzie”. Karta z talii Heraklita nie brzmiała tym razem zbyt optymistycznie. „Chwała poległym, tak”, zamyślił się, przypominając sobie wszystkich tych, których znał, a których potem przygarnęła litościwa ziemia lub pochłonął cierpliwy ogień stosów pogrzebowych. Tak, czczono ich pamięć, przyznawano pośmiertnie odznaczenia, choć sami polegli żadnej pociechy z tego już nie mieli. Wsunął kartę w sfatygowaną talię, przetasował całość i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Z drugiego piętra budynku lotniska miał dobry widok. Przez uchylone okno patrzył w stronę miasta, które teoretycznie powinno być już puste. Tutaj, na wyłączonym z publicznych punktów ewakuacyjnych lotnisku, panował względny spokój. Kilkunastu dyplomatów tłoczyło się wokół dwóch olbrzymich sterowców, które za chwilę miały poderwać swe obłe cielska i unieść się w powietrze. Grube stalowe liny przytrzymywały potężne konstrukcje, zdenerwowana obsługa lotniska krążyła wokół, szukając jakiegoś zajęcia. Niebo przytłaczało swoją błękitną, pozbawioną chmur kopułą. Wisiało jakby niżej, na wyciągnięcie ręki, która w ten błękit

mogła się zanurzyć. Powietrze było nieruchome jak ściana. Głosy, nawoływania, komendy z trudem się przez nie przeciskały.

Obok Śniega znalazł się Forst. Niewysoki, drobny człowieczek palił cienkie cygaro, leniwie wypuszczając dym przez wpół otwarte usta. Był młodszy od Śniega, ale głębokie zakola i siwiejące włosy postarzały go. Przez dłuższą chwilę stali obok siebie, milcząc, tak jak robią to mężczyźni, którzy wiedzą, że i tak trzeba będzie w końcu się do siebie odezwać.

– Pamięta pan nasze ostatnie spotkanie, prawda? – zapytał Forst.

– Pamiętam – odparł komisarz. – Pamiętam, że obiecał pan nie nadużywać swoich wpływów. Ściągnął mnie pan tutaj, mimo że...

Forst nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie, nie – pokiwał palcem. – Niczego takiego panu nie obiecywałem. Pamiętam, że mam wobec pana dług wdzięczności, i moja dzisiejsza prośba dług ów na pewno powiększy.

Policjant westchnął. Kontrwywiad miał nieograniczone możliwości wchodzenia w kompetencje wszystkich możliwych służb, z czego nader często i chętnie korzystał. Sieć wszelkich uprawnień, hierarchii rwała się, gdy zjawiał się ktoś taki jak Forst. Nie sposób odmówić w chwili, gdy oznacza to zdradę i kończy się sądem wojskowym. Przynajmniej teoretycznie.

– Czy naprawdę jestem panu aż tak potrzebny? Zaczynam podejrzewać, że celowo pan mnie...

– Dręczy, tak? – odpowiedział ze śmiechem Forst, zgniatając końcówkę cygara w popielniczce. – Nie. Pamięta pan sprawę Tcherniacka?

– Tego szpiega? Aresztowaliście go, prawda?

– Tak, ale już wymieniliśmy go na kilku naszych ludzi. Tcherniack jest teraz w Niemczech, jednak zostawił nam interesujący testament.

– Testament?

– Tak, doniesiono nam, że Tcherniacka znaleziono w jego berlińskim mieszkaniu. Otruł się. Podobno – przez twarz Forsta prześlizgnął się cień uśmiechu. – To, co zdążyliśmy z niego wydobyć, zwróciło naszą uwagę na innych pracowników ambasady niemieckiej.

Śnieg omiół wzrokiem płytę lotniska. Ubrani na czarno urzędnicy z niemieckiej ambasady zgromadzili się w cieniu jednego ze sterowców. Każdy z nich trzymał ciężką skórzaną teczkę, zapewne wypchaną dokumentami, których nie wolno im było zniszczyć. Dwóch z nich dyskutowało o czymś zawzięcie, wachlując się ściągniętymi z głów kapeluszami. Pozostali w milczeniu palili papierosy, co jakiś czas podnosząc wzrok na niebo.

– To dyplomaci – powiedział Śnieg, skubiąc dolną wargę. – Policji nic do nich. Chcecie ich zatrzymać? Przecież mogą zasłonić się immunitetem dyplomatycznym. A właściwie dokąd oni lecą? Którym sterowcem?

– Ma po nich przylecieć niemiecka maszyna, naszym nie ufają. Polecą do Gdańska – odrzekł Forst. – I ma pan rację. Mogą zasłonić się immunitetem. No chyba że zostanie popełnione pospolite przestępstwo. Wtedy możemy zatrzymać podejrzanego na dwie doby. Tyle nam powinno wystarczyć.

Śnieg powoli zaczynał rozumieć, na czym będzie polegała jego rola.

– Mamy jeszcze chwilę. – Forst spojrzał na zegarek, a następnie sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyciągnął zadrukowaną kartkę papieru i podał ją policjantowi.

Komisarz przeczytał uważnie decyzję o tymczasowym aresztowaniu, podpisaną przez sędziego i prokuratora. Znał ich obu i domyślił się, że oni też zostali „poproszeni” przez kontrwywiad o współpracę.

– Gustaw von Treschkov. Podejrzany o potrącenie samochodem kobiety, skutkiem czego ofiara zmarła w szpitalu. Zdarzyło się to... – Śnieg kilka razy przeczytał sfabrykowany dokument. – A jeżeli będzie stawiać opór? Nie ma ze mną nikogo oprócz kierowcy.

Forst podszedł do okna i ruchem głowy wskazał pracowników obsługi lotniska snujących się wokół dwóch przygotowywanych do lotu sterowców.

– Przynajmniej połowa z nich to moi ludzie. Pan ma tylko podejść do Niemców. Wywołać von Treschkova i, jeżeli nie napotkamy żadnych przeszkód, przyprowadzić go tutaj. A to jest jego zdjęcie – dodał Forst, wyciągając z kieszeni czarno-białą fotografię przedstawiającą chudego bruneta w okularach.

Komisarz skinął głową, próbując zapamiętać tę nijaką, pozbawioną wyrazu twarz.

– Tak – zamyślił się i dodał po chwili – tak. I oczywiście nie będzie mi pan mógł powiedzieć, dlaczego akurat ten człowiek jest tak bardzo interesujący dla naszego wywiadu. Prawda?

Forst zaśmiał się sardonicznie i poklepał policjanta po plecach. Śnieg spał mięśnie. Odebrał ten gest jako protekcjonalny i niepotrzebny. Zacisnął zęby i skupił się na dokładnym złożeniu dokumentu. Zapomniał zapytać, co ma zrobić, gdy jednak napotka opór.

Liny cumujące zwolniono. Dwa sterowce cicho oderwały się od ziemi i powoli uniosły w kierunku błękitnego odmętu.

* * *

Gdy zeszli na płytę lotniska, Śnieg poczuł uderzenie gorąca od rozgrzanego betonu. Spojrzał w niebo, które zdawało się wisieć tylko na kilku cienkich jak pajęczyna nitkach; wyglądało, jakby lada chwila miało runąć, pociągając za sobą resztę kosmosu. Dwa cielska sterowców kołysały się nieznacznie, ich cienie dawały schronienie ludziom zmęczonym upałem. Komisarz objął jednym spojrzeniem całą przestrzeń i poklepał się po kieszeni marynarki, w której ciążył mu fałszywy nakaz aresztowania.

Śnieg liczył kroki dzielące go od grupki niemieckich dyplomatów. Pięć czarnych garniturów, pięć czarnych teczek z każdą chwilą rosło w jego oczach. Mimo że siedł w asyście dwóch ludzi Forsta, którzy mieli za zadanie udawać policjantów, Śnieg czuł się coraz mniej pewnie. Niemcy już go zauważyli. Przestali ze sobą rozmawiać, dwóch z nich odrzuciło na bok niedopalone papierosy, wszyscy stanęli frontem do zbliżających się mężczyzn. „Nie wygląda to dobrze”, pomyślał Śnieg, „wcale to dobrze nie wygląda”.

Przeszedł jeszcze kilka kroków i ze zdumieniem zauważył, że jego „obstawa” została w tyle. Żaden z policjantów nie opuściłby przełożonego w takim położeniu. Komisarzem szarpnęło złe przeczucie – zamiast nakazu zaczęła szukać pod marynarką wypukłości rewolweru.

Zatrzymał się dwa metry przed wpatrzonymi w niego dyplomatami i głośno, wyraźnie powiedział, nie patrząc na nikogo

konkretnego:

– Gustaw von Treschkov! – usłyszawszy swój głos, silny i dobrze postawiony, Śnieg odzyskał rezon. Wyciągnął z kieszeni dokument i rozłożył go przed sobą. – Komisarz Śnieg, policja kryminalna Antipolis. Mam nakaz pańskiego aresztowania. Proszę udać się ze mną!

Niemcy, do tej pory stojący nieruchomo, drgnęli jak jeden porażony prądem organizm. Śnieg wypatrzył ofiarę aresztowania, ale pierwszy zareagował zwalisty, potężny konsul von Mohl. Wystąpiwszy krok do przodu, chrząknął i odpowiedział:

– Komisarzu, nie ma pan prawa tknąć któregokolwiek z moich pracowników. Dobrze pan o tym wie. Dokument ten jest z pewnością sfałszowany przez pańskie służby lub kogoś, kogo pan reprezentuje.

Czysta polszczyzna konsula zdawała się ścierać na proch słowa policjanta.

– W przypadku przestępstw pospolitych... – zaczął, starając się tchnąć ducha w swoje słowa.

– Nie było żadnego przestępstwa pospolitego! – zagrzmiął konsul. – Trwa przecież ewakuacja! Nie zauważył pan?! Żaden z moich ludzi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin nie opuścił terenu ambasady. Nie było żadnego przestępstwa!

Śnieg poczuł spływający po plecach pot. Tępe, miażdżące wnętrzości poczucie klęski zaczęło mościć się w jego wnętrzu. Niemcy, wyraźnie pokrzepieni postawą swojego szefa, rozluźnili się i pozwolili sobie na kpiące uśmiešky pod adresem przedstawiciela polskiej policji. Von Treschkov, którego komisarz wypatrzył za plecami konsula, szturchnął łokciem stojącego obok kolegę, a ten zachichotał i powiedział coś cicho po niemiecku. Cała grupa wybuchła śmiechem.

– Proszę odejść, komisarzu – powiedział konsul, zarzucając nieco oficjalny ton. – Został pan upokorzony nie przez nas, ale przez tych, którzy pana tu przysłali.

Policjant odwrócił się, by znaleźć wsparcie w towarzyszących mu ludziach, ale ci najwidoczniej czekali na jego polecenia. Każda sekunda zawahania, wątpliwości przybliżyła Śniega do finalnej katastrofy. Głęboki, niedający się przewyciężyć opór nie pozwolił mu podjąć decyzji. Całą wiecznością zdawały się chwile, gdy tkwił

pomiędzy tryumfującymi Niemcami, zdezorientowanymi (i w sumie obojętnymi na wszystko) pomagierami i samym Forstem, który zapewne z wysokości drugiego piętra obserwował fiasko swojej niedopracowanej operacji.

Komisarz już miał cofnąć się i zejść z linii pogardliwych spojrzeń dyplomatów, gdy nagle jeden z nich krzyknął:

– Leci! – i wskazał na niebo, gdzie pysznił się srebrny niemiecki sterowiec Pieśń Renu Maszyna napędzana dwoma potężnymi silnikami spalinowymi pojawiła się właściwie znikąd. Tak jakby wstawiono ją nagle w błękitne tło nieba, a ona płynęła bezgłośnie. Wijące się granatowe pasy na bokach sterowca imitowały bystre fale rzeki. Obły kształt przypominający pękate cygaro powoli zbliżał się do portu dokującego, gdzie już czekała na niego obsługa gotowa opleść wsporniki stalowymi linami i unieruchomić Pieśń Renu.

Śnieg również podniósł wzrok, na sekundę zapominając o powierzonej mu misji. Zahipnotyzował go widok płynącego w przestworzach sterowca. Ta chwila wystarczyła, by sytuacja na lotnisku radykalnie się zmieniła. Kilku do tej pory leniwie krążących od hangaru do hangaru pracowników obsługi – ubranych w drelichowe kombinezony i umazanych smarem – otoczyło niemieckich dyplomatów. Całą piątkę zamknął zwarty pierścień mężczyzn, którzy już szykowali się, by wydobyć z kieszeni rewolwery. Konsul podniósł w odruchu obronnym rękę, ale szybko została ona odtrącona, a sam niemiecki urzędnik powalony na kolana.

– Spokojnie! Spokojnie! – Śnieg usłyszał głos biegnącego Forsta, który musiał powściągnąć wojownicze zapędy swoich ludzi. – Mamy kontrolę nad sytuacją. Spokojnie!

Podszedł do konsula, pomógł mu wstać i powiedział kilka słów po niemiecku. Odeszli kilka kroków i stanęli twarzą w twarz, by coś uzgodnić. Konsul gwałtownie protestował, gestykulując i unosząc głos. Ale Forst był nieugięty. Kilka razy wskazał palcem na von Treschkova. Ten skulił się w sobie, czując, że staje się przedmiotem jakiejś transakcji, której reguł nie rozumiał nikt poza rozmawiającymi mężczyznami.

Śnieg poczuł się nagle niepotrzebny. Zrozumiał, że jego udział w konfrontacji z niemieckimi dyplomatami był czymś w rodzaju planu A,

zamierzonej porażki. Klęska, którą instynktownie wyczuwał, była elementem większej gry, której jeszcze nie rozumiał. Nawet nie chciał jej rozumieć. To plan B miał perfekcyjnie zadziałać. Przynajmniej na to się zanosilo, gdy Forst i konsul uspokoili się i wydawali się uzgadniać koszty, jakie poniosą obie strony w związku z aresztowaniem von Treschkova. Sytuacja powoli się klarowała. Konsul spojrzal w stronę swojego człowieka. Jego wzrok wyrażal raczej zniechęcenie niż smutek związany z ustąpieniem Forstowi.

Ten ostatni kiwnął na swoich ludzi. Dwaj z nich podeszli do von Treschkova, chwycili go pod ręce i spokojnie odprowadzili na bok. Niemiec był tyleż zdezorientowany, co zrezygnowany. Najwidoczniej wyczuł, że został sprzedany, że pozostanie w rękach polskich służb, gdy tymczasem cały konsul bezpiecznie odleci w stronę Gdańska. Konsul von Mohl podszedł do swoich podwładnych i coś zaczął im tłumaczyć. Niemieckie słowa zafurkotały w powietrzu.

Von Treschkov oddalał się, eskortowany przez dwóch agentów kontrwywiadu. Forst podszedł do Śniega i poklepał go po ramieniu.

– Liczyliśmy się z tym, że trzeba będzie użyć perswazji, że...

– Zignorują polecenia polskiej policji, tak? – dodał komisarz, wciąż czując gorycz porażki. Wzbierał w nim żal, gęstniała agresja. – Po co pan mnie tutaj sprowadził?! – krzyknął. – Mógł pan ten teatrzyk urządzić beze mnie. Tkwimy w polu rażenia Zenitu. Wszystko może w każdej chwili...

Forst nagle drgnął, jakby przeszył go silny ból. Spojrzal w stronę miasta, nad którym coś się zaczynało dziać. Komisarz nie był pewien, czy upalny dzień nie kończy się właśnie burzą. Czysty, głęboki błękit zaczął zmieniać tonację, nasycenie. Wydawało się, że tkanina nieba nasiąka czymś ciemnym i gęstym. Że miasto pogrąża się w cieniu rozpiętej nad nim ciemności.

– Bogowie – jęknął Forst – zaczyna się. Zaczyna się! Mamy spóźnienie. Szybko, komisarzu.

Zdezorientowany Śnieg zdążył zauważyć tylko panikujących Niemców, którzy biegli w kierunku sterowca. Rozpaczliwie machając rękoma, dawali znać pilotom, by ci nie gasili silników maszyny. Ich drobne postacie zniknęły po chwili w czeluściach podwieszonych pod balonem luksusowej gondoli. Komisarz, pociągnięty przez Forsta za rękaw, biegł wraz z nim w stronę parkingu. Kolana,

nieprzyzwyczajone do intensywnego wysiłku, bolały go coraz bardziej, pot zalewał oczy. Lniana, nieco za ciasna marynarka krępowała ruchy.

– Co się dzieje? – zapytał Forsta, gdy wsiadł do samochodu. – Co się dzieje? Co z tym von Treschkovem? Forst!

Ten rzucił czekającemu za kierownicą szoferowi krótkie polecenie i samochód ruszył z piskiem opon, zarzucając tyłem. Forst nerwowo zerknął na zegarek.

– Za ile będziemy w Kryńcu?

– Jeśli będzie pusto na drodze, to za godzinę. Musimy jeszcze przejechać przez most. Musi być już wolny.

– Miejmy nadzieję, miejmy nadzieję... – zamruczał sam do siebie Forst.

Śnieg nerwowo się obejrzał. Niebo widziane przez tylną szybę samochodu coraz bardziej ciemniało.

– Do Kryńca zapewne nie dotrze fala Zenitu – powiedział z nadzieją, która miała zdławić kielkujący strach przed niewiadomych rozmiarów katastrofą. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Forsta.

– Czy w tych okolicznościach może mi pan powiedzieć, co się tutaj dzieje? Kim jest ten nieszczęsny von Treschkov?

– To saper.

– Nie rozumiem.

Forst westchnął.

– Trzeba panu wszystko tłumaczyć? – zapytał retorycznie bardziej sam siebie niż komisarza. Długo przeżuwał wątpliwości, mruczał do siebie, zdradzając większe zdenerwowanie, niż można było się spodziewać po tym na pozór chłodnym, wyrachowanym człowieku.

– Wie pan, czym jest Struktura? Wie pan. Wszyscy wiedzą. Tam jest teraz serce państwa. Premier i ministrowie siłowych resortów. Tam są nasi ludzie, artefakty... Wszyscy, którzy bronią Korony, mają tam tymczasową siedzibę. Oczywiście mówimy o pewnej ich reprezentacji. Bardzo szlachetnej. Tam pracują najzdolniejsi. Spotkał się pan z nimi na przykład na zebraniu, gdy po raz pierwszy pojawiła się zapowiedź Zenitu.

– Pamiętam, jak profesor Pióro o tym mówił.

– Wszystko zauważył Sosnowski. Specjalista interpretujący kalendarz brontoskopiczny. To on zaalarmował przełożonych. Natomiast sam Pióro to zdrajca. Od dwóch dni siedzi zamknięty w cytadeli na przedmieściach Wrocławia. Najprawdopodobniej czeka go egzekucja.

– Przecież on ma niemal osiemdziesiąt lat!

– Może mieć nawet sto, ale nie ominie go proces wojskowy o zdradę stanu. Widzę, że niczego pan nie rozumie. Wie pan, czym jest Rdzeń? Nie? I bardzo dobrze. Nikt poza kilkoma ludźmi w Koronie nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia. Rdzeń to ukryta część Struktury. To jej zasilanie. Silnik. Nasi ludzie korzystają z tego zasilania...

– Nie rozumiem. Co ma z tym wspólnego Pióro?

– Wszystko zaczęło się przed Wielką Wojną. Niemcy mieli szczęście. W ich przestrzeń życiową, ukochaną *Lebensraum*, wtargnęła nagle Manifestacja. Istota, nie-człowiek. I o ile nie ma w tym niczego dziwnego, choć obecnie coraz rzadziej się je spotyka, to zastanawiający był fakt, że Istota nie potrafiła wrócić, otworzyć przejścia w głąb swojej rzeczywistości. Niemcy wykorzystali ten fakt z typową dla nich pomysłowością. Nie wiemy, jak im się to udało, ale przekonali nie-człowieka, żeby z nimi współpracował. Włączono tego nie-człowieka do działań wojennych w czasie Wielkiej Wojny. Miał być niemiecką *Wunderwaffe*. Siłą zdolną zdewastować każdą rzeczywistość. Być może Istota zdradzała takie skłonności i należało ją tylko ukierunkować. Kto wie, jak potoczyłyby się wtedy losy wojny? Być może Niemcy narzuciliby swoją dominację całej Europie. Jednak Istota padła w czasie wielkiej epidemii grypy. Pamięta pan, prawda?

– Sam wtedy chorowałem. Cudem wywinąłem się śmierci.

– Istota zapadła w rodzaj katatonicznego uśpienia i przez kilka lat leżała w chłodni jednego z większych szpitali w naszym kraju. Nikt nie wiedział, kim jest ten tajemniczy żołnierz, który nie oddycha, nie wykazuje żadnych funkcji życiowych, ale jego ciało wciąż jest ciepłe. Pióro wpadł na ten trop zupełnie przypadkiem, a będąc już wcześniej na usługach swoich niemieckich mocodawców, uparł się, by ciało Istoty złożyć w szklanym sarkofagu w siedzibie Struktury. Profesor był nie tylko wybitnym archeologiem, ale również etatowym

pracownikiem Struktury. Specjalistą badającym perforacje naszej rzeczywistości. Niewielu oponowało, gdy Pióro forsował swoje pomysły.

– Ale dlaczego tak się upierał?

– Wiedział, że w pewnym momencie tamta strona upomni się o swoje dziecko. A przychodząc po zgubę, przy okazji zniszczy fragmenty naszego świata. To bardzo wysublimowana forma sabotażu. Ucząca cierpliwości. Pióro zainstalował swoją bombę w stolicy kraju i czekał spokojnie, aż pojawią się sygnały Zenitu.

– Nie można przenieść gdzieś tej Istoty? Przecież to chyba prostsze niż ewakuacja całego miasta lub budynku?

– Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wczoraj! Myśli pan, że Pióro nam o tym powiedział wcześniej? Musieliśmy podać mu atropinę, by wszystko wyjawiał.

– Czyli ta Istota sprowadzi tutaj inne? – podjął Śnieg.

– Najprawdopodobniej – przyznał Forst. – I nawet gdybyśmy próbowali wywieźć ją teraz, zaraz, wszystkie ruszą jej tropem. Zniszczenia będą jeszcze większe.

Komisarz mruknął coś do siebie. Musiał skorzystać z faktu, że Forst powoli wtajemnicza go w sprawy do tej pory przed nim zamknięte.

– A co z tym von Treschkovem? Do czego on jest tutaj potrzebny?

– Niemcy postarali się, by nie-człowiek się nie nudził, czekając na okazję do zaangażowania się po ich stronie w czasie Wielkiej Wojny. Spłodził kilkoro dzieci. Znamy losy przynajmniej niektórych z nich. Niemcy proponowali innym rządóm swoimi kanałami dyplomatycznymi, aby zainteresowały się tą hodowlą. Rosjanie zdobyli jedno dziecko, licząc na to, że w przyszłości pozwoli im ono otworzyć własną linię niezwykłych półludzi. Jednak wybuch rewolucji pokrzyżował plany naszych sąsiadów. Zresztą mamy tę dziewczynę. Ci idioci sami ją do nas przywieźli. Pamięta pan sprawę Wieriesiołowa?

– Tego szpiega? Popełnił samobójstwo, tak?

– Tak – przytaknął Forst – a jego „córka” okazała się dzieckiem niemieckiej Istoty.

– Po co ją tu przywieźli?

– Wiedzieli, że ciało jej ojca jest w Antipolis. Chcieli sprawdzić, co ta dziewczyna umie.

– No i?

– Istota ma wpływ na swoje potomstwo lub dzieci w następnych pokoleniach – Forst w zdumiewający sposób nie tracił cierpliwości. – Wszystko tkwi w krwi. Ludzkie dzieci Istot noszą w sobie potencjał, który uaktywnia się, gdy dochodzi do perforacji naszego świata przez tamten świat. To taki błysk rozpoznania. Zenit, który zbierał się od dłuższego czasu nad nami, obudził głęboko ukryte w krwi elementy pochodzenia, powiedzmy, boskiego. Nie-człowiek zamknięty w podziemiach Struktury jest od kilkunastu lat stałym źródłem zasilania dla naszych ludzi, którzy wykazują... specjalne zdolności. Ich umiejętności z czasem mogą zgasnąć, zblednąć, ale obecność Istoty gwarantuje ich utrzymanie na stałym wysokim poziomie. Rozumie pan?

– No ale von Treschkov? Co z nim?

– Von Treschkov to pierworodny syn Istoty. Najprawdopodobniej jako jedyne może powstrzymać swojego ojca przed atakiem furii, którego należy się spodziewać.

– I Niemcy tak po prostu nam go wydali? Czegoś nie rozumiem.

– Niemcy to idioci – uciął Forst.

„Tak”, pomyślał z sarkazmem Śnieg, „Rosjanie to idioci, Niemcy to idioci, ale to nam spadnie na głowy niebo”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



Banach śnił. Śnił o Strukturze, której pełnoprawnym pracownikiem miał zostać. Śnił o korytarzach, które rozwidlały się, tworząc sieć. Śnił o pokojach, gabinetach, zapleczu, pomieszczeniach gospodarczych. O miejscach, do których nigdy go nie wpuszczono. O schodach, windach, strychu, piwnicach...

Nie był to dobry sen. Z jednej z piwnic wygrzebał się ktoś, kto nosił dziwny, ociekający jasnoblękitnym płynem mundur. Szedł na czworakach, by po chwili podnieść się i ruszyć wolno, ociężale, przytrzymując się ścian. Tam, gdzie oparł dłonie, mur pękał. Boazeria trzeszczała i rwała się na drzazgi. Światło elektrycznych lamp mrugało, po czym gasło.

Wyraz twarzy idącego był niezmienny – puste, jakby rozmarzone oczy, wpatrzone gdzieś wyżej, w miejsce, gdzie sufit łączy się ze ścianą. Lekko rozchylone usta raz wyrażające zdumienie, raz przyjemność z wypełniania ciała nowymi siłami. Ciało, w którym kiełkują zawiązki energii zdolnej skruszyć wszystko. „Wygląda jak człowiek, ale to nie jest człowiek”, bardziej wyczuł niż wywnioskował Banach.

„On jeszcze nie zdaje sobie sprawy ze swojej siły”, pomyślał i nagle olśniło go, że pierwszy raz zdobył się na świadomą refleksję, widząc przyszłość. Wcześniej był tylko niemym, pozbawionym woli obserwatorem. Wizje go ogłuszały. Nawet te najbardziej konkretne pozwalały obserwować siebie tylko z perspektywy narzędzia,

któremu świadomość wraca dopiero wtedy, gdy sam wraca do teraźniejszości.

Tym razem było inaczej. Obserwował kogoś, kto dopiero wynurzy się z piwnic budynku i ruszy pustymi korytarzami, siejąc zniszczenie. Banach nie wiedział, z jakiej perspektywy patrzy na to wszystko. Stoi w drzwiach jednego z gabinetów? Najprawdopodobniej. Jest samym patrzeniem. Czystą obserwacją. Parą oczu wysłaną w przyszłość.

Istota zbliżała się, coraz pewniej czując się na nogach. Szła równym, spacerowym krokiem. Banach miał już dosyć. Widział za dużo. I pierwszy raz świadomie zapragnął wycofać się z wizji przyszłości. Uciec, czując obcą, wrogą mu obecność. Skoncentrował się, by zrzucić z siebie wizję. Zaciśnął powieki, by ocknąć się we własnym pokoju, a wtedy Istota spojrzała na niego.

Pozbawione wyrazu ciemne oczy nabrały głębi. Brwi zmarszczyły się, zdradzając napięcie. Twarz ściągnął grymas wściekłości. Istota jednym skokiem przez pół korytarza znalazła się tuż przy Banachu. Ten krzyknął i... znalazł się w swoim pokoju. Siedział na fotelu, tyłem do okna.

Serce nie chciało się uspokoić. Głębokie wdechy, głowa odchylona do tyłu, silnie uciskane skronie – nic nie pomagało Banachowi opanować drżącego ciała. Żadna z dręczących go od miesięcy wizji nie wytrąciła go w taki sposób z równowagi. Nawet rodzinne miasto, którego całe dzielnice rozsypywały się pod naporem nieznanymi sił, nie zrobiło na nim takiego wrażenia jak jedno spojrzenie w oczy pozbawione białek. Oczy Istoty tak obcej człowiekowi, tak od niego odległej mimo fizycznego podobieństwa, że jedyną konsekwencją kontaktu z nią mogła być śmierć.

* * *

Banach, kierowany instynktem, wybiegł z pokoju i szybkim krokiem ruszył do części mieszkalnej Struktury. Całe piętro przeznaczono na małe pomieszczenia, w których sypiali funkcjonariusze. Przemierzając puste o tej porze długie korytarze, czuł narastające napięcie. Niepokojącą pewnością, że Istota nie tylko zdążyła mu się przyjrzeć, ale przede wszystkim go zapamiętała. Musiał komuś opowiedzieć o swojej wizji. Nie po to, by podzielić się strachem, zrzucić go z siebie jak ciężki, nieporęczny pakunek. Wizja

była konkretnym ostrzeżeniem przed czymś, co już zaistniało w przyszłości i czego nie można było uniknąć. Musiał znaleźć pokój oznaczony herbem Złotokłos i zameldować o tej wizji Orsettiemu. Być może on będzie mógł zrobić coś z tym dalej.

Banach wpadł na klatkę schodową. Przytrzymując się poręczy, zszedł dwa piętra niżej. Pchnął wąskie drzwi i przebiegł przez krótki korytarzyk łączący skrzydła pałacu. Miał tylko kilka metrów do pokonania. Już wyciągał rękę, by szarpnąć klamkę kolejnych drzwi, gdy...

Rozejrzał się wokół siebie. Ściany zniknęły, skrzypiące klepki parkietu zamieniły się w sypki żółtawy piasek, sufit rozpuścił się, by ukazać ciemnoniebieskie niebo, na którego tle nie wypatrył jednak słońca. Światło równomiernie rozkładało się w przestrzeni. Banach nie widział swojego cienia. Obrócił się wokół własnej osi, w lewo, w prawo, szukając jakiegokolwiek logicznej odpowiedzi na pytanie o to, w czym uczestniczy. Z trudem zrobił dwa kroki, nogi zdawały się grzęznąć w sypkim gruncie. Rozejrzał się uważniej. Był w płytkiej kotlinie pomiędzy dwoma pagórkami. Przed nim rozpościerał się wyjąłowany, szary step. Wysuszone trawy kołysały się, trącane niemrawymi podmuchami wiatru. Gdzieniedzie ostre, poszarpane skały przebijały od spodu ascetyczny krajobraz.

Banach zaklął głośno. Nawet jeżeli była to kolejna wizja przyszłości, coś było z nią bardzo nie w porządku. Nigdy nie przenosił się w całości. Nigdy nie widział swoich butów, w tym przypadku zagrzebanych w piachu, nawet nie czuł swego ciała, które z reguły pogrążone było we śnie. Tym razem było inaczej.

Postanowił wejść na wysoki pagórek, u którego podnóża stał. Wspinaczka była trudna. Miałki piasek nie pozwalał stopom znaleźć oparcia. Banach musiał pochylić się i podeprzeć rękoma, by wdrapać się choć kilka metrów. Czując, że marynarka krępuje mu ruchy, zdjął ją i zawiązał w pasie. Podwinął rękawy koszuli, otarł pot z czoła i zmusił się do dalszego wysiłku. Od wierzchołka, z którego chciał dokładniej obejrzyć miejsce, w którym się znalazł, dzieliło go tylko kilka metrów. Wciąż nie wierzył, by otaczało go coś innego niż iluzja.

Resztką sił wdrapał się na szczyt pagórka. Krajobraz widziany z tej wysokości rozczarował go – niczym nie różnił się od ukraińskich

stepów, które tylko raz w życiu widział, jadąc z rodzicami do Odessy. Ten sam pozbawiony punktów orientacyjnych pofalowany obszar, z rzadka szczytujący się kruszoną przez wiatr skałą.

Mężczyzna usiadł i zdjął buty. Wysypał z nich piasek. Objął rękoma kolana, zaczął kołysać się monotonicznie do przodu i do tyłu. Musiał się skoncentrować i wyobrazić sobie miejsce, z którego został „zabrany”. Pomyśleć o budynku Struktury, potężnym magnackim pałacu, kilku kondygnacjach, skrzydłach, poziomach, piętrach... Odtworzyć obraz garażu, gabinetu Orsettiego, pokoju, w którym miał tymczasowo mieszkać. Zbudować to wszystko z podstawowych form geometrycznych – kuli, stożka, sześciangu.

Wtem do uszu Banacha dobiegł jakiś dźwięk. Głuche, rytmiczne uderzenia przypominające tętent końskich kopyt. Szybko wstał i ku swojemu bezbrzeżnemu zdumieniu zobaczył wyjeżdżający z jednego z pagórków powóz. Cztery zmęczone konie ciągnęły kołyszącą się na boki drewnianą budę; na przodzie siedział woźnica, dzierżąc w jednej ręce bat, w drugiej zaś lejce.

W ciszy stepu słysząc było już nie tylko końskie kopyta, ale również skrzypienie wyrobionych drewnianych resorów. Banach nie wiedział, jak się zachować. Był niemal pewny, że znów śni, że trafił za sprawą nie dających się zrozumieć mechanizmów do świata mirażu tak żywych, plastycznych, że można by je z łatwością pomylić z jawą. Czuł ciepło bijące od nagrzanej ziemi, wysuszone gardło pełne pyłu i kurzu, anemiczne podmuchy wiatru. W końcu archaiczny pojazd zbliżył się na odległość kilkudziesięciu metrów i zatrzymał. Konie natychmiast zajęły się skubaniem wątlanych roślin.

Banach teraz dopiero dostrzegł liczne kufry i powiązane linami pakunki na dachu pojazdu. Brodaty woźnica poprawił kapelusz z szerokim rondem, leniwie podniósł głowę znad końskich zadów i spojrzał na Banacha. Uśmiechnął się, odsłaniając niekompletne uzębienie. Grubszym końcem bata zastukał w budę powozu i rzucił kilka niezrozumiałych słów. Drzwiczki powozu się otworzyły.

Wysiadł z niego młody, około dwudziestopięcioletni mężczyzna. Bujna, ciemna czupryna i potężne bokobrody dodawały mu powagi, ale twarz wciąż emanowała niemal dziecięcą aurą. Nieznajomy ubrany był w ciemnozielony surdut, pod którym pyszniła się wściekle fioletowa kamizelka i koszula – biała, ale nosząca już ślady trudów

podróży. Rozprostował plecy, wyciągnął przed siebie ręce i parokrotnie zamknął i otworzył dłonie. Zrobił kilka niepewnych kroków, jakby sprawdzał, czy piach porośnięty lichą roślinnością utrzyma jego ciężar. W końcu spojrzał na szczyt wzgórza, skąd przypatrywał mu się Banach. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Zejdź tu, proszę! – krzyknął pasażer powozu. – Udało nam się w końcu cię znaleźć! Zapraszam!

Banach usiadł na ziemi. Założył buty i mocno je zawiązał. Potem przerzucił marynarkę przez ramię i zaczął ostrożnie schodzić w kierunku młodego człowieka.

Gdy znaleźli się naprzeciwko siebie, Banach uważniej przyjrzał się młodzieńcowi. Coś w jego postawie, w wysoko uniesionej głowie i zielonych rozmarzonych oczach kazało Banachowi zaufać nieznanemu, a jednocześnie uznać go za element rzeczywistości. Realnego, choć bogowie wiedzą, jakiego świata.

– Adam Majewski – przedstawił się podróżny, wyciągając rękę.

Banach uściśnął ją, wstydząc się jednocześnie swojej brudnej od piachu i spoczonej dłoni.

– Tadeusz Banach – odpowiedział nieśmiało. Zrozumiał, że tym uściskiem przypieczętował wewnętrzne przekonanie, że nie śni.

– Pozwolisz, że chwilę postoiemy tutaj. Konie są zmęczone. Ja od samej Odessy objam się o ściany tego pudła, chociaż obiecywano mi, że resory nie są jeszcze w najgorszym stanie. Jestem tak obolały, jakbym dostał się pod końskie kopyta.

– Gdzie ja jestem? – odważył się zapytać Banach. Nie poznał swojego głosu. Słabego, jakby pokrytego warstwą śnieży. Majewski chwycił go pod ramię i wspólnie oddalili się od powozu.

– Niby ufam temu człowiekowi – powiedział, wskazując na woźnicę – ale to idiota, dlatego zawsze trzeba uważać. Wracając do twojego pytania, jesteś w bezpiecznym miejscu. Cóż, może nie jest to najlepszy ze światów, ale w porównaniu z tym, co przechodzi właśnie tamta rzeczywistość, to tutaj – tupnął w ziemię, wzbijając obłoczek kurzu – to niemal buduar młodej hrabianki, do którego nas wpuszczono.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Już ci tłumaczę. Jest rok 1825. Trzy lata temu kolejny raz w historii doszło do perforacji naszego świata. Dzięki temu można mnie

było przerwucić do tego czasu. Tak naprawdę wyrwałem się z budynku Struktury kilka minut przed tobą, zanim rozpętało się to całe piekło, ale trafiłem tutaj trzy lata temu. Trzy lata wcześniej od ciebie.

– Ale skąd wiedziałeś, że tu będę? Przecież powinienem trafić do roku 1822. Tak samo jak ty.

– I trafiłbyś, gdyby nasi ludzie z... powiedzmy... przyszłości dalszej niż twoja nie nauczyli się przenosić, wykorzystując pole perforacji. Margines anomalii, w którego obrębie można przerzucać i rozmieszczać ludzi.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego tutaj?

Majewski sięgnął do wnętrza potężnej skórzanej torby i wygrzebał z niej ciemnobłękitną flaszkę. Odkorkował ją i podał Banachowi.

– Napij się. Wszystko będę ci chyba musiał rozrysować, bo nie mam takiego daru wymowy, by ci to przedstawić bez pióra i papieru. Za chwilę wsiądziemy do powozu, ale tam trzeba skupić się na czymś innym: trzeba pilnować, by nie przebić głową sufitu, gdy wóz wpadnie w kolejną dziurę. Chodźmy. Musimy być na miejscu, zanim zrobi się ciemno. Tutaj bardzo szybko przychodzi noc.

* * *

Nadja przypominała sobie noc przed Zenitem. Nie mogła spać. Piorunująca dawka kofeiny zrobiła swoje. W żyłach dziewczyny pędziła krew pompowana przez pobudzone serce. Chciała jeszcze przeczytać dwa studia nowych przypadków: jednego siłacza, który trafił tutaj z jakiejś wioski, oraz profesora uniwersytetu, który potrafił relacjonować fakty z przyszłości. Dwie ciekawe historie. Dwaj przyszli dżentelmeni, których trzeba będzie wdrożyć, przygotować, ukierunkować. Związać przysięgami na wierność Koronie. Sprawdzić ich rodziny. Przeszłość. Znaleźć im funkcje. Wspecjalizować. Wpasować te dwa trybiki w przepastny mechanizm Struktury.

Spojrzała na stojący na biurku zegar. Niewielki, w wyjątkowo złym guście masowy produkt, który, o dziwo, pracował bez zarzutu. Wskazywał drugą nad ranem. Popielniczkę szczelnie wypełniały niedopałki. Dym zdawał się wisieć w niewielkim pomieszczeniu. Nadja potarła oczy. Wciąż była skoncentrowana, czujna, a jej mózg mógł gromadzić informacje i szukać między nimi potencjalnych

połączeń, jednak oczy coraz gorzej znosiły chłód elektrycznego światła. Zaciśnęła powieki, pod którymi zaczęły krążyć wielokolorowe wstęgi; barwy eksplodowały niczym perskie ognie. „Znów nie zasnę”. Pomyślała o ciasnym, twardym łóżku w części mieszkalnej Struktury i o godzinach, które strawi na ziewaniu i wpatrywaniu się w sufit.

Jej rozważania przerwało delikatne pukanie do drzwi. Dziewczyna drgnęła przestraszona. Kto o tej porze...

– Proszę – powiedziała.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich jedna z pielęgniarek. Nadja podniosła się z krzesła. Wiedziała, kogo ta kobieta pilnuje.

– Coś się stało? – zapytała. – Blanka się obudziła? Co z nią?

Pielęgniarka zagryzła wargę, jakby szukała odpowiednich słów. Wyraźnie zdenerwowana wreszcie wydusiła z siebie:

– Pomyśli pani, że zwariowałam, ale... ale mi się wydaje, że w tym pokoju ktoś jest. Od kilku godzin wciąż jakbym kogoś widziała kątem oka. Wcale mi się to nie podoba.

Nadja westchnęła. „Tego mi tylko potrzeba, znerwicowanej opiekunki medycznej”, pomyślała zgryźliwie.

– Wszyscy tu czekamy na uderzenie, jakie spadnie na miasto – próbowała uspokoić pielęgniarkę – mamy więc prawo się denerwować i widzieć rzeczy, których nie ma. Zresztą wie pani, na czym polega praca w tym miejscu. I była już pani świadkiem wielu sytuacji, o których nawet się nie śniło ludziom spoza tego budynku. Prawda, pani Marzeno?

– Tak. No tak – przyznała niechętnie kobieta. – Ale mogłaby pani tam ze mną pójść? Chociaż na chwilę. Proszę.

Spojrzała na Nadję błagalnym wzrokiem.

– Dobrze – odpowiedziała. – Chodźmy. I proszę się nie zachowywać jak dziecko. A tak przy okazji, nie powinna pani zostawiać pacjentki samej. Ona w każdej chwili może się obudzić. Zrozumiała pani?

– Tak.

* * *

Pokój, w którym leżała Blanka, był ciemny, ale Nadja nie chciała zapalać światła. Wystarczało jej to, które padało z rzęsίσcie

oświetlonego korytarza. Podeszła do łóżka śpiącej dziewczyny. Wyciągnęła rękę, by sprawdzić puls Blanki. A przy okazji odnaleźć jakiegokolwiek ślady aktywności, budzącej się z wielodniowej śpiączki świadomości. Wystarczyło jedno dotknięcie, by wszystko stało się jasne. Palce Nadji zacisnęły się na wiotkim nadgarstku Blanki, po czym cofnęła rękę z obrzydzeniem. Dotknęła czegoś śliskiego i gęstego, zimnego. Jej umysł momentalnie zaczął pracować na innych częstotliwościach. Dopiero teraz wyczuła unoszącą się w powietrzu silną, dławiącą woń. Było to echo tego smrodu śmierci, który ogłuszył ją w willi Hetzlera. Zmarli. Oni tu są...

Rzuciła się w kierunku nocnego stolika, szukając drżącymi palcami włącznika. Spojrzała na łóżko i omal nie straciła przytomności. Obok Blanki leżało blade, dygocące ciało. Nagi mężczyzna zajmował całą długość łóżka. Jedną dłoń złożył na zapadniętej, owłosionej klatce piersiowej, palce drugiej zaciskały się na prześcieradle. Najstraszniejsza była jego głowa. Zmarłemu brakowało dolnej szczęki. Zamiast niej była potworna dziura ziejąca powyżej krtani, resztki połamanych zębów tkwiących w górnej szczęce i czarna posoka błyszcząca na strzępach ciała.

Nadja stłumiła krzyk. Nie miała wątpliwości. To stary Wieriesiołow lub ktoś, kto się za niego podawał. To jego sprowadzono do willi Hetzlera i później nie odesłano z powrotem. Krążył jako zmarły, nie należał już do tej rzeczywistości, a droga na tamten świat została zamknięta. Przyszedł, prowadzony upiornym instynktem nakazującym mu odnaleźć jedyną osobę, z którą w chwili śmierci zainicjował jakiegoś rodzaju związek. Przestały go obowiązywać ograniczenia. Jego ciało nie–ciało gasło dla tego świata i zaczynało przyjmować cuchnącą formę. Teraz leżało, szukając pocieszenia, przytulone do pogrążonej w śpiączce Blanki.

Nagle Wieriesiołow odwrócił głowę i spojrzał na przerażoną Nadję pustymi, pełnymi czarnego szlamu oczami. Ta cofnęła się o dwa kroki, upadła na kolana i wymiotowała na dywan wypitą kwadrans temu kawę. Kwaśny zapach zmieszał się z odorem gnijącej, stojącej wody, który przywłókł zmarły. Chrapliwy odgłos wydobywający się z jego krtani można było przy odrobinie dobrej woli zinterpretować jako śmiech. Lampka nocna zamigotała, światło przygasło, jakby żarówkę przykryto czarną gazą.

Nadja odwróciła głowę w stronę drzwi, ale pielęgniarki tam nie było. Zapewne uspokojona faktem, że poinformowała o wszystkim przełożonego, siedziała w dyżurce i czytała tanie romansidło. Nadja nie chciała przyznać przed samą sobą, że potrzebuje pomocy, że mimo możliwości, talentu, fachu (jak mawiają w Strukturze) nie może inaczej zareagować na zmarłego. Coś odcinało jej dopływ powietrza. Obezwładniało, uniemożliwiając podjęcie walki lub ucieczkę. Ciemność gęstniała. Spływała na podłogę z wibrującego umarłego ciała. Zapach gnicia wypełniał szczelnie pokój.

Wtem coś poruszyło się w łóżku i nie był to Wieriesiołow. Lekka kołdra zsunęła się na podłogę. Zmarłego już nie było. Blanka, zepchnięta przez niego niemal na samą krawędź łóżka, miała otwarte oczy, z których płynęły łzy. Bezgłośny szloch raz po raz szarpał jej ciałem. Nadja wzięła głęboki oddech i podniosła się z kolan. Podeszła do łóżka. Usiadła na nim i przez dobrych kilka minut zbierała siły. W ciągu ostatnich dni to już drugi tego typu przypadek. Miała nadzieję, że ostatni raz musi uspokajać rozszalałe serce.

Dziewczyna obudziła się na dobre, ale Nadja wiedziała, że nie może tego uznać za dobry omen. Dotknęła jej czoła. Było zimne. Oczy dziewczyny błędziły niespokojnie, szukając choćby śladów czegoś znajomego, swojskiego. W końcu spoczęły na Nadji, oczekując wytłumaczenia sytuacji, w jakiej się znalazła.

– Przewietrzę tutaj, dobrze? – zapytała Nadja i nie czekając na odpowiedź, podeszła do okna. Otworzyła je, nabrała w płuca nocnego, sierpniowego powietrza. Strzępek czerni, nietoperz, przeleciał nad koroną pobliskiego drzewa.

– Czy coś się pani śniło? Chce pani pójść do łazienki? Jest pani głodna? – zapytała, ale żadne z tych pytań nie doczekało się odpowiedzi. – Widziała pani tutaj jeszcze kogoś oprócz mnie?

* * *

Blanka niczego nie pamiętała. Nie była w stanie przypomnieć sobie dwóch ostatnich miesięcy spędzonych w Antipolis. Niestety, nie pamiętała również niczego sprzed przybycia do miasta. Drżała, jakby uświadamiając sobie, że jest zaledwie wydmuszką, ciałem, w którym nie mieszka duch, świadomość, pamięć zakorzeniająca

człowieka w świetle. Była pusta. I tę pustkę, o której przypominało każde pytanie Nadji, odczuwała niemal jak fizyczny ból.

Nawet imię, którym się do niej zwracano, brzmiało obco. Jak pierwsze z brzegu określenie przedmiotu lub zjawiska, którego właściwa nazwa utonęła w niepamięci. Poczwała w gardle skurcz zapowiadający kolejny atak płaczu. „A więc jestem wrażliwa”, pomyślała, „skoro płaczę w obecności innej kobiety. No bo jak inaczej to rozumieć?”.

Nadja opowiedziała jej więc o korepetycjach, o „ojcu”, który okazał się rosyjskim agentem, o próbie aresztowania, która zakończyła się jego samobójstwem.

– Ale skąd ja się tam wzięłam? – zapytała Blanka, z trudem łapiąc powietrze. – Kim był ten człowiek? Kim ja jestem? – urwała, jakby instynkt kazał jej obawiać się odpowiedzi na to pytanie.

– Jeszcze nie wiemy, kim jesteś – odparła Nadja. Starła się uspokoić dziewczynę. Jej zapadnięte policzki i kontrastująca z kruczoczarnymi włosami blada twarz wskazywały, że jest wyczerpana. Śpiączka odebrała jej siły życiowe i rozstroiła psychikę, jednak Nadja musiała do końca odkryć przed nią karty.

– Jest jeszcze coś... – zaczęła. – Może to być dla ciebie trudne do zrozumienia, ale muszę ci to powiedzieć dlatego, że jesteś w takim a nie innym miejscu.

– Gdzie ja jestem? To szpital?

– Powiedzmy, że szpital w pewnym budynku, w którym pracują bardzo ważni lub bardzo dziwni ludzie.

– Jacy ważni ludzie? Jacy dziwni?

– Posłuchaj. Kiedy policja chciała aresztować twojego ojca... to znaczy osobę, która się za niego podawała, wziął cię za zakładniczkę. Szybko zdał sobie sprawę, że nie może niczego zrobić, więc strzelił sobie w głowę. Wtedy coś w tobie pękło. Uwolniłaś z siebie jakąś siłę, która zabiła wszystkich policjantów w mieszkaniu. Oni zginęli, bo...

Blanka coraz szerzej otwierała oczy. Przez chwilę wydawało się, że drzemiąca w niej energia na nowo przerwie tamy, które w jej umyśle zamontowała Nadja. Ogniki szaleństwa na sekundę wypełniły jej pełne przerażenia spojrzenie.

– Chce pani powiedzieć, że kogoś zabiłam? Ja?

Nadja wstała. Brakowało jej papierosa. Czegoś, czym zajęłaby palce.

– Nie zrobiłaś tego świadomie. Coś w tobie pękło i rozlało się naokoło. Niczemu nie jesteś winna. A ja jestem tu po to, by sprawdzić, co to było i czy da się to kontrolować.

Blanka milczała dłuższą chwilę. Przestała wpatrywać się w Nadję i teraz jej wzrok ślizgał się po ścianach pokoju. Wypełzył przez otwarte drzwi na korytarz. Wyleciał przez otwarte okno, za którym niebo powoli gubiło swoją najgłębszą barwę i przymierzało się do świtu.

Nadji przypomniały się jej własne słowa. Blanka się ocknie, gdy zacznie się Zenit. „A więc to dzisiaj”, pomyślała. „Dzisiaj”.

CZĘŚĆ CZWARTA



ROZDZIAŁ TRZYNASTY



– Daleko jeszcze? – Forst przestał już udawać, że panuje nad sytuacją. Jego głos stał się piskliwy. – Daleko jeszcze do Kryńca?

Szofer, nie odrywając oczu od drogi, odpowiedział flegmatycznie:

– Jeszcze dziesięć minut i będziemy na miejscu. Poznają tę okolicę. Zaraz przejedziemy przez las, a potem zakręt i jesteśmy. Spokojnie. Jedziemy niemal osiemdziesiątką. Szybciej nie mogę.

– Dobrze, już dobrze – mruknął Forst. Po chwili milczenia zwrócił się do komisarza Śniega:

– Nie wolno nam się spóźnić. Zenit nie może dotrzeć do Struktury, bo zrówna ją z ziemią. Zmiażdży. Musimy przywieźć tam von Treschkova, zanim Istota odzyska świadomość. Rozumie pan? To miejsce między młotem a kowadłem. Albo zniszczy je tamten świat, albo jego przedstawiciel.

– A zatelefonowaliście do nich? Przecież mogliby uciec z budynku i zostawić tę całą Istotę. Niech ją sobie biorą.

– Nie rozumie pan? Nie wiemy, jak Istota się zachowa. Nie wiemy, jakim potencjałem dysponuje. Czym się stanie, gdy znajdzie się w zasięgu Zenitu. Dlatego mamy tam swoich ludzi, by byli w pogotowiu. Gotowi nawet zginać, by...

– Oni o tym wiedzą?

– Ci, którzy powinni, wiedzą.

– A co z tym nieszczęsnym von Treschkovem? Co on ma do tego?

– On jedyny może zabić Istotę. To jego dziecko. Istota, płodząc w naszym świecie potomstwo, naraża się na śmierć z rąk własnego dziecka. Kojarzy pan? Uranos, Kronos, Zeus... Mity lub to, co uznajemy za mity, to niemal kompletna instrukcja tego, jak dzieci powinny postępować z rodzicami, a rodzice z dziećmi. Proszę mi wierzyć. Nasze normy moralne są wyjątkowo wyśrubowane w porównaniu z tym, co wiemy o życiu Istot z tamtej rzeczywistości. – Forst na chwilę zawiesił głos. – Von Treschkov musi zabić ojca, wtedy tamten świat cofnie się, nie znajdując w naszej rzeczywistości niczego wartego szukania.

– A co z tą dziewczyną? Tym dzieckiem Istoty, którą kupili Rosjanie?

– Ona jest planem B. Jeżeli von Treschkov zawiedzie lub z jakiegoś powodu nie dotrze na miejsce, ona ma rozwiązać problem. Oprócz nich nie mamy innej broni.

– Da sobie radę?

Forst wzruszył ramionami.

– Musi, nie ma wyjścia.

Mężczyźni niemal jednocześnie obejrzeni się za siebie. W tylnym oknie zamajaczył drugi samochód. To nim wieziono von Treschkova.

* * *

Posterunek na północnej rogatce miasta znajdował się w budynku urzędu celnego przy ulicy Bosackiej. Sierżant Kalemberg od samego rana żałował, że zgłosił się na ochotnika do nadzorowania ludzi opuszczających miasto. I nie chodziło wcale o monstrualnych rozmiarów sznur mechanicznych i konnych pojazdów, które musiały przecisnąć się przez wąskie gardła trzech równoległych wylotowych ulic. Po trzech dniach niemal ogłuchł od ryku klaksonów, wrzasku ludzi, rżenia koni, które zmuszone były do ciągnięcia przestarzałych omnibusów. Jego ludzie pracujący w służbie ruchu robili, co mogli, by upłynnić ruch i rozładować mnożące się w tempie geometrycznym utarczki i szarpaniny pomiędzy uciekinierami.

Teraz, gdy miasto przynajmniej teoretycznie opustoszało, czuł się nieswojo. Cisza, od czasu do czasu przerywana leniwymi pogawędkami z pozostałymi funkcjonariuszami, drażniła

Kalemberga. Kilka godzin spędził, wpatrując się w opustoszałe ulice. Patrzył tak długo, aż zaczęło mu się wydawać, że widzi widmowe sylwetki ludzi, którzy jak najszybciej powinni opuścić miasto. Jakiś ruch, zawirowania powietrza, drżenie ścian budynków.

Leniwym ruchem dłoni posłał jednego ze swoich ludzi na rekonesans, a ten z bronią gotową do użycia w przypadku konfrontacji z szabrownikami poszedł i wrócił, nie znalazłszy niczego podejrzanego. Ciszę późnego popołudnia i wieczoru zakłócał telefon z centrali, który odzywał się co pół godziny. Posterunek miał raportować o wszystkim, co zdarzyło się (lub nie) od czasu poprzedniego telefonu.

Noc, duszna i bezwietrzna, zmusiła Kalemberga do drzemki, przed którą się bronił. Nie chciał zasnąć, chociaż wartę po kolei obejmowali wyznaczeni przez niego funkcjonariusze i on sam mógł pozwolić sobie na chwilę odpoczynku. Czuł narastające napięcie, niepokój, który potęgował się, gdy uświadamiał sobie, że już jutro nad miasto nadciągnie Zenit i kolejne posterunki otaczające Antipolis staną się świadkami perforacji rzeczywistości.

Sierżant obudził się spocony. Podniósł głowę znad biurka, którego twarde blaty posłużył mu za poduszkę. Wstał z krzesła i rozprostował obolały kręgosłup. Lampa stojąca na biurku oświetlała tylko niewielką część pokoju. Za oknami powoli świtało. Kalemberg z przerażeniem stwierdził, że przespał połowę nocy. Zegar wiszący na ścianie wskazywał piątą nad ranem.

Zaklął głośno. Sięgnął po leżącą na biurku czapkę i wyszedł z budynku, gdzie natknął się na spacerującego po ulicy funkcjonariusza.

– Dlaczego nikt mnie nie obudził?! – krzyknął w kierunku wystraszonego wartownika. Ten momentalnie stanął na baczność i zasalutował.

– Melduję, panie sierżancie, że nie zauważono niczego podejrzanego lub niezwykłego. Absolutna cisza, panie sierżancie.

Kalemberg zacisnął pięści.

– Czy to jest odpowiedź na moje pytanie?! – ryknął.

Wartownik jeszcze bardziej wyprężył ciało i wysilił się na jeszcze bardziej niezręczną odpowiedź:

– Nie chcieliśmy... Nic niepokojącego... Pan sierżant przecież... Był spokoj. Nic się nie działo.

Kalemberg machnął ręką i, zostawiając roztrzęsionego policjanta, zrobił kilka nerwowych kroków w górę i w dół ulicy. Wyciągnął papierosa, zapalił. Po chwili cisnął niedopałek na chodnik, zgniótł go obcasem. „Ale żeby mnie nawet telefon nie obudził”, pomyślał zdumiony. „Musiałem twardo spać”.

Podniósł głowę. Niebo ponad dachami zaniedbanych kamienic, które z coraz większym trudem dźwigały losy kolejnych pokoleń, pokrywało się cieniutką, jasnoblękitną warstwą. Ani śladu najmniejszej chmury. Żadnego wiatru. „Jakby trzymano nas w zamkniętym pomieszczeniu”, przeszło Kalembergowi przez myśl. „Ktoś za kilkanaście minut zapali na niebie lampę i przyjrzy się nam jak mrówkom, które dopiero teraz dostrzeże na swojej drodze”.

Nie czuł jeszcze zagrożenia. Był odważny, nie bał się patrzeć w ciemność. Patrzeć było łatwiej niż odwrócić się plecami do potencjalnego zagrożenia.

Kopnął leżące na bruku nadgniłe jabłko; potoczyło się do rynsztoka i ugrzęzło między innymi śmieciami. Wrócił na posterunek, gdzie w jednym z pomieszczeń zastał trzech swoich ludzi pochylonych nad wypełnionymi kawą blaszanymi kubkami. Jej zapach oszołomił Kalemberga. Mężczyźni natychmiast wstali i zasalutowali. Odpowiedział im niedbale, zaledwie podnosząc rękę w geście powitania. Postanowił pozbyć się choć części tej pozy dowódcy, z którą zrósł się chyba zbyt mocno.

– Znajdzie się dla mnie też trochę kawy? – zapytał, zajmując jedyne wolne miejsce przy stole. – Wyspałem się, ale trzeba się czymś jeszcze podeprzeć, prawda?

Młodzi policjanci potwierdzili skwapliwie, ale żaden z nich nie palił się do rozmowy. Czuło się napięcie typowe dla sytuacji, gdy budzący respekt przełożony zbyt szybko próbuje zniwelować dystans dzielący go od podwładnych.

– Noc minęła spokojnie?

– Tak, panie sierżancie, nic się nie działo. Telefony co pół godziny. Łączność bez zastrzeżeń. Czekamy, aż wstanie słońce.

Kalemberg spróbował postawionej przed nim kawy. Była mocna, gorzka i gorąca. Kojarzyła się z setkami godzin służby, monotonią

dłużących się nocy, powolnym światłem, które wypełniało prędkiej czy później każde pomieszczenie, sygnalizując policjantom, by zakończyli służbę i ustąpili miejsca innym. Ogarnął go smutek. Który to już rok służby? Dwunasty? Kiedy to minęło? Nagle zrozumiał, że nie ma sensu udawać kogoś, kim się nie jest. Nic go nie łączyło z tymi, z którymi siedział przy stole. Nic oprócz stosunku służbowego. To wystarczy. Czując na sobie spojrzenia innych, w milczeniu wypił kawę i wstał.

– Gdy zadzwonią z centrum, zameldujcie, że nic się nie dzieje. Nic.

* * *

Okolo jedenastej wiedział już, że nie będzie mógł powtórnie nadać tego komunikatu. Być może jego posterunek był pierwszym, który to zobaczył, a może właśnie w tej chwili wszystkie posterunki widziały otwierające się niebo?

Błękit, przez cały poranek czysty, nagle zaczęły pokrywać pajęczynki pęknięć. Ich delikatna siateczka, ledwie widoczna nawet za pomocą silnych wojskowych lornetek, z czasem zgęstniała. Układała się kapryśnie według przypadkowych wzorów. Jak kropla tuszu rozdmuchana na kartce, tak pęknięcia rozszerzały się, łączyły ze sobą, by po chwili odepchnąć od siebie i szukać innego miejsca, gdzie mogłyby powiększyć swój rozmiar. Słońce wiszące niemal w najwyższym punkcie nieba nagle przestroniła arabeska wijących się, przeplatających ze sobą linii. Wydawało się, że niebo jest płótnem, na którym ktoś ćwiczy rękę, wykonując serię próbnych szkiców.

Nagle powietrze zafalowało i wszystko – domy, ulice, latarnie, pozostawione pojazdy, kominy fabryk i przęsła mostów – zaczęło się odkształcać. W absolutnej ciszy, w powietrzu, które zdawało się nie przenosić fal dźwiękowych, miasto wyglądało tak, jakby oglądano je przez potężną soczewkę. Jakby sam fakt widzenia Antipolis przez obcy wymiar miał je zniekształcać.

Czerń, głęboka, kryjąca całą istotę tamtego świata, zaczęła formować się w o wiele bardziej złożone struktury. Geometryczne, wielokątne elementy łączyły się w zarysy czegoś, co mogło przypominać architektoniczne wariacje. Początkowo kapryśnie wijące się linie nabrały o wiele ostrzejszych kształtów. Rozwidlające

się, krzyżujące ze sobą ścieżki sugerowały istnienie jakiegoś zamysłu stojącego za ich kształtem.

„To wygląda jak labirynt”, pomyślał Kalemberg, „labirynt widziany od spodu”. Światło zmieniło tonację. Kolory wyostrzyły się, zaczęły się żarzyć. Stojący obok sierżanta policjanci jak zahipnotyzowani wpatrywali się w osuwającą się na miasto strukturę. W powietrzu czuć było atmosferę strachu, która łagodnie ustępowała rezygnacji.

– To coś chce tutaj osiąść! – zawołał któryś z nich, przestaniając dłonią oczy.

– Telefony nadal nie działają? – zapytał sierżant, nie odrywając wzroku od nieba.

Nikt nie odpowiedział. Posterunek przy ulicy Bosackiej przestał nadawać.

* * *

– Panie premierze, zaczęło się – oznajmił jego osobisty sekretarz. – Zaczęło się.

Była dokładnie 11:18. Premier stał w oknie jednego z większych pokojów Struktury, w swoim zaimprovizowanym gabinecie. Nie chciał się zgodzić na wyjazd w głąb kraju, chociaż szefowie poszczególnych resortów mogli dołączyć do całej armii urzędników państwowych, którzy korzystając z uprzywilejowanych środków transportu – samolotów i sterowców – oddalali się od Antipolis. Większość z nich lądowała w Łodzi lub dalej, w Kaliszu. Premier odesłał swoją żonę i dwójkę dorastających dzieci, a teraz walczył sam ze sobą, by się nie przyznać, że najchętniej też wyniósłby się stąd jak najdalej.

Czuł strach. Bał się o siebie, o miasto, które może zostać zrównane z ziemią za sprawą kolizji z inną rzeczywistością. Bał się tego miejsca, choć teoretycznie było ono bezpieczne. Coś jednak podpowiadało mu, że wrażenie to jest złudne.

– Skąd to wiemy? – zapytał, wciąż stojąc tyłem do sekretarza.

– Był telefon. Posterunek na południowym krańcu miasta się odezwał, ale gdy próbowaliśmy się z nimi ponownie połączyć, nikt nie odpowiadał. Najprawdopodobniej linie zostały zerwane. Pracujemy nad tym, by połowe stanowiska przejęły obserwacje terenu na wypadek, gdyby Zenit przemieścił się w jakimś kierunku.

– Tak. Najprawdopodobniej... – powtórzył machinalnie premier, nie do końca słuchając sekretarza.

– Panie premierze, jeszcze jedno.

Tym razem premier odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze swoim pracownikiem. Ruchem głowy dał znać, żeby mówił.

– Czekam na pana szefa bezpieczeństwa wewnętrznego, generała Zmorski. Był umówiony dziś na godzinę dwunastą, ale w związku z tym, co się dzieje, jego adiutant poprosił o natychmiastową rozmowę. Generał za chwilę tu będzie.

„Wojskowi niech rozmawiają z ministrem obrony”, pomyślał ze złością premier, ale mimo to odpowiedział:

– Zatem czekam – podszedł do biurka i usiadł; na szerokim blacie stał tylko ozdobny, nieużywany kałamarz. Sekretarz wyszedł.

Po paru minutach zapukano do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, stanął w nich generał „Tur” Zmorski. Potężny, starszy już mężczyzna, którego postura mogła budzić autentyczny respekt, był weteranem Wielkiej Wojny. Zwycięskim dowódcą podpisującym w imieniu Korony wszystkie dokumenty o wojskowym charakterze. Twarz Zmorskiego znaczyła biegnąca przez lewy policzek blizna. Szeroka, kwadratowa szczęka była jak zwykle dokładnie ogolona. Usta wąskie, zacięte, zdawały się ukształtowane przez naturę do wydawania rozkazów i wrzeszczenia na podkomendnych.

Zmorski wszedł szybkim krokiem do gabinetu i stanął przy biurku, czekając, aż premier wyjdzie zza niego i poda mu rękę.

– Panie premierze – zaczął – sprawa jest poważna i, rzec by można, pilna.

Głos Zmorskiego był lodowaty i nawet jego firmowe „rzec by można”, parodiowane często przez jego przeciwników i podwładnych, nie brzmiało zabawnie.

– Słucham, generale.

– Możemy usiąść?

Premier wskazał dłonią wolne krzesło, a sam wrócił za biurko. Generał spojrzął na zegarek.

– W ciągu piętnastu minut dojedzie do nas agent Forst i jego ludzie. Wiozą niemieckiego dyplomatę von Treschkova...

Premier nagle się ożywił.

– To ten szpieg, tak?

– Powiedzmy. W każdym razie będą tutaj, ponieważ muszą zniszczyć Rdzeń.

– Rdzeń? Przecież tam jest Caspar!

– Tak. Caspar to bomba podłożona kiedyś pod fundamenty naszego państwa. Nie ma czasu teraz wszystkiego tłumaczyć. Muszę pana prosić, by opuścił pan ten budynek. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie. Samochód już na pana czeka.

Premier z trudem opanował drżenie rąk, które zwiastowało narastającą wściekłość.

– Chce mi pan powiedzieć, generale, że w kraju dzieją się rzeczy, o których nie wiem, a pan nie chce mi ich wytłumaczyć, bo nie ma czasu?!

Generał ponownie spojrzął na zegarek.

– Ma pan już tylko dziesięć minut – odparł; te słowa miały uciąć wszelkie zbędne dywagacje. – W samochodzie siedzi człowiek, który wszystko panu wytłumaczy. Teraz nie czas i miejsce na to.

– Nie czas i miejsce?! – krzyknął premier. – Myślę, że zapomina pan...

Generał wstał i flegmatycznym ruchem poprawił mundur.

– Niczego nie zapominam. I, można by rzec, pan przypomni sobie naszą rozmowę, gdy cały ten budynek zacznie się walić w gruzy. Proszę nie utrudniać, panie premierze.

– Wciąż nie rozumiem.

Generał spojrzął na zegarek, a następnie położył dłoń na kaburze pistoletu.

– Moim obowiązkiem jest bronić głowy państwa. Czy pan sobie tego życzy, czy nie. Zenit już się zaczął, prawda? Ostrze tamtej rzeczywistości już pruje nasz świat. I to ostrze wbije się z całą siłą właśnie w to miejsce. Caspar przyciąga tamten świat. I jeżeli von Treschkov zawiedzie...

– A co on ma zrobić?

– Zabić Caspara.

Premier zacisnął powieki.

– A co z ludźmi?

– Tymi w Strukturze? Mamy kilka godzin na to, by wszystkich stąd wywieźć. Jednak część musi zostać. Są niezbędni. Nie wiemy, jak zareaguje Caspar, gdy wyczuje Zenit. A być może już go czuje.

- Ogłoszono ewakuację budynku?
- Ogłosimy, gdy zgodzi się pan opuścić Strukturę.
- Rozumiem – odparł premier. Dotarło do niego, że nie ma sensu dłużej dyskutować ze Zmorskim.
- Muszę teraz, panie premierze, porozmawiać z jeszcze jedną osobą. Do widzenia.

* * *

Nadja była wściekła. Każda rozmowa z kimś, komu musiała się wbrew własnym przekonaniom podporządkować, była prawdziwą torturą. Generał w obcesowy sposób przedstawił dziewczynie wizję tego, czego oczekiwał od całej Struktury.

Wściekła i bezradna wróciła do swojego gabinetu, gdzie czekał na nią Orsetti. Podeszła do biurka, wyszarpnęła szufladę i wyjęła z niej papierosy. Bez słowa zapaliła. Nie mogła niczego zrobić, nie narażając się na sąd wojskowy.

– Zmorski! – krzyknęła w kierunku kolegi z wydziału, któremu przyniosła decyzję o ewakuacji. – Zmorski robi z nami, co chce! Najpierw lądujemy pod jego dowództwem, gdy nas łączą z armią. Teraz połowę z nas odsyła, połowę zostawia na pastwę Zenitu. Cholera! Rozumiesz coś z tego? Połowa zostaje, połowa się ewakuuje. I kto ma zostać? Powiesz mi?

– Nie powiem ci – odpowiedział.

Dziewczyna zacisnęła pięści.

– Czy ten stary bałwan nie rozumie jeszcze, że u nas nie obowiązuje wojskowa hierarchia?! Kto jest tym dowódcą? Może ja? A może ty? – wyrzuciła z siebie.

– Na mnie się nie wściekaj. – Orsetti rozłożył bezradnie ręce. – Wiem tyle samo co ty.

Nadja wypuściła z sykiem powietrze.

– Dobrze, popatrzmy na to spokojnie. Ilu mamy ludzi z objawami Zenitu?

– Zdiagnozowanych i wcielonych około czternastu.

– Co to znaczy „około”?

– Nie określono jeszcze statusu tego... – poszukał w pamięci – Tomasza i tej dziewczyny, Blanki.

– Tomasza można odesłać. Znalazłam u niego jakieś ślady interesującej aktywności, ale nie mam pewności, czy nie jest to pozostałość po tym, co zrobiła mu ta dziewczyna. Natomiast ona... musi tutaj zostać. Taki dostaliśmy rozkaz. I jeżeli ona zostaje, ja muszę zostać z nią.

- Dlaczego ona musi zostać?
- Nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi.
- Ile mamy czasu?
- Godzinę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Nadja poleciła Orsettiemu, by zajął się przygotowaniem zebrania, a sama popędziła do pokoju, w którym przebywała Blanka. Mijała ludzi oszołomionych informacją o ewakuacji, którzy tłoczyli się na korytarzach, ściskając w rękach torby, walizeczki, tłumoki. Część z nich już kierowała się w stronę jednego z kilku wyjść z budynku, gdzie miały czekać samochody. Szła, roztrącając tych, którzy nie zeszli jej z drogi. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że teoretycznie bezpieczny budynek Struktury ma stać się głównym celem skumulowanego uderzenia Zenitu. I że należy zniszczyć Rdzeń, zabić Caspara, wykorzystując do tego nieszczęsnego von Treschkova.

* * *

Znalazła Blankę stojącą w drzwiach swojego pokoju. Dziewczyna miała na sobie pozbawioną wyrazu suknię przewiązaną jasnoczerwonym paskiem. Wyglądała niezgrabnie, staro. Błada, wychudzona twarz zdradzała zagubienie. Ze zdziwieniem przyglądała się panującemu na korytarzu harmidrowi.

– Co się tu dzieje? – zapytała.

– Ewakuacja – odparła sucho Nadja i poprowadziła dziewczynę w głąb pokoju. Zamknęła drzwi. – Musimy porozmawiać.

– Ewakuacja? Musimy stąd uciekać?

Nadja posadziła ją na łóżku, a sama siadła na krzeselku, które ustawiła naprzeciwko dziewczyny.

– Posłuchaj – zaczęła powoli, dając sobie chwilę na przygotowanie tego, co ma powiedzieć. Bała się tej rozmowy. – Zbliża się do nas niebezpieczeństwo. Większość z nas musi stąd uciec, ale my nie możemy. Musimy tu zostać.

Oczy Blanki się zaszklily.

– Jak to „musimy tu zostać”?

– Czekają nas pewne zadania. W piwnicach budynku jest coś, z czym musimy sobie we dwie poradzić...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna, Mikołaj.

– Szukają cię – powiedział. – Wiedziałem, że tu będziesz. Przywieźli von Treschkova.

Nadja zakląła. Wstała z krzesła i ruchem dłoni nakazała Blance także wstać.

– Musimy iść. Nie mamy czasu. Zresztą nikt dziś nie ma czasu. Chodź.

Blanka podniosła się z łóżka i posłusznie pomaszerowała za Nadją zatłoczonym korytarzem.

W gabinecie Nadji stali dwaj ubrani na czarno mężczyźni. Rozpoznała agenta Forsta. Kilka razy okoliczności zmusiły ją do współpracy z tym nieprzyjemnym w obejściu, szorstkim człowiekiem. Skrzywiła się na jego widok, ale po chwili zmusiła się do uśmiechu.

– Witaj, Forst – wyciągnęła rękę w kierunku agenta. Ten niechętnie uściśnął dłoń kobiety. Nadja znała jego zdanie na temat emancypacji płci pięknej. – Widzę, że przywieźłeś von Treschkova.

Forst z kamienną twarzą odpowiedział:

– Widzę, że przyprowadziłaś Blankę. Nie wiem, czy znamy jej prawdziwe nazwisko.

Von Treschkov, któremu całą sytuację naświetlono po drodze z Antipolis, był blady jak ściana. Właśnie uświadomił sobie, co go czeka i kim jest. Wczoraj o tej porze pakował walizki, by spokojnie polecieć do Gdańska wraz z resztą pracowników ambasady, rano został sprzedany Koronie, a w południe dowiedział się, że ma zabić Istotę, która podobno jest jego biologicznym ojcem. Cała przeszłość, w którą wierzył, która była fundamentem jego tożsamości, została w ciągu kilku godzin rozbita.

Nadja pomyślała, że Blanka jest w dużo lepszej sytuacji niż jej brat – ona przynajmniej nie zna swojej przeszłości. Jakiś głęboko ukryty mechanizm obronny, wszczepiony jej jeszcze przed przyjazdem do Korony, sprawia, że nie potrafi przypomnieć sobie niczego z minionych lat.

Blanka i von Treschkov stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem. Nadja widziała w ich twarzach pewne podobieństwo. Te same ciemne, nieco nieobecne spojrzenie. Szczupłe, pociągłe twarze. Wydatne usta, których kąciki delikatnie opadały ku dołowi.

– Czy ona wie, co ją czeka? – zapytał rzeczowo Forst.

Sploszona Blanka odruchowo przysunęła się do Nadji.

– Właśnie jej tłumaczyłam...

– Jeszcze jej pani nie powiedziała?! – zagrział Forst. – Kiedy miała pani zamiar to zrobić? Gdy Caspar zacznie wygrzebywać się z Rdzenia?

– Cholera, Forst! Sama się dziś dowiedziałam od Zmorskiego, co się dzieje. Ty jesteś do przodu o kilka godzin. Czego więc ode mnie wymagasz?

– A więc ja to zrobię za ciebie – odparł Forst, niezrażony wybuchem Nadji, i zwrócił się do Blanki: – Ten oto pan – wskazał na von Treschkova – to pani przyrodni brat. Urodził się w Niemczech. Pani urodziła się najprawdopodobniej w Rosji. Waszym ojcem jest Istota, która tkwi w sarkofagu w podziemiach tego budynku. Słyszeliście o Zenicie. Wiecie, że do naszego świata już wdiera się świat, którego obywatelem jest wasz ojciec. Jeżeli go nie zabijecie, nasza rzeczywistość pewnie zostanie zmiążdżona. Wystarczająco jasno naświetliłem pani sytuację?

Blanka stała otępiała. Jej dolna warga drżała. Pot wystąpił na czoło. Spojrzała na Nadję, chcąc znaleźć u niej potwierdzenie tych informacji. Nadja kiwnęła głową. Dla Blanki i jej brata nie ma innego wyjścia.

* * *

„Oni wszyscy już dawno nie żyją”, Banacha nasza taka właśnie refleksja, gdy jechał kołyszającym się na lewo i prawo powozem, mając za towarzysza niezwykłego pasażera, który jak na złość zasnął z głową opartą o zwinięte palto.

Mężczyźni, których mijali na wąskim gościńcu, ubrani w wyblakłe luźne płaszcze, brodaci, niektórzy w turbanach, prowadzili osły objuczone wypchanymi workami. Niektórzy palili długie fajki, ciągnąc za sobą w nieruchomym powietrzu błękitnawy dym. Kilka kobiet zgromadziło się wokół studni. Z daleka wyglądały jak barwne plamy.

Krajobraz się zmienił. Zamiast stepu pojawiły się pola uprawne nawadniane przez nielicznych rolników. Powóz wjechał w cień rosnących wzdłuż drogi drzew.

Majewski się przebudził. Zamrugał kilka razy i przetarł oczy. Po sekundzie przypomniał sobie, że wiezie gościa z przyszłości.

– Proszę wybaczyć mi tę chwilę niedyspozycji, Tadeuszu. Jestem piekielnie zmęczony. Trzy dni z rzędu wypatrywałem cię, krążąc tym wehikułem po okolicy. Rozumiesz, prawda?

– Rozumiem – odpowiedział. – Gdzie my jesteśmy?

Majewski wyjrzał przez niewielkie okienko powozu.

– Zbliżyliśmy się do miasteczka Gurzuf – oznajmił. – Za chwilę będziemy na miejscu. W moim mieszkaniu. Wynajmuję je od miejscowego arystokraty. To świątły człowiek, ale niestety nie możemy mu zdradzić, kim jesteśmy.

– A kim jesteśmy?

Majewski się zaśmiał.

– Ja jestem malarzem zafascynowanym orientem. Wiesz, jeżdżę ze szkicownikami po okolicy. Maluję jakieś skały, ruiny, morze... Nawet nieźle mi idzie. Wyobraź sobie, że nawet sprzedałem dwa rysunki miejscowym.

Banach westchnął zniecierpliwiony.

– A co ja mam tu robić? Kim ja mam być? Nie mam tu niczego...

– Rozumiem cię – przerwał mu uspokajająco Majewski – jednak musisz mi wierzyć, że tak jest najlepiej. Dla takich jak ty mamy przygotowaną odpowiednią historię.

– Takich jak ja? To jest ich więcej?

– Ty jesteś szósty. Wszyscy zgromadzili się po Zenicie z roku 1936.

Powóz nagle zatrzymał się, a woźnica zaczął krzyczeć. Odpowiedział mu czyjś zachrypnięty głos. Najwidoczniej mężczyźni się znali, bo to, co zapowiadało się na gwałtowną kłótnię, szybko przeszło w wymianę dziwnie brzmiących uprzejmości.

– Trzeba się do tego przyzwyczaić – skwitował Majewski. – Tutejsi ludzie spędzają kilka godzin dziennie na wzajemnych pozdrowieniach. Grubym nietaktem jest nie zapytać o zdrowie. Tu, na Wschodzie, ludzie mają czas. W ogóle w XIX wieku wszystko dzieje się wolniej. Momentami trudno się przyzwyczaić. Zobaczysz.

Powóz szarpnął i ruszył do przodu.

– Co się właściwie dzieje... Co będzie się działo tam, skąd mnie ściągnęliście? – spytał Banach.

Majewski ściągnął brwi.

– Istota, którą przetrzymywano w budynku Struktury, obudzi się pod wpływem Zenitu i narobi bałaganu. Bardzo delikatnie rzecz ujmując. Nie uda się jej powstrzymać tym, których do tego zmobilizowano. Ci, których wcześniej ewakuowano z budynku, ocaleją, ale wiele osób zostało. Tacy jak ty, z objawami Zenitu, mieli pomóc zatrzymać Istotę. Przeżyli tylko ci, których tu sprowadzono. To tak w największym skrócie.

Banach milczał. Starał się poukładać fakty. Uszeregować je w jakimś logicznym porządku, który zmieściłby w sobie zarówno teraźniejszość, która była przeszłością, jak i przyszłość, której niemal nie przeżył.

– Kto mnie tu sprowadził?

– Wszystko w swoim czasie, cierpliwości. Być może nawet spotkałeś się z nim w Strukturze.

Powóz zatrzymał się przed jakąś bramą. Woźnica zsiadł z kozła i oznajmił coś Majewskiemu. Ten wygrzebał z kieszeni surduta kilka monet i wręczył je zadowolonemu woźnicy.

– Wysiadamy – oznajmił potem wesoło. – Uważaj na stopnie. Już kilka razy poślizgnąłem się na tych wąskich schodkach.

Powóz odjechał. Mężczyźni zostali na wybrukowanym nierównymi kamieniami chodniku. Banach rozejrzał się wokół, starając się wchłonąć jak najwięcej z otaczającego go świata. Powietrze wypełniały zapachy, których nie rozpoznawał. Światło było inne, ostrzejsze. Wyraźnie rysowały się w nim budynki, drzewa, odległe góry. Poczuł się jak wtedy, gdy pierwszy raz, walcząc z wadą wzroku, założył okulary. Nie mógł zrozumieć, jak do tej pory sobie bez nich radził.

Klucz, który zazgrzytał w zamku bramy, wyrwał go z zamyślenia. Majewski pchnął furtkę i ruchem dłoni zaprosił Banacha, by wszedł na podwórzec. Furtka została na powrót zamknięta. Mężczyźni stali przed frontem pałacyku należącego zapewne do mającej rodziny. Banach nie był za bardzo wrażliwy na piękno architektury, ale zwrócił uwagę na misterne zdobienia wokół okien i złote ornamenty pokrywające kolumny na ganku. Podeszli bliżej. Majewski zachowywał się jak gospodarz. Obracał w dłoniach pęk kluczy. Wspięli się po trzech stopniach ganku i stanęli przed białymi drzwiami. Złota kołatka w kształcie wykrzywionego końskiego pyska zapraszała do pukania. Banach pogłaskał chłodny metal.

– Nie pukaj – odezwał się Majewski. Znalazł klucz i zaczął nim obracać w zamku. – On i tak nie otworzy.

– On?

– Sprowadził cię tutaj. Chodźmy.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Obszerny korytarz wypełniło słoneczne światło. Powietrze wewnątrz było nieruchome, chłodne. Wirował w nim kurz. Dom wydawał się pusty, głuchy i cichy. Weszli do środka. Majewski natychmiast ruszył w głąb domu i zaczął otwierać okna, Banach zaś zatrzymał się tuż za progiem, na miękkim dywanie ozdobionym barwnymi geometrycznymi wzorami. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemnego wnętrza.

Z głębi domu usłyszał głos Majewskiego:

– Chodź tutaj! Do salonu! Tu jest najwięcej miejsca!

Banach ruszył korytarzem. Jego kroki wyciszył gruby dywan. Na ścianach zauważył oprawione mapy, szkice przedstawiające grupki czarnoskórych mężczyzn na tle prymitywnych chat oraz skórę jakiegoś niewielkiego zwierzęcia. Z sufitu zwisały dwie lampy.

Salon, w którym czekał już na niego Majewski, był jasny i przestronny, mimo że pod ścianami stały potężne mahoniowe meble. Drewnianą podłogę pokrywał wzorzysty, nieco przetarty już dywan. Na ścianach powieszono kilka realistycznych pejzaży. Po obu stronach okien pyszniły się starannie upięte białe firany.

Majewski siedział rozparty na szerokiej kanapie.

– Siadajże! – zawołał wesoło. – W końcu jesteśmy na miejscu. Trzeba będzie dać znać służbie. Udało się.

– Dom jest pusty?

Majewski zaśmiał się i klepnął z rozbawieniem w kanapę.

– Tak to wygląda, prawda? Za każdym razem jest tak samo. Nie, dom nie jest pusty. Nasz gospodarz za chwilę się pojawi. Już pewnie usłyszał, że weszliśmy.

Banach podszedł do okna wychodzącego na tyły domu. Obok drewnianych budynków gospodarczych krzątała się jakaś zgarbiona kobiecina. Wokół jej nóg krążyło stadko kur.

– Dzień dobry.

W pokoju zabrzmiał niski męski głos. Banach odwrócił się natychmiast i ujrzał mężczyznę siedzącego spokojnie na jednym z wysokich foteli. Ubrany na szaro, uśmiechał się delikatnie, a jego twarz wyrażała łagodną troskę. „Jak on tu wszedł, przecież patrzyłem przez okno zaledwie kilka sekund?”.

– Proszę podejść, bez obaw – powiedział. – Wiem, że dziwi pana moje nagłe pojawienie się tutaj, jednak wkrótce przestanie się pan temu dziwić. Ten sposób zarządzania domem jest dla mnie o wiele bardziej praktyczny niż tradycyjne gospodarowanie.

Mężczyzna wstał i wyciągnął ku Banachowi rękę. Dłoń zabandażowana była białym materiałem.

– Piotr – przedstawił się. – Wydaje mi się, że kojarzę pana z naszego ostatniego zebrania w Strukturze, a pamięć mam raczej dobrą. Witamy w XIX wieku...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



Komisarz Śnieg czuł się rozczarowany. Gdy tylko ich samochody zatrzymały się przed budynkiem Struktury, Forst bez słowa wysiadł z auta i zostawił go w środku.

– Panie Forst! – krzyknął Śnieg. – Forst! Co dalej?!

Forst odwrócił się i rzucił:

– Proszę poczekać. Za chwilę wrócę. Muszę odprowadzić von Treschkova. Cierpliwości.

Forst podszedł do drugiego samochodu. Niemiecki dyplomata już na niego czekał. Śnieg przyjrzał się młodemu człowiekowi. Był blady, opierał się o maskę auta. Być może nawet został mu podany jakiś narkotyk, coś, co go oszołomiło lub osłabiło jego wolę.

Komisarz także wysiadł z samochodu, by rozprostować obolałe kolana. Przespacerował się po szerokim podjeździe, na którym parkowało kilkanaście innych aut. Wciąż podjeżdżały nowe. Zjawily się nawet dwa rządowe pojazdy; umundurowani szoferzy nerwowo kręcili się wokół swoich maszyn, paląc papierosy.

Śnieg stanął w cieniu najbliższego drzewa. Spojrzał w niebo. Wciąż było krystalicznie czyste, błękitne, jak świeżo położona farba. Wiedział, że kilkanaście kilometrów stąd pojawił się już Zenit. Rano, z lądowiska sterowców, wszystko nie wyglądało najgorzej – nad miastem otworzyło się niebo, które zabarwiło się nad Antipolis na granatowo. Jednak coś podpowiadało Śniegowi, że nie warto czuć się gdziekolwiek bezpiecznie. Kapryśne zjawisko mogło nie ograniczyć swojej aktywności do obszaru miasta. Ludności cywilnej

wmówiono, że w miasteczkach namiotowych i miejscowościach rozsianych wokół stolicy będzie bezpieczna. Jednak Śnieg wiedział, że ewakuacja, którą trzeba było przeprowadzić w ciągu kilku dni, nie mogła objąć swoim zasięgiem większej przestrzeni.

Wzbierało w nim poczucie rozczarowania. Czuł się wykorzystany przez kontrwywiad. Po prostu figurował w ich aktach jako zaufany współpracownik, więc sięgnięto po niego, by wzmocnić siłę perswazji. Ale cała akcja była mocno improwizowana i – jak zwykle w takich przypadkach – nikt nie liczył się z uczuciami osób biorących w niej udział.

Pomyślał o swoim wydziale. Przerzuceni do sąsiedniego miasteczka, zajęli tamtejszy ratusz i czekają zapewne na rozwój wypadków. Snują się teraz bez celu czy zapewniają bezpieczeństwo uciekinierom z Antipolis? Z niemal tkliwością przypomniał sobie twarze Lesmana, Głowackiego, Milara... Szybko przywołał siebie do porządku. „Teraz jest teraz”, powiedział głośno. „Teraz jest teraz”.

* * *

Przejechawszy kilkanaście kilometrów na skradzionym motorze, Mraczewski poczuł nagle, że silnik maszyny zaczyna nierówno pracować. Początkowo zignorował fakt, że szarpie do przodu i zwalnia bez powodu, ale gdy omal nie wjechał w tył wlokącej się przed nim ciężarówce, zjechał na pobocze i się zatrzymał.

Nie miał zamiaru ryzykować spotkania z policją drogową, której kilka patroli minął, przyplacając to niemal atakiem panicznego lęku. Nie po to wyrwał się Hetzlerowi i jego oprawcom, by teraz wpaść w ręce funkcjonariuszy dokonujących rutynowych czynności. Morderstwa, które popełnił na początku lata, w obecnej sytuacji wydawały się odległym, mglistym wspomnieniem. Ewakuacja miasta, duch Adama mordujący przypadkowego nieszczęśnika – teraz to wysunęło się na pierwszy plan.

Zostawił motor na poboczu. Przeszukał sakwy przytroczone do bagażnika i znalazł w nich dwa komplety ubrań, przybory toaletowe, teczkę pełną dokumentów, dwie książki i, ku swojemu zadowoleniu, portfel z grubym plikiem banknotów. Dokument tożsamości był bezużyteczny. Mężczyzna, do którego należał, był sporo starszy od Mraczewskiego. Nikt nie dałby się oszukać. Odpiął jedną z sakw,

spakował do niej wybrane rzeczy i przerzucił ją przez ramię. Ruszył wolno poboczem, licząc na to, że ktoś się nad nim ulituje i zatrzyma pojazd.

Nie miał zegarka, ale słońce na niebie sygnalizowało zbliżające się południe. Upał narastał. Czuł zapach nagrzanego asfaltu i smród spalin, dochodził go nieustanny, miarowy łoskot silników. Mraczewski poczuł głód i pragnienie. „Trzeba było przeszukać dom właściciela motoru”, pomyślał z żalem, „na pewno bym coś tam znalazł. Teraz trzeba będzie kogoś prosić...”.

* * *

Miał szczęście. Za ledwie kilka razy machnął ręką w kierunku przejeżdżających autobusów, a już jeden z potężnych wehikułów zatrzymał się i kierowca otworzył drzwi, aby zaprosić Mraczewskiego do środka.

– Gdyby miał pan bagaż, nie zatrzymałbym się. Prawie trzemy podwoziem po asfalcie. Wsiadaj, bracie!

Zdziwiony jowialnością kierowcy, zajął jedyne wolne miejsce. Wreszcie mógł zdjąć za luźne buty odziedziczone po zastrzelonym spirytyście. Z nieprawdopodobną rozkoszą wyciągnął nogi. Pojazd był szczelnie wypełniony.

– W ostatniej chwili pan wszedł – odezwała się do niego siedząca obok chuda kobieta w średnim wieku. Spojrzała na niego przez mocne okulary, które co i rusz zsuwały jej się na czubek nosa.

– Nie rozumiem.

– To ostatni autobus z miasta. Koniec ewakuacji. Za parę kilometrów wysiadamy. W Szadku. Ten autobus tam jedzie. Tam jest punkt ewakuacyjny – wyjaśniła. – Już się przestałam bać o dom. Myślę, że co będzie, to będzie. Rodziny i tak tam nie mam. Wszyscy wyjechali już wcześniej. Przed laty. Wszyscy – powtórzyła, zwieszając głowę.

– Takie życie – mruknął Mraczewski, który nie miał wcale ochoty wysłuchiwać zwierzeń starszej pani. „Jedziemy do Szadka”, pomyślał. Już kiedyś tam był. Kilka lat temu jego pryncypał wysłał go tam z ofertą handlową do jednego ze sklepów galanteryjnych. Zanim jednak do niego trafił, długo błądził po uliczkach przylegających do rynku. Zdążył zjeść obiad w niewielkiej restauracyjce i kupić kilka

droższych cygar w wyjątkowo dobrze zaopatrzonej trafice. „Nie zginę tam”, pomyślał z zadowoleniem, przypominając sobie wypchany pieniędzmi portfel.

– Ma pani coś do picia? – zapytał.

* * *

Na rynku w Szadku kłębił się gigantyczny tłum. Mraczewski widział tylko plecy drepczących przed nim kobiet, mężczyzn, dzieci. Nie słyszał nawet własnych myśli w tumulcie przekrzykujących się ludzi. Całości dopełniały chrapliwe komunikaty dobiegające z megafonów.

Było gorąco. Mraczewski niemal konał z pragnienia. Zdjął marynarkę, przerzucił ją przez ramię. Z trudem wyrwał się z zatłoczonego rynku i ruszył jedną z bocznych uliczek.

Jeż i Lis – przeczytał na szyldzie zawieszonym nad wejściem do niewielkiej piwiarni. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Wszystkie stoliki były zajęte; klientela – starsi i młodszy mężczyźni – wydawała się w większości tutejsza. Niemal wszyscy palili papierosy, kilku czytało gazety. Masa niedopałków zaścielała drewnianą, trzeszczącą podłogę. Chłodny półmrok odpowiadał Mraczewskiemu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Był tylko kolejnym wywiezionym z Antipolis człowiekiem.

– Jasne piwo – poprosił barmana, gdy stanął przy kontuarze. Oparł się o szeroki, chłodny blat i cierpliwie czekał, aż kufel wypełni się, a piana zacznie przelewać. Barman podał piwo i wymownie spojrzał na Mraczewskiego, który wyciągnął z kieszeni portfel, dwoma palcami chwycił banknot i podał go barmanowi. Ruchem dłoni podziękował za resztę. Pił powoli, rozkoszując się zimnym piwem.

* * *

Nadja nie wiedziała jeszcze, co zrobić z duchem Wieriesiołowa. Nie miała pojęcia, czy pojawił się w związku z Zenitem, czy sama Blanka przyciągnęła go jako osobę, z którą związał się za życia. Być może krążył teraz po korytarzach Struktury, która powoli pustoszała po ogłoszonej ewakuacji. Miała tylko głęboką nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiała mieć do czynienia z tym bytem. Przytapała

się na tym, że idąc pustym korytarzem, kilka razy obejrzała się za siebie, a wchodząc do pokoju, w którym czekała na nią Blanka, poczuła, że drżą jej dłonie. W pokoju oprócz dziewczyny byli już Forst i von Treschkov.

– Daliście mu coś, prawda? – zapytała, patrząc dłuższą chwilę na chłopaka.

Von Treschkov siedział sztywno na kanapie. Dłonie miał złożone na kolanach, oczy nieobecne. Jego brunatny garnitur wydawał się za duży.

Forst się uśmiechnął.

– Musieliśmy. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co mu tłumaczyliśmy. Bronił się przed przeznaczeniem. Sama wiesz, że nie da się uciec przed tym, do czego nas powołano.

Nadja zazgrzytała zębami.

– Forst, takie mądrości to możesz sobie w pamiętnikach pisać – odparowała. – Ja wiem, co pompujecie w ludzi, którzy mają być do waszej dyspozycji. Pytanie, ile to jeszcze będzie działało i jak to wpłynie na jego zadanie.

– Nie bój się – odpowiedział Forst. – To delikatna substancja, po której człowiek staje się bardzo miły i skłonny do współpracy. Nie bój się, nie odpłynie nam.

Blanka stała obok swojego przyrodniego brata. Podobnie jak on nie zdradzała większych emocji. Pogodziła się już z sytuacją, w jakiej się znalazła. „Może to rodzinne”, pomyślała Nadja, ale po chwili uświadomiła sobie, że tych dwoje łączy przecież tylko postać Istoty, Caspara.

– A teraz czas na największą niespodziankę. – Forst podszedł do biurka, na którym leżała czarna walizka. Wyciągnął z kieszeni kluczyk, otworzył ją. Zaciekawiona Nadja zajrzała do środka.

– Tym czymś mamy się pozbyć Caspara? Przecież to...

Forst się uśmiechnął.

– Ty i ci twoi... – zachnął się. – Wydaje się wam, że skoro wcześniej nikomu nie podlegaliście, to jesteście wyjątkowi. Prawda? Tylko wy potraficie rozwiązywać, powiedzmy, nietypowe problemy? Nie tylko.

– Co to jest?

– Pamiętasz „zęb boga”? Ten artefakt wystawiony na aukcję w zeszłym miesiącu?

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

– Tak. – Forst kiwnął głową. – Udało nam się wyizolować ze środka kryształek. Zrobiliśmy to oczywiście za pomocą innych artefaktów. Stworzyliśmy coś w rodzaju kuli...

– Daj spokój! To brzmi jak z opowieść o wilkołakach! Naprawdę wielki wywiad utoczył kulę, którą zamierza odstrzelić głowę Istocie?! Bogowie... – Nadja podniosła ręce do góry w geście imitującym modlitwę.

Forst rzucił jej miażdżące spojrzenie, ale najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę z tego, że na pierwszy rzut oka plan zastrzelenia Caspara może wydawać się dziecinny i banalny.

– Masz lepszy pomysł? Ktokolwiek ma? – zagrział. Jednocześnie z Nadją spojrzeli na Blankę i jej brata. W spojrzeniu dziewczyny był strach, a chłopaka – wymuszona obojętność.

Teraz trzeba było jedynie zjechać do Rdzenia...

* * *

Powoli. Tak. Powolutku. Nauczył się czekać. Odmierzać czas nie skurczami serca, ale powolnym podnoszeniem i obniżaniem temperatury własnego ciała. Od lat, chociaż nie potrafił posługiwać się taką jednostką czasu, spokojnie obserwował krążących wokół niego ludzi. I mimo pozorów snu jego uwaga i zdolności poznawcze nieustannie były napięte.

Pochylano się nad nim. Próbowano zbadać ciało. Znaleźć jakikolwiek klucz, który pozwoliłby ludziom poznać, czym tak naprawdę są ci, których uważają za bogów. Bardziej wyczuwał, niż rozumiał swój własny status, a oni raczej to zgadywali. Pod każdym względem przewyższał tych, wśród których przyszło mu od tylu lat istnieć. W każdej chwili mógł rozporządzać umysłami, ciałami i wolą tych, którzy wokół niego krążyli. Nie chciał jednak tego robić. Bardziej odpowiadała mu rola badacza, eksploratora Niższego Świata niż siły demolującej zastaną rzeczywistość.

Wspomnienia pierwszych lat były mgliste. Nie pamiętał, jak znalazł się wśród ludzi, jednak szybko zaczęto go hołubić, dopatrując się w nim elemencie skutecznie podnoszącego zdolności

obronne państwa. Stąd paradował zazwyczaj w mundurze, który specjalnie dla niego uszyto. Żadna armia tego świata nie nosiła podobnych piaskowych barw. Był generałem jednoosobowej armii.

Przyprowadzano mu kobiety. Za każdym razem inną. Doprowadzano do współżycia, chociaż nie czuł wtedy większej przyjemności. Spłodził kilkanaścioro dzieci, jednak nie odkrył w sobie czegoś, co byłoby choć namiastką uczuć ojcowskich. Uczuć spotykanych również w jego świecie.

Wojna, w której miał wziąć udział, zaskoczyła go. Nikt w ten sposób nie rozwiązywał konfliktów w Wyższym Świecie. Zdziwiła go słabość, jaką poczuł, gdy zetknął się z chorobą dziesiątkującą żołnierzy. Zapadł w letarg, a mimo to czuł, jak chorobotwórcze wirusy moszczą się w jego ciele. Miał świadomość ich ruchu. Namnażania się.

Wtedy być może pierwszy raz zdał sobie sprawę z tego, że powinien wracać do siebie. Że on, ludzie i wirusy to siły, które konkurują ze sobą o zdominowanie przestrzeni Niższego Świata.

Leżąc w szklanym sarkofagu w podziemiach budynku, którego przeznaczenia nawet nie chciał znać, czekał, aż jego świat na powrót zbliży się, wyczuje brak jednego z ogniw i sięgnie po zgubioną własność. Cekał na powrót do łańcucha istot, które go spłodziły.

Unosił się w błękitnym, nieznacznie falującym gęstym płynie. Krążyli wokół niego ludzie. Czuł ich obecność. Z czasem zaczął też wyczuwać inny rodzaj egzystencji – istoty, w których krwi płynęły pierwiastki zarówno z Wyższego Świata, jak i z Niższego. Mieszkańcy, tacy jak jego dzieci, czerpali siłę z milczącej obecności Caspara. Wiedział, że to dzięki jego istnieniu ich możliwości uaktywniają się, umacniają, dają kontrolować.

W końcu przyszedł dzień, gdy dotarły do niego echa ojczyzny. Promieniowanie, które kłębiło się w eterze wypełniającym ludzki świat, zaczęło kumulować się w pobliżu miejsca, w którym spoczywał. Zrazu przenikały go spokojne dreszcze, które budziły w jego ciele przyjemne, podniecające uczucie rozpoznania. Podejrzewał, że to właśnie czuli ci wszyscy, którzy powracali z dalekich wojaży i wpatrywali się w zarysy dobrze znanych budowli, w kształty krajobrazu, jakie pielęgnowali w sobie przez całą rozłąkę.

Czekał cierpliwie, chociaż coraz częściej czuł się okradany. Ci, którzy krążyli wokół jego ciasnej komory, zabierali mu siły. Mieszkańcy żerowali na nim, chociaż najprawdopodobniej nie zdawali sobie z tego sprawy. Osłabiali go, usypiali, ale nie mogli niczego poradzić na to, że Wyższy Świat w końcu się o niego upomniał.

Teraz, gdy podniósł powieki i przez błękitną zasłonę płynu widział ćmiące w ciasnym pomieszczeniu światełko, z radością dostrzegał również gęstniejącą, falującą aurę. Blask Wyższego Świata, niedostrzegalny dla ludzi, był sygnałem zbliżającego się powrotu. Musiał wyjść na spotkanie ojczyzny.

ROZDZIAŁ SZESNASTY



Wstał z kolan i odłożył różaniec na niewielki stoliczek stojący obok łóżka. Poprawił szkaplerz, narzucił habit (jedyne ubranie, w którym czuł się swobodnie) i spojrział przez wąskie okno, wypatrując czegoś, co mogłoby potwierdzić jego przeczucia. Cała seria snów z kilku ostatnich nocy zapowiadała dramat, którego uczestnikiem – nie tylko świadkiem – miał się stać.

Widział to miejsce w gruzach, pyle i płomieniach. Nie rozpoznawał twarzy ludzi, którzy starali się opuścić pałac, ale wiedział, że tylko on może im pomóc – przynajmniej niektórym z nich – choć nie umiał jeszcze określić, jak ma to zrobić. Ledwie przeczuwał, co oprócz Zenitu może być bezpośrednią przyczyną nieszczęścia. Jakimi drogami śmierć zamierza przejść.

– Panie... – westchnął. – Jeżeli tego chcesz, niech tak się stanie. Jeżeli mam być narzędziem, będę nim.

Pochylił głowę i przymknął oczy. Złożył dłonie, jakby chciał na nowo pograć się w modlitwie. Dwie rany na dłoniach, które po przebudzeniu sam sobie opatrzył, zaczęły znów boleć. Delikatny, wibrujący ból ocierał się o przyjemność. To znak do działania.

Był już po krótkiej odprawie, w czasie której zgromadzono wszystkich przywiezionych tutaj w ciągu kilku ostatnich dni. Siedzieli w niewielkiej salce konferencyjnej wokół owalnego stołu. Piotr pierwszy raz miał szansę przyjrzeć się dokładnie tym, których zaczęto nazywać dziećmi Zenitu. Nie podobało mu się to określenie. Buntował się wewnętrznie przeciwko sugestiom, jakoby jego dary nie

miały niczego wspólnego z Jedynym Bogiem, a istniały jedynie jako pozostałości odległego w czasie kontaktu z Istotą. Kontakt, którego ofiarą była jakaś żyjąca setki lat temu kobieta z jego rodziny.

Postanowił się nie odzywać. Przyzwyczajony do otaczającego go stale wianuszka niedowiarków, obyty z tymi, których nie potrafił nawrócić, okrzepł nieco w swoim zapale i wolał najpierw uważnie obserwować, a potem być może wyrażać swoje przekonania.

Otaczali go ludzie, których kojarzył z korytarzy Struktury. Nie odróżniali się niczym od zwykłych, przeciętnych mieszkańców miasta. Młodszy, starsi. Kobiety, mężczyźni. Wysocy, niscy. Kilkanaście osób, których niejasne przeznaczenie właśnie przed nimi odkrywano.

– Witajcie! – odezwała się młoda dziewczyna w grafitowym komplecie ze srebrną broszką przypiętą do klapy żakietu. – Niektórzy z was już mieli ze mną do czynienia. Jeżeli ktoś mnie nie kojarzy, proszę do mnie mówić Nadja. Jestem tu po to, by nauczyć was korzystać z możliwości, które już od jakiegoś czasu w sobie obserwujecie. – Poprawiła opadającą na czoło grzywkę i kontynuowała: – Niestety, nie możemy poświęcić wam zbyt wiele czasu – jej głos nieznacznie zadrżał. – Niektórzy zostaną oddelegowani wraz z innymi ewakuowanymi, reszta pozostanie tutaj.

– Czy to ma coś wspólnego z Zenitem? – odezwał się lekko łysiejący, otyły blondyn.

– Tak. Wiecie, że stanowimy jeden oddział. Zamkniętą komórkę. I chociaż dopiero wdrażacie się w procedury, muszę być z wami szczerą. Tak. Być może Zenit dotrze aż tutaj. Jest takie prawdopodobieństwo. Sądzymy, że ci, którzy mają „objawy Zenitu”, mogą przetrwać spotkanie z tamtą rzeczywistością.

Szmer wypełnił niewielką salkę.

– To znaczy, że mamy tutaj czekać, aż wy sprawdzicie, jak zareagujemy na koniec świata?! – krzyknął jakiś mężczyzna. Najstarszy z siedzących przy stole.

– Jeżeli to pana uspokoi, ja też tutaj zostanę.

– Nie, nie uspokoi mnie – fuknął.

– A więc skoro mamy to już ustalone, przejdźmy do sedna sprawy. – Nadja uciekła wzrokiem przed spojrzeniem mężczyzny. – Mam tutaj wasze teczki osobowe. I przypominam, że każdy z was

podpisał zgodę na współpracę z państwem. Przeczytam nazwiska tych, których poproszę o wyjście. Macie zgłosić się do dyżurnego i przejść na plac przed budynkiem. Tam znajdziecie autobus, który zawiezie was w bezpieczne miejsce.

– Czyli t o miejsce jest niebezpieczne? – zapytał znów ten sam otyły blondyn.

Nadja zignorowała jego słowa.

– Czytam nazwiska. Proszę uważać.

* * *

Był jednym z tych, których zostawiono w budynku. Nie był tym zdziwiony. Powoli obracane w palcach paciorki różańca uspokoiły go, oczyściły myśli. Czekał, chociaż mógł spodziewać się tego, do czego został powołany.

Oprócz niego w sali zostało pięć osób. Agent Orsetti. Chłopak, w którego twarzy odnaleźć można było podobieństwo do siedzącej obok niego wystraszonej dziewczyny. Dojrzały, spokojny mężczyzna, który nieobecny wzrokiem wpatrywał się w mapę wiszącą na ścianie oraz nieogolony mężczyzna w brązowym habicie.

– Jesteśmy tutaj po to – zaczęła Nadja – by unieszkodliwić pewne zagrożenie. Zagrożenie to tkwi kilka pięter pod nami. W piwnicach budynku. Wytłumaczę wam, na czym polega nasze zadanie.

Dziewczyna zawiesiła głos. Sięgnęła po szklankę z wodą.

– Wam też radzę się napić.

* * *

Śnieg wciąż czekał na agenta Forsta. Zostawiony na parking, dość szybko znudził się obserwowaniem wypływającego z budynku Struktury strumienia ludzi. Gromadzili się w mniejszych lub większych grupkach, rozmawiali ze sobą nerwowo, rozglądali się na boki, by w końcu z ulgą wsiąść do podstawianych autobusów.

Na rozległym parkingu mogły się zmieścić najwyżej cztery autobusy; dwa właśnie usiłowały odjechać, ale brakowało im miejsca pomiędzy samochodami osobowymi, by wykonać niezbędne manewry. Odezwały się klaksony. Pierwsze krzyki kierowców i

poddenerwowanych pasażerów przypominały Śniegowi typowy dzień na ruchliwych ulicach Antipolis. Komisarz się uśmiechnął.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej talię kart Heraklita. Nie patrząc, chwycił pierwszą i przeczytał: „Na jawie świat jest dla wszystkich jeden i ten sam; ale we śnie każdy ucieka do własnego świata”. „Chciałbym”, pomyślał, „chciałbym... wyspać się w końcu”. Nie chciało mu się uciekać do bardziej wysublimowanych interpretacji wróżby. Nie tym razem. Wiszące wysoko słońce, nieruchome powietrze, nieprzespana noc działały na Śniega obezwładniająco.

Rozejrzał się po terenie Struktury. Olbrzymi pałac, którego elewację pomalowano na biały kolor, otaczał park. Park zaś zamknięty był wysokim na trzy metry murem. „Tu muszą być jakieś ławki”, pomyślał komisarz, „skoro wjeżdżając tutaj, mijaliśmy fontannę. Bogowie... Jaki upał”.

Ruszył z miejsca i gdy był już na środku parkingu, usłyszał za sobą głos Forsta:

– W porządku, komisarzu, ja już swoje załatwiłem. Jestem wolny. Powinien pan dołączyć do tych, którzy wyjeżdżają.

– Moi ludzie tkwią po drugiej stronie miasta. To właśnie tam miałem się zameldować, zanim się pan o mnie upomniał.

Widać było, że Forstowi przestaje zależeć na tym, co stanie się z policjantem.

– Pomyślmy... – zawiesił głos i podrapał się po czole. – Najbliżej jest Szadek. Oni wszyscy tam jadą. Tam też są siły policyjne. Potrzebują tam pana. A za dzień, dwa... Wie pan, Zenit się cofnie.

– Miejmy nadzieję.

– Tak, miejmy nadzieję, a wtedy zaczną się powroty.

– Obyśmy tylko mieli do czego wrócić.

Forst się zachnął.

– Nie będzie tak źle, panie komisarzu. Moim zdaniem w samym mieście nie będzie tak źle. Tutaj może być gorzej, między nami mówiąc. Ale to już nie nasze zmartwienie. Chodźmy. Mój kierowca zawiezie pana do Szadka. Proszę się nie martwić na zapas.

Śnieg westchnął ciężko. Kolejny raz musiał poddać się woli Forsta. Zdjął marynarkę, przewiesił ją przez ramię i ruszył za

Forstem. Ostatni raz odwrócił się w kierunku budynku Struktury, by... I wtedy to zobaczył.

– Forst! – krzyknął. – Patrz!

Niebo nad gmachem zmieniło swoją barwę. Z jasnoblękitnego stało się granatowe, by po ułamku sekundy eksplodować feerią przenikających się wzajemnie brązów, popieli i szkarłatów. Biały pałac skrzył się, jakby rzucano na niego snopy świateł. Iluminacja trwała kilka minut. W tym czasie część zgromadzonych na parkingu ludzi patrzyła jak zahipnotyzowana w niebo, część wrzeszczała na kierowców, którzy bez skutku próbowali uruchomić silniki pojazdów.

Powietrze przenikały prądy energii. Śnieg czuł, jak jego ubranie elektryzuje się, a włosy podnoszą. Zaczęły go boleć zęby. Chciał krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle. Miał wrażenie, że nie oddycha. Osunął się na kolana, po chwili upadł na szorstką nawierzchnię parkingu.

Kątem oka dostrzegł Forsta wciąż patrzącego na widowisko, jakie zgotował im Zenit. Szeroko otwarte oczy agenta odbijały geometryczne kształty. Zorganizowana rzeczywistość kierowała się ku nim spokojnym lotem. Opadała jak meduza na dno tego świata, by otrzeć się o niego i wrócić tam, skąd pochodziła. „To jakby lądowanie”, pomyślał Śnieg, przypominając sobie sterowiec, który zabrał niemieckich dyplomatów w kierunku Gdańska. To była jego ostatnia świadoma myśl.

* * *

FRAGMENT PAMIĘTNIKA NADJI N.

MÓJ WIEK

Rozdział Trzeci

Zenit, mon amour

Antipolis, 1976

Gdy wracam myślami do tamtego nieszczęsnego dnia, nie mogę pozbyć się natrętnej myśli, że nigdy wcześniej ani nigdy później nie byłam obarczona tak ogromną odpowiedzialnością, a jednocześnie nigdy wcześniej ani nigdy później nie mogłam zrobić mniej, by powierzona mi misja zakończyła się sukcesem. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Pomimo prac komisji, która starała się obarczyć

mnie winą za śmierć osób, nad którymi sprawowałam pieczę, nigdy nie czułam się winna. Historia lubi po wielu latach powtórnie osądzać takie przypadki i myślę, że moja osoba również zostanie zrehabilitowana w oczach tych, którzy widzą we mnie odpowiedzialną za częściowe niepowodzenie całej akcji.

Akcja, którą przygotowałam wraz z agentem Orsettim, była w dużej mierze improwizowana. Od momentu rozpoznania zagrożenia przez kontrwywiad do pierwszych kroków, jakie poczyniliśmy, by zabezpieczyć Strukturę przed zniszczeniem i uwolnieniem się Istoty, zwanej dalej Casparem, minęły dokładnie trzy godziny. Dodam, że w budynku znajdował się jeszcze ówczesny premier kraju wraz z kilkoma ministrami.

Nie mieliśmy czasu, by przygotować jakikolwiek plan, który będzie miał chociaż jedno wyjście awaryjne na wypadek niepowodzenia. Caspara należało jak najszybciej unieszkodliwić, by nie doszło do zniszczenia Struktury i potencjalnie groźniejszych konsekwencji, które mogłyby objąć ogromną przestrzeń. Kontrwywiad, a konkretnie agent Forst, zaopatrzył nas w broń do unieszkodliwienia Caspara. Za spust pociągnąć miała dwójka dzieci Istoty.

W odwodzie mieliśmy między innymi Tadeusza Banacha, agenta, który w odpowiednich warunkach potrafił widzieć dany wycinek przyszłości, oraz Piotra, chrześcijańskiego mnicha umiejącego leczyć. Mieli oni wspierać rodzeństwo w próbie zgładzenia ojca. Nie mogę pisać o nich bez wzruszenia, gdy przypomnę sobie ich bohaterstwo i zdolność do poświęcenia.

Tamtego sierpniowego dnia przestałam się czegokolwiek spodziewać...

* * *

– Co to było? – agent Orsetti odwrócił głowę w stronę okna. Nadja zrobiła to samo. W ciągu sekundy zrozumiała, że wszystko się skończyło, zanim w ogóle zdążyło się zacząć. Drzewa, których szumiące korony zwykle widziała z tego pokoju, nabrały fioletowej barwy, która płynnie zmieniła się w żółtą. „Coś dzieje się ze światłem”, pomyślała.

– Idziemy! – rozkazała. – Orsetti, prowadź naszą dwójkę do Rdzenia. Ja muszę jeszcze zamienić parę słów z panem Banachem. Szybko!

Orsetti wziął Blanę pod rękę i skinął na von Treschkova. Sam dźwignął czarną walizeczkę, w której leżały dwa pistolety nabite kulami mającymi uśmiercić Istotę. Cała trójka wyszła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Nagle budynkiem targnął wstrząs.

Poddenerwowana Nadja zwróciła się do Banacha:

– Wiem, że potrafi pan widzieć przyszłość. Pomogę się panu skoncentrować, a pan powie, co widzi. A pan, panie Piotrze – odwróciła się do mnicha – niech spróbuje zejść do Rdzenia i sprawdzić, co się dzieje z Istotą. Trafi pan tam bez problemu. To najniższy poziom budynku. Jeden korytarz. Jedne drzwi. Trafi pan.

Piotr wstał.

– Mam za nimi iść?

Nadja spojrzała Piotrowi prosto w oczy i warknęła:

– Niech pan nie udaje, sytuacja jest zbyt poważna. Proszę tu zostać, a na dół wysłać tego drugiego. Przecież pan to umie. Pomóc panu czy sam pan da radę tutaj i teraz?

Mężczyzna kiwnął głową. Usiadł i zaczął obracać w palcach koraliki różańca.

– Będę tu z wami – powiedziała szorstko. – Jest szansa, że nam się uda. Panie Banach, jest pan z nami? Panie Banach...

* * *

„...korytarze rozwidlają się. Boazeria, parkiet, drzwi – wszystko faluje, jakby rozpychane od środka siłami, które przybyły do naszego świata”. Banach, będąc czystym widzeniem, nie czuł ograniczeń ani przeszkód na drodze, na którą kierował swoje spojrzenie. Jego wzrok prześlizgiwał się po poznanych kilka dni wcześniej pomieszczeniach. Skupiał się, rozluźniał, oddychał.

Dzięki Nadji mógł z nieprawdopodobną precyzją eksplorować przyszłość. Wizje przestawały być chaotyczne, kapryśne. Uzależnione od nieprzewidywalnych skurczów czasu. Dodatkowo obecność Zenitu wzmacniała możliwości Banacha. Widział ostro i precyzyjnie.

Agent Orsetti otworzy niewielką czarną walizeczkę i wręczy dziewczynie i chłopakowi po jednym pistolecie. Walizeczkę zamknie i odłoży pod ścianę. Dziewczyna zacznie narzekać, że pistolet jest za ciężki. Chłopak podniesie pistolet, wyceluje w widmowy punkt na końcu korytarza i potwierdzi coś kiwnięciem głowy. Orsetti uśmiechnie się i poklepie go po ramieniu. Dziewczyna rozepnie kołnierzyk białej koszuli. Pierwsza ruszy w stronę windy.

Tutaj wszystko jednak się urywało... Czerń.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



Drzwi niewielkiej windy zatrzęsnęły się ze zgrzytem. W ciasnym pomieszczeniu trzy osoby próbowały nie patrzeć sobie w oczy. Blanka zmrużyła oczy, twarze jej przyrodniego brata i agenta Orsettiego się rozmyły. Dziewczyna po chwili poczuła napływające łzy. Bała się. Trzymając w obu rękach potężny pistolet załadowany kilkoma nabojami, czuła przytłaczający ją ciężar zadania.

Z młodym mężczyzną, którego przedstawiono jako jej brata, nie zamieniła ani słowa. On też nie był rozmowny, a gdy porozumiewali się z Orsettim, robili to po niemiecku. Pamięć, którą zapełniały tylko obrazy z kilku ostatnich dni spędzonych w tym budynku, rzucała cień na jej psychikę. Czuła w sobie tak wielką pustkę, że nie mógł jej wypełnić nawet strach.

Winda zatrzymała się miękko. Orsetti pchnął drzwi.

– Idziemy – rzucił krótko. – Jeżeli mamy szczęście, on tam ciągle leży. Jeżeli nie, wtedy...

Drzwi do Rdzenia otworzyły się. Na progu klęczał Caspar ubrany w mundur ociekający błękitnawym, gęstym płynem. Przechylił się do przodu i ruszył w ich kierunku na czworakach. Zwieszona głowa kiwała się na boki, czarna czupryna lśniła od wilgoci. Istota poruszała się niezdarnie, groteskowo. Przypominała odurzonego alkoholem nieszczęśnika, który ma problemy z utrzymaniem równowagi.

– Teraz – rzucił Orsetti i pchnął von Treschkova do przodu. – Podejdź i strzel do niego.

Von Treschkov zrobił kilka kroków, zatrzymał się i podniósł pistolet, próbując wycelować w pełznącą Istotę.

– Bliżej! – warknął po niemiecku Orsetti. – Musisz trafić!

Młody mężczyzna podszedł bliżej i strzelił. Huk i dym wypełniły ciasny korytarzyk. Caspar upadł na podłogę. Światła zwisających z sufitu lamp przez chwilę migotały, a potem zgasły. Zapanowała ciemność rozrzedzona jedynie fluorescencyjnymi taśmami ciągnącymi się wzdłuż ścian.

Blanka krzyknęła. Orsetti złapał ją w pasie i razem przywarli do ściany.

– Strzelaj, strzelaj do niego! Wszystkie kule! – wołał Orsetti.

Padły kolejne strzały w kierunku nieruchomego ciała. Skupiony von Treschkov, zaciskając zęby, metodycznie, w regularnych odstępach czasu, naciskał spust. Kolejne błyski rozświetlały wypełnioną dymem ciasną przestrzeń. Potem von Treschkov podszedł bliżej, chcąc strzelić prosto w głowę leżącej Istoty. Nachylił się, a wtedy Caspar wyciągnął rękę i chwycił za dymiący wciąż pistolet. Drugą ręką złapał von Treschkova za kostkę i pociągnął ku sobie. Mężczyzna padł do tyłu. Przewracając się, uderzył o ścianę. Caspar podniósł się i usiadł na leżącym von Treschkovie. Ten jęknął, gdy Istota oparła się całym ciężarem na jego klatce piersiowej. Chrupnęły kości. Von Treschkov nie żył...

– Bogowie – jęknął Orsetti. – To nie działa. Nie działa...

* * *

Piotr trafił do pomieszczenia, w którym powinien być leżeć Caspar. Niewielki kwadratowy pokój oświetlała zaledwie jedna słaba żarówka. Wypełniony do połowy błękitnym płynem sarkofag z grubego hartowanego szkła był pusty. Na podłodze dostrzegł wilgotne plamy. Ukucnął i dotknął jednej z nich. Gęsta substancja przywarła do palców, które odruchowo wytarł o habit.

Usłyszał wystrzały, a po chwili zgasło światło. Przestraszył się, ale ruszył w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Dotarły do niego krzyki, potem padły strzały, których błyski widział w szparze pod drzwiami. Nacisnął klamkę.

W zadymionym korytarzu, oświetlonym jedynie przyklejonymi do ścian listwami pokrytymi fluorem, ledwie mógł rozpoznać sylwetki

ludzi. Istota leżała na brzuchu, a młody von Treschkov celował z pistoletu w jej głowę.

Piotr, mimo że przeczuwał nieszczęście, chciał wierzyć w powodzenie misji Blanki i jej przyrodniego brata, ale widząc Caspara siedzącego na brzuchu nieszczęśnika i miażdżącego jego klatkę piersiową, zaczął się modlić.

Istota podniosła się ciężko i stanęła na nogach. Ruszyła w kierunku przerażonych Orsettiego i Blanki. Agent krzychał, by dziewczyna strzeliła, ale ta nie mogła opanować drżenia rąk. Jedyna wystrzelona kula drasnęła zaledwie ramię Caspara, na którym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Szedł powoli, jakby delectował się wracającymi siłami.

Winda nie działała. Blanka i Orsetti byli w pułapce bez wyjścia.

* * *

Nadja wiedziała, że sprawa jest przegrana. Głęboko tłumiony strach musiał eksplodować. Zniosła się płaczem, gdy tylko dotarło do niej, co stało się w podziemiach budynku. Mnich nie przestawał mamrotać, próbując zrelacjonować to, co widzi jego drugie ja.

– Otwieram drzwi. Powoli. Jest ciemno. Wewnątrz pełno dymu. Śmierdzi dymem. Istota leży na podłodze. Ten młody do niej podchodzi i celuje. Chce strzelić. Boże! Ona się rusza! Złapała go za rękę. Za pistolet. Boże! Złapała go za nogę. Przewróciła. Boże! Mnich oparł głowę na blacie stołu. Przez kilka sekund siedział tak nieruchomo, powtarzając łacińskie słowa modlitwy.

Tymczasem Banach wyrwał się z objęć własnych wizji. Otworzył szeroko oczy i przez chwilę walczył, by wyrównać oddech. Oczy miał załzawione. Przetarł je pięściami.

– Nie widziałem niczego szczególnego. Niczego – powiedział zdumiewająco spokojnie. – Mimo pani asysty nie mogłem się przebić przez ciemność, gdy patrzyłem na wejście do Rdzenia. Nic. Ciemno...

Rozłożył bezradnie ręce.

– Nic.

Rozejrzał się wokół i nagle zrozumiał, co się dzieje. Budynkiem znowu zatrzęśto pod wpływem niewidzialnych prądów energii. Wzrok przestawał być wiarygodnym świadkiem tego, co dzieje się z

rzeczywistością. Bo czy to możliwe, by meble, ściany, okna, nawet drzewa stojące na placu przed pałacem nagle zafalowały i stały się na moment płaskie, jakby wycięte z grubej tektury? Banach wstał z krzesła, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na podłogę. Powietrze wypełnił niski dźwięk przypominający odległe buczenie syren przeciwmgielnych.

Mnich urwał nagle modlitwy.

– Istota idzie po tę dziewczynę. Ta broń nie jest w stanie jej zranić. Oni nie mają wyjścia. Winda nie działa... – Piotr patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Być może jakaś jego część zdawała sobie sprawę, że jest tylko przekaźnikiem, ale nadal pozostawał nieczłowiecko spokojny, relacjonując dramat w podziemiach, którego był świadkiem. – Dziewczyna strzeliła, ale nic się nie stało. Istota nawet nie krwawi...

Nadja pierwszy raz w życiu poczuła się bezradna. Bo czy można coś zrobić w konfrontacji z Istotą? Z bóstwem, przed którym klękali przodkowie? Tamta rzeczywistość upominała się o swojego obywatela i nic nie mogło stanąć jej na przeszkodzie. Żadna Struktura. Żaden człowiek lub nawet „mieszaniec”, w którego żyłach płynie odrobina „boskiej” krwi.

Nie miała wątpliwości, że Zenit za chwilę zetrze z powierzchni ziemi całą okolicę lub przynajmniej zdeformuje ją do tego stopnia, że przestanie ona być tym, czym była wcześniej. Nie wiedziała jeszcze tylko, co stanie się z tymi ludźmi, którzy noszą w sobie cząstkę tamtego świata. Przeżyją? Zostaną rozpoznani jak Caspar i wchłonięci w obręb tego, co po niego przyszło? Sama nosiła piętno Zenitu i wkrótce miała się o tym przekonać. Nawet jeżeli byłaby to ostatnia rzecz, jakiej doświadczy w życiu.

Oparła się o stół i omiotła wzrokiem cały pokój. Banach leżał oszołomiony na podłodze. Był przytomny, ale nie mógł się ruszyć. Wreszcie zerwał się i pchnięty jakąś nadludzką siłą wybiegł z pokoju. Nadja nawet go nie zatrzymywała...

Zakonnik uparcie powtarzał łacińskie formuły, kurczowo ściskając w dłoniach różaniec. Dziewczyna niemal z czułością pomyślała o jego wierze w siły, które nie istnieją.

Mógł tylko jedno: modlić się tak intensywnie, by przywołać obraz innego miejsca – pustynnego kraju, którego suchą przestrzeń

wypełniały skały i porastała rzadka roślinność. Za każdym razem tam trafiał, gdy pogrążał się w żarliwej, ekstatycznej modlitwie, gdy kolejne słowa formuł i inkantacji gubiły znaczenia, zamieniając się w potok głosek zdolnych wywołać przeskok. Potrzebował na to kilku godzin klęczenia w ciszy i skupieniu, ale teraz, czując obecność zbliżającej się potężnej Manifestacji i mając wsparcie tej niezwyklej dziewczyny, wierzył, że skok będzie możliwy.

Skoncentrował się i po kilku sekundach...

Pograżony w ciemnościach korytarz stał się zaledwie ciemnym punktem, wokół którego roztaczał się surowy, pozornie pozbawiony życia krajobraz. Gorące, targane wiatrem powietrze momentalnie otrzeźwiło Piotra, który wciąż był oszołomiony tym, co się stało. Zamiast na chłodnych, wilgotnych płytkach posadzki, stał teraz na nierównym, kamienistym gruncie.

Musiał zrobić tylko jedno – wyciągnąć Blankę i Orsettiego z piwnicy, zamknąć tam Istotę. Nic innego nie mogło ich uratować. Nigdzie indziej nie mogliby być bezpieczni. Czym oprócz własnego życia ryzykował? „Oddać życie za przyjaciół”, przypomniał sobie słowa Nauczyciela...

Ruszył w mrok korytarza.

* * *

Byłem jednym z ostatnich ludzi wyprowadzonych z budynku. Ta przemądrzała młoda kobieta przeczytała moje nazwisko, więc mogłem opuścić budynek Struktury wraz z innymi, których wcześniej zgromadzono w pokoju na drugim piętrze pałacu.

W powietrzu czuć było napięcie. Nie spodziewałem się niczego dobrego, chociaż jak dotąd wszystkie moje obawy dotyczące przyszłości, bliższej lub dalszej, za każdym razem rozwiewała nijaka teraźniejszość. Wejdziemy do autobusów, wywiozą nas do najbliższego miasteczka, w którym zorganizowano punkt ewakuacyjny, a potem wszystko się skończy. Wrócę do Antipolis lub, oby nie, do Krzemieńca, gdzie znowu będę starał się o posadę na tamtejszej uczelni. Światy się walą, a życie trwa dalej. „Nijakie i takie samo dla wszystkich”, pomyślałem, wychodząc na plac przed pałacem.

Obok mnie znalazł się nagle Edward, ten sam wesolek, który zabawił się moim kosztem, gdy w kantine podniósł mnie pod sam sufit razem z krzesłem.

– Całe szczęście, że nie musimy tu zostać. Mam złe przeczucia co do tego miejsca. Nie podoba mi się pośpiech, z jakim to wszystko organizują. Przecież mieliśmy być tutaj bezpieczni, no nie?

Edward mnie drażnił. Jego nalana twarz, cierpki zapach potu, denerwująca maniera, by wciąż szukać kontaktu wzrokowego – wszystko to sprawiało, że unikałem jego towarzystwa.

Wsiadając do autobusu, puścił mnie przodem, a gdy zająłem miejsce, usiadł tuż obok mnie.

– Myślisz, że to już się dzieje? Tam, w mieście? – w jego głosie pobrzmiwała obawa.

Wolałem się nad tym nie zastanawiać, ale skoro pytał...

– Tak. Myślę, że miasto już nie istnieje. Mówię całkiem poważnie. Wczoraj w nocy śniło mi się, że spacerowałem po zgliszczach miasta. Dotarłem do rzeki, ale wszystkie mosty były zniszczone...

Okrągła twarz Edwarda momentalnie zbladła.

– Naprawdę? – zapytał przerażony.

Westchnąłem.

– Żartuję, Edek, daj spokój. Nie przejmuj się tym wszystkim. Właśnie stąd wyjeżdżamy.

Do naszych uszu dotarły przekleństwa kierowcy autobusu.

– Panie szofer, co się dzieje? – zapytał ktoś.

– Nie wiem. Jeszcze przed chwilą wszystko... – zaczął coś do siebie mrużyć, sprawdzając zegary na tablicy rozdzielczej. – Akumulator siadł czy co? Cholera jasna...

Wstał z za kierownicy i wyskoczył z pojazdu. Widocznie inne samochody miały podobne problemy, gdyż w ciągu minuty niemal we wszystkich pojazdach podniesiono maski, a kierowcy próbowali w odsłoniętych silnikach wynaleźć przyczyny dziwacznej zbiorowej awarii.

Edward wyjrzał przez okno.

– Nie podoba mi się to – powiedział cicho.

– Przestań już – odrzekłem.

Nagle ktoś krzyknął:

– Tam, na niebie! W górze!

Ze wszystkich autobusów momentalnie wysypali się pasażerowie. Zebrali się w grupkach i patrzyli w niebo, na którym coś ewidentnie zaczęło się dziać.

Z dzieciństwa zapamiętałem tylko jeden sen. Szedłem ulicą prowadzącą do mojego domu. Było lato. Miałem na sobie lekką białą koszulę i jasne spodnie. Nie spieszyłem się nigdzie. Ciepły wiatr łagodnie przeczesywał moje falujące włosy. Coś zmusiło mnie do tego, by spojrzeć w górę. Zamiast miękkich, kłębiastych cumulusów na tle nieba unosiły się gigantyczne budowle. Majestatyczne gmachy stworzone przez dawno zmarłych architektów. Egipskie piramidy i ich azteckie odpowiedniki. Marmurowe świątynie naszych greckich przodków. Frontony wielkich rzymskich willi. Wszystko to pyszniło się stworzonym przed pojawieniem się człowieka na świecie ładem, proporcjami, porządkiem. Było silniejsze, większe i doskonalsze niż człowiek. Schodziło na ziemię, ale nie pozwalało się zbrukać ludzkimi ograniczeniami. Było czyste.

Gdy wiele lat później ów sen powrócił do mnie na fali wspomnień, odczytałem go jako tęsknotę dziecka za własną, zapowiadaną przez ten właśnie sen, wielkością.

Teraz, gdy patrzyłem na widowisko, które rozgrywało się nad nami, nie potrafiłem się bać. Ci, którzy mnie otaczali, płakali z rozpaczy, gdy uświadomili sobie, że być może nigdy nie opuszczą tego miejsca. Niektórzy, w tym Edward, rozbiegli się po terenie Struktury, ale ja wiedziałem, że ucieczka nic nie da. Świat, który się do nas zbliżał, był na tyle rozległy, że mógł przykryć sobą wielokilometrową powierzchnię.

Wiedziałem też, że nie wszystko jest dostępne naszym oczom. Czy rzeczywistość naokoło mnie falowała, nie rozpadając się na atomy, czy też tylko i wyłącznie mamiła mój wzrok? Czuję, jak przepływają przeze mnie prądy energii, strumienie zdolne podnieść mnie ku górze i uczynić doskonalszym. Ciało szarpał ból spotkania z lepszą, bardziej wyrazistą rzeczywistością. Ból, który nie bolał, gdyż zagłuszało go największe z możliwych szczęście.

Zacisnąłem oczy, ale wciąż widziałem przechodzące jedna w drugą barwy. Słyszałem krzyki, eksplozje, ale odczytywałem to jednoznacznie: to nasz świat wiwatuje na cześć swoich władców.

* * *

Piotr ruszył korytarzem; teraz delikatnie rozjaśniało go światło skąpanej w słońcu skalistej pustyni. Pod stopami na powrót poczuł twardą posadzkę podziemi Struktury, objęły go chłód i wilgoć. Dotarł do niego przerażony głos dziewczyny. Caspar właśnie wyciągał w jej stronę rękę. Dzieliły ich najwyżej trzy metry.

Zakonnik w pełnym biegu wyminął Istotę i znalazł się obok sztywnej ze strachu Blanki i drżącego, bladego jak ściana Orsettiego.

– Jego nie można zabić – jęknął agent, nie zastanawiając się nawet przez sekundę, skąd nagle w Rdzeniu znalazł się mnich. – Nie można... Próbowaliśmy.

– Wszystko wiem – uciął Piotr. – Na drugim końcu korytarza otworzyłem dla was przejście. Biegnijcie tam. On za wami nie trafi. Są tam jeszcze naboje? – zapytał, wskazując leżący na podłodze pistolet.

– Dziewczyna wystrzeliła tylko jeden pocisk, ale to nie działa, nie działa...

– Strzelaj w nogi – rozkazał Piotr. – Może się przewróci, a wtedy biegnijcie. Już!

Orsetti schylił się po pistolet, wycelował i strzelił, trafiając Caspara tuż poniżej kolana. Ciało Istoty wchłonęło kulę, ale noga pod wpływem siły uderzenia zgięła się i Caspar upadł. To był ten moment. Orsetti ruszył, ciągnąc dziewczynę za sobą. Gdy mijali klęczącą Istotę, odwrócił się i strzelił raz jeszcze. Tym razem jednak Caspar, być może podrażniony kolejnym ukąszeniem kuli, zerwał się z klęczek, chwycił Blankę wpół i wyrwał ją agentowi. Orsetti obejrzał się, ale instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, żeby się nie zatrzymywać. Po sekundzie agent Struktury zniknął w świetle, który otworzył dla nich zakonnik.

Piotr, który biegł dwa kroki za nimi, zatrzymał się przerażony. W półmroku ujrzał twarz Caspara. Oblicze nie wyrażające najmniejszej emocji – tryumfu, smutku lub wściekłości. Trzymał w objęciach swoją córkę, która przyszła go zabić. Wiedział o tym doskonale. Wiedział też, że nie może wypuścić jej z rąk, że dziewczyna musi skończyć tak samo jak jej przyrodni brat, którego zmiażdżone ciało leżało u stóp Istoty.

Piotr natychmiast przypomniał sobie wszystkie mity, którymi karmiono go w szkole powszechnej. Wszystkie niegodziwości – kazirodztwo, dzieciobójstwo, ojcobójstwo... Tak oto tworzą się mity. Za tysiąc lat ktoś może nawet to wszystko opisać, myląc oczywiście kolejność wydarzeń, imiona bohaterów, okoliczności.

Blanka zaczęła krwawić z nosa. Krzyczała, ale jej głos słabł, aż zamienił się w charkot. Ustami bluznęła krew. Początkowo broniła się przed swoim ojcem, ale po chwili jej ciało zwiotczało w jego stalowym uścisku. Zabił ją. Caspar ruszył w kierunku zakonnika.

Piotr mógł teraz wrócić na górę. Połączyć się z samym sobą – tym, który relacjonuje Nadji, co się dzieje tutaj, w tym piekle. Coś go jednak powstrzymywało. Instynktownie czuł, że oprócz Istoty jest tu ktoś jeszcze. Tuż obok ciała Blanki, które Caspar rzucił na podłogę, zaczęła nagle materializować się jakaś postać.

Półprzezroczysty kształt nachylił się nad truchłem dziewczyny, by po chwili przyoblec się w ciało.

– Boże... – szepnął Piotr, czując bijący od niego zapach gnijącej wody, stęchlizny, rozkładu. – Boże...

Caspar najwidoczniej wyczuł tę obecność za swoimi plecami, ponieważ odwrócił się i stanął naprzeciwko postawnego, lekko otyłego, nagiego mężczyzny. Jego oczy były czarne, pozbawione wyrazu, twarz okaleczona – brakowało jej dolnej szczęki.

Caspar, o dziwo, zatoczył się i oparł o ścianę. Przybysz wydał z siebie chrapliwy, przyprawiający o dreszcze okrzyk. Głos rozpaczy i wściekłości, który znalazł w końcu ujście i wydobył się przez zmasakrowane gardło. Rzucił się na Caspara. Chwycił go za gardło i zacisnął na nim potężne dłonie. Caspar próbował odepchnąć napastnika. Rozglądał się na boki, a w jego spojrzeniu mieszała się nadzieja na ratunek i strach. Wił się, uderzał na oślep rękoma, kopał niezdarnie, ale na niewiele się to wszystko zdało. Palce zaciskały się coraz mocniej. Wreszcie Caspar osunął się na podłogę. Przez chwilę jeszcze stawiał opór, ale przygnieciony kolanami znieruchomiał.

Nagi mężczyzna uklęknął obok nieruchomego ciała. Odstłonił klatkę piersiową i rozerwał ją gołymi rękoma. Zanurzył palce w parujących trzewiach i wyrwał z nich wciąż bijące serce. Rozdarł połamanymi paznokciami mięso i wepchnął do gardła ociekający posoką strzęp.

Piotrowi to wystarczyło. Wiążąc całą buzującą w nim energię, otworzył przejście tak szeroko, jak się dało, i pchnął je ku górze. Ku szalejącemu na powierzchni Zenitowi...

* * *

Mraczewski odstawił pusty kufel i poprosił o coś do jedzenia. Wylądowała przed nim karta dań – brudny zeszyt, oprawiony w imitującą skórę czerwoną materię. Wybór nie był zbyt bogaty, ale dający o sobie znać głód nie pozwalał Mraczewskiemu być wybrednym. Nie przewidział jednak, że Szadek, na który spadła lawina uchodźców z Antipolis, będzie miał problemy z podstawowymi produktami spożywczymi. Dopiero teraz zauważył, że niemal wszyscy goście zgromadzeni w gospodzie Jeż i Lis piją i nic nie jedzą.

– Dostanę coś poza piwem? – zapytał mężczyznę wycierającego za barem brudny kufel. – Cokolwiek.

– Za dwie godziny będzie dostawca. Przywiezie jajka – odpowiedział ten niechętnie. – Przez dwa ostatnie dni cała nasza spiżarnia została ogołocona. Dziś mam tylko piwo i wodę sodową do sprzedania.

Mraczewski nie dawał za wygraną.

– To w całym mieście nikt nie ma niczego do jedzenia? No coś pan?

– A czy ja mówiłem, że w całym mieście? Słuchaj pan uważniej.

– W takim razie jeszcze jedno piwo. Małe tym razem, dobrze?

– Taka wola – burknął niechętnie barman i podstawił kufel pod kapiący kranik.

* * *

Po kilku minutach zrozumiał, że jest śledzony. W głowie czuł lekki, przyjemny szum, ale to nie przeszkodziło mu wyczuć zagrożenia. Dwaj zwalisci mężczyźni wyszli za nim z Jeża i Lisa i, utrzymując stosowną odległość, wciąż za nim podążali. Dopóki Mraczewski błędził ciasnymi uliczkami miasteczka i wchodził do kolejnych sklepików, mógł liczyć na to, że zgubi upartych prześladowców. Jednak ci zdawali się z góry znać drogę, którą zamierzała iść ich ofiara.

Uświadomił sobie, że zwabił ich portfel, który nieopatrznie wyciągnął w gospodzie. Pełen grubych banknotów, przyciągnął ich wzrok lub, co bardziej prawdopodobne, sam barman powiedział komu trzeba, że jeden z jego klientów dysponuje większą sumą pieniędzy, podróżuje sam i nie wygląda na takiego, któremu trzeba będzie tłumaczyć, by pozbył się nadmiaru gotówki.

Mraczewski wyteżył słuch; bez trudu łowił rozmowy otaczających go ludzi, ale ci, którzy go śledzili, jak na złość milczeli. Obejrzał się dyskretnie, licząc naiwnie na to, że znudziła im się ta zabawa, ale oni wciąż deptali mu po piętach. Miał ochotę zatrzymać się na środku ulicy i zademonstrować, że się ich nie boi, ale tak naprawdę był przerażony, a przewieszona przez ramię sakwa ciążyła mu coraz bardziej.

Znalazł się w dzielnicy niskich kamieniczek i wciśniętych między nie domków z niewielkimi ogródkami. Mniej ludzi krążyło tutaj po ulicach, mniej sklepów zapraszało do środka otwartymi drzwiami. Mraczewski spojrzął na zegarek. Była druga po południu. Upał nie ustępował, chociaż słońce już zaczynało opuszczać najwyższy punkt na niebie.

Przebiegł przez ulicę i wbiegł między dwa niskie budynki, które wydawały się niezamieszkałe. Liczył na to, że dotrze tędy do centrum, a tam na powrót spróbuje wmieszać się w tłum. Nie mógł niestety wiedzieć, że pomiędzy dwoma domami trafi na wysoki, drewniany płot. Podbiegł do niego, szukając w panice jakiejś obluźowanej sztachety, konstrukcja była jednak solidna i wciąż pachniała tartakiem.

Odwrócił się. W odległości kilku metrów stali dwaj jego prześladowcy. Przyjrzał się im dokładnie. Obaj mieli na sobie podniszczone marynarki, które narzucili na przybrudzone, jasne koszule. Okrągłe, zaczerwienione twarze nie zdradzały głębszych uczuć. Twarz pierwszego z mężczyzn wykrzywił przerażający uśmiech. Drugi wyciągnął z kieszeni błyszczący, wąski przedmiot. „Nóż”, pomyślał Mraczewski. Ostrze błysnęło, przypadkowo łowiąc promień słońca. Obaj mężczyźni wciąż nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

„Dlaczego nie zabrałem rewolweru?”, zaczął żałować Mraczewski, gdy uświadomił sobie, że w ciągu ostatniej doby trzymał

w rękę aż dwa. Wystarczyłoby teraz pomachać tym wieśniakom przed nosem bronią palną, a pogubiliby buty, biegnąc do swoich nor.

– Panowie! – krzyknął, rzucając sakwę na ziemię. – Panowie! Możecie zabrać tę torbę. Tam są pieniądze. Wszystkie. Ja sobie pójdę. Dobrze?!

Podeszli kilka kroków, nie zwracając uwagi na jego propozycję. Mraczewski czuł coraz silniejszą woń potu. Duszący, przyprawiający o mdłości zapach brudu. W oczach napastników dostrzegł pustkę. Mroczną, wypraną z wątpliwości determinację, by zabić. Zabić, bo można to zrobić.

Cofnął się o dwa kroki i przywarł plecami do nieoheblowanych desek płotu. Poczul pot spływający po plecach.

* * *

FRAGMENT PAMIĘTNIKA NADJI N. MÓJ WIEK

Rozdział trzeci
Zenit, mon amour
Antipolis, 1976

Czy mogłam się tego spodziewać? Nie. Nikt nie mógł. Z późniejszej relacji agenta Piotra jasno wynikało, że na scenie tej tragedii pojawiła się trzecia siła. Zmarły. Dziś ze śmiechem myślę o tym wszystkim, bo czyż nie jest groteskowe i komiczne zarazem spotkanie na kilkunastu metrach kwadratowych człowieka, Istoty z Wyższego Świata i zmarłego? Jakiegoż nieprawdopodobnego nieprawdopodobieństwa byłam poniekąd świadkiem! Gdyby wtedy miało się zakończyć moje, jak się dziś okazuje, długie życie, mogłabym powiedzieć, że przeżyłam wszystko.

Zmarłym był Eugeniusz Wieriesiołow, za życia opiekun zamordowanej przez Caspara Blanki. Nie znamy dokładnie zasad, na jakich funkcjonował ten zdumiewający związek między Wieriesiołowem a jego podopieczną. Nie będę w tym miejscu zanudzać czytelników spekulacjami, jakimi przerwaliśmy się przez całe lata, badając tę sprawę. Podkreślę jednak szczególną więź, jaka łączyła interesującą nas parę. Jako zmarły Wieriesiołow nie

tylko trafił do Struktury w poszukiwaniu Blanki (w jemu tylko wiadomy sposób i w wiadomym celu), ale jeszcze pomścił jej śmierć, zabijając Istotę.

Żałować należy jedynie dwóch rzeczy. Tego, że ta młoda dziewczyna musiała zginąć, by Caspar mógł zostać unicestwiony, i że Zenit nie cofnął się z chwilą jego śmierci.

Spodziewaliśmy się Istot. Tłumu podobnych nam stworzeń, które zaczną patroszyć nasz świat, niszczyć jego tkankę. Być może ludzka wyobraźnia zawsze idzie najkrótszą z dróg i najchętniej widzi w każdej emanacji Wyższego Świata agresję i przemoc.

Nasz świat na kilka godzin przeniknęła Inna Rzeczywistość, ale nie po to, by ukarać nas za przetrzymywanie Caspara. Ona chciała nas uwolnić od jego demoralizującej obecności. Nie ukazała nam swojego agresywnego, bojowego oblicza, a nie wątpię, że takim dysponuje. Dane nam było przyjrzeć się esencji Wyższego Świata – harmonii, symetrii i proporcjom.

Caspar był wynaturzoną, niedoskonałą częścią tego wszystkiego. Dał się wcielić, dosłownie przyoblec w cielesną powłokę. Skorzystał z wszelkich przywilejów, jakimi mogła cieszyć się wśród ludzi Istota nie będąca człowiekiem.

Gdyby znalazł się wśród nas kilka stuleci wcześniej, stałby się bogiem. Żyjącym bóstwem, które ukoronowane złotem i przyobleczone w purpurę, rządziłoby niepodzielnie ograniczonym ludem. Trafiając pomiędzy dzieci rozumu i nauki, został wykorzystany w sposób typowy dla naszego gatunku. Poniekąd na własne życzenie.

Co stało się z miastem? Ze Strukturą? Wszyscy to znamy z kronik filmowych. Z relacji tych, którzy byli świadkami Zenitu. Wyższy Świat zaledwie otarł się o naszą rzeczywistość.

Antipolis ocalało, Struktura ocalała. Jeśli nie liczyć kilkunastu incydentów w czasie ewakuacji oraz na terenie opuszczonego miasta, w którym służby porządkowe musiały wymierzyć sprawiedliwość kilkudziesięciu szabrownikom, wszystko świadczyło o tym, że Korona zdała egzamin z sytuacji kryzysowych.

EPILOG



Antipolis, listopad 1936 rok

Nadja stała w oknie swojego gabinetu. Na zewnątrz wiał wiatr. Silny, zapowiadający długą i mroczną jesień. Zapomniała o papierosie i gdy odwróciła się, by po niego sięgnąć, okazało się, że już się niemal wypalił, leżąc w popielniczce. Siedzący za jej biurkiem mężczyzna skończył właśnie czytać plik dokumentów, który mu wcześniej podała.

– Może pan zacząć wszystko od nowa – powiedziała Nadja, nie patrząc na mężczyznę. – Korona wszystko panu wybaczy. Wystarczy pana podpis pod deklaracją lojalności. Zostanie pan wciągnięty na listę naszych dżentelmenów... Przepraszam, przejęzyczyłam się, naszych pracowników.

Zawiesiła głos. Przypomniała sobie agenta Orsettiego; to on w ten sposób nazywał ich profesję. „Klub dżentelmenów”. Nadja nie przypuszczała nawet, że tak szybko zacznie tęsknić za tym pyszałkowatym, ale w sumie sympatycznym mężczyzną.

Jednak jego już nie było. Nie żył od ponad osiemdziesięciu lat. Parę tygodni temu poleciła, by ktoś sprawdził, czy jego grób faktycznie znajduje się na cmentarzu w niewielkiej miejscince na Krymie. Był.

Nadja usiadła i zdusiła ledwo tłącego się papierosa.

– Jaka jest pańska decyzja? – zapytała.

Mężczyzna uśmiechnął się i sięgnął po pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki. Odkręcił je powoli i postawił zamaszty podpis

na samym dole gęsto zapisanego dokumentu.

– Cieszę się bardzo, panie Mraczewski – powiedziała Nadja. Wstała i otworzyła drzwi swojemu nowemu współpracownikowi. – Od jutra będzie pan stopniowo wtajemniczany w kolejne procedury.

Mraczewski bez słowa minął kobietę i wyszedł na korytarz. Zanim zdążył założyć kapelusz, usłyszał jeszcze:

– Panie Mraczewski, wiem o pana sekretnym towarzyszu. Proszę, by przy mnie nie manifestował jakoś specjalnie swojej obecności. Źle znoszę towarzystwo zmarłych.

Zamknęła drzwi i wróciła do analizy dokumentów, które trafiły do niej wraz z raportem z miasteczka Gurzuf. Miała przed sobą fotokopię pamiętnika pewnego rosyjskiego lekarza, który w roku 1822 podjął się leczenia dziwnego pacjenta znalezionej na stepie przez Tatarów.

Mężczyzna ten nie miał dolnej szczęki i wyglądał według relacji świadków jak ofiara ataku niedźwiedzia. Nie wiadomo, jakim cudem ten nagi człowiek znalazł się na stepie, z dala od ludzkich osad, i jak udało mu się przeżyć. Każdy inny człowiek z podobnymi ranami natychmiast wyzionąłby ducha. Co stało się potem, gdy o pacjencie dowiedział się gubernator prowincji i zabrał tajemniczego mężczyznę do odległego Petersburga, by samego cara rozbawić widokiem mężczyzny ze srebrną dolną żuchwą – mężczyzny, który sam bełkotliwie zarzekał się, że pochodzi z pierwszej połowy XX wieku?